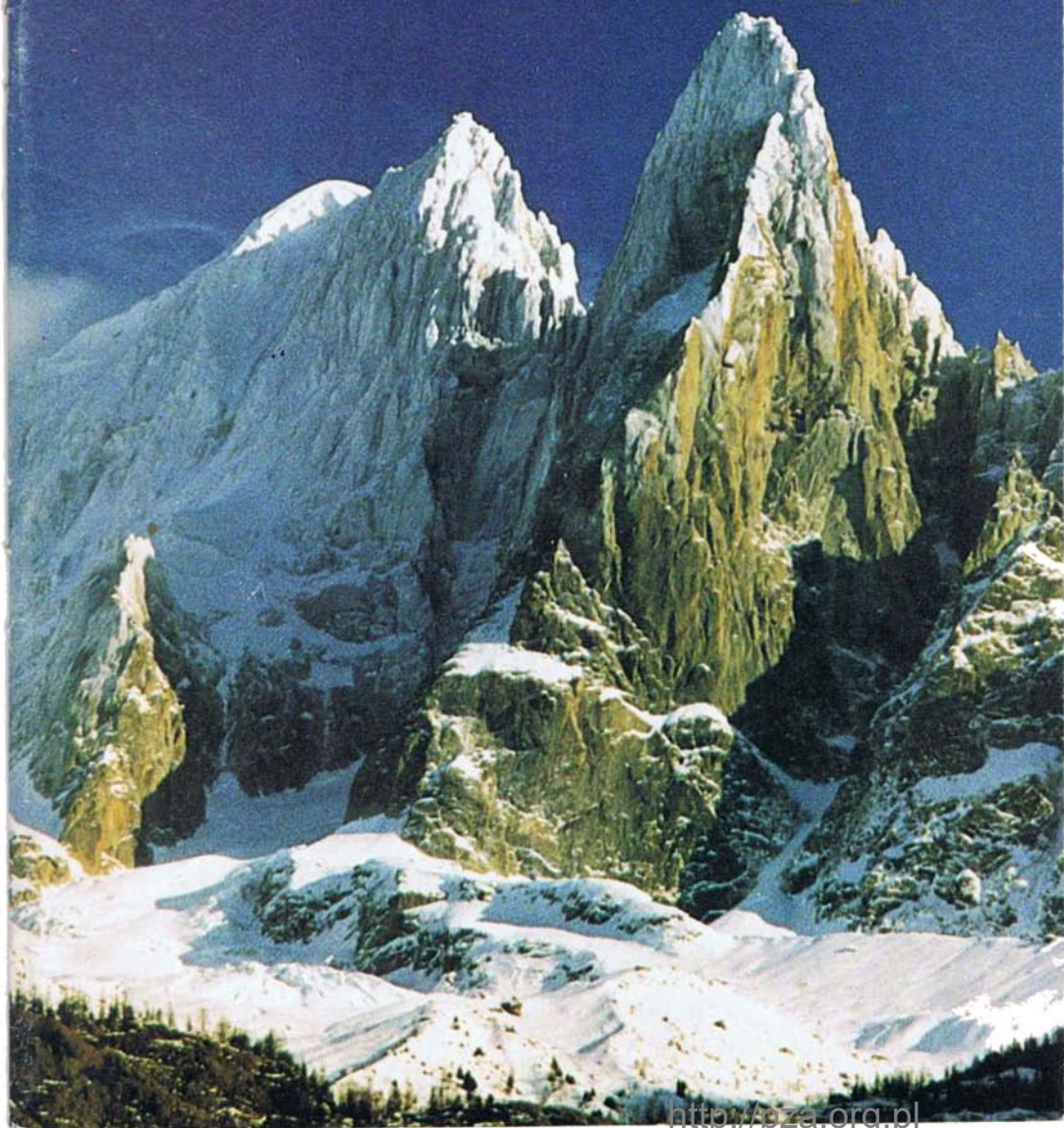


# TATERNIK

1  
1993



## TREŚĆ

Od redakcji

"Manitua zimą" (J. Gołąb)

Sprawozdanie z zimowego obozu alpejskiego (J. Fluder)

Dobry sezon w Alpach (J. Nyka)

Cztery drogi (A. Gąsienica Józkowy)

Z alpejskiej zimy (I.A. Skłodowscy)

Zimowy sezon taternicki (A. Machnik)

Zima 1992-93 w Himalajach (J. Nyka)

Poszukiwanie (M. Tertelis)

Zdjęcia z gór (J. P. Pelech)

Skąły Ameryki Północnej  
(W. Janowski)

Demon Hilti (W. Święcicki)

Pas Piersiowy - tak, ale... (W. Święcicki)

Sport wspinaczkowy w kraju

Jaskinie i speleologia

Recenzje

O Janie Strzeleckim - taterniku i humaniście - wspomnienie (A. Ziemiński)

Komuś bije dzwon ("Dziekan")

Co nowego w Tatrach

Nowe drogi w Tatrach

Komunikaty Komisji Szkolenia

Wypadki i ratownictwo

Pożegnania

Sport wspinaczkowy za granicą

Listy

Notatki

Zdjęcie na okładce: Les Drus.  
Fot. Arek Gąsienica Józkowy



## OD REDAKCJI

Po kolejnej, tym razem krótszej przerwie znowu ukazuje się „Taternik”. Redaguje go nowy zespół, nadal przy współudziale Józefa Nyki, zasłużonego naczelnego redaktora tego pisma, które tworzył przez ostatnie 25 lat. Zniknięcie „Taternika” z rynku wiązało się z uregulowaniem praw własności do tytułu. Dziś należy on do Polskiego Związku Alpinizmu.

„Taternik” nie zmienia formatu, zachowuje również tradycyjny układ pisma, do którego przez całe lata były przyzwyczajone pokolenia: taterników, wspinaczy, czy turystów górskich. Odstępstwem od dawnych zwyczajów jest zamieszczenie kilku reklam. Bez nich nie istnieje dzisiaj żadne wydawnictwo tego typu. Kolorowe okładki to również norma obowiązująca wszędzie. Z czasem barwnych stron pojawi się więcej. Zadbaj o to Krzysztof Łoziński i jego wydawnictwo.

Postaramy się aby od przyszłego roku „Taternik” ukazywał się regularnie. Zależeć to będzie od ilości posiadanych materiałów. Do tego numeru zbieraliśmy je z pewnym trudem. Nie wywołało to zdziwienia, bo stałych współpracowników może mieć tylko pismo ukazujące się regularnie. Mamy nadzieję, że teraz zmienią się na lepsze.

Alpinizm w naszym kraju nie jest już taki jak dawniej. Coraz mniej wypraw wyrusza w odległe masywy górskie, coraz łatwiej zorganizować wyjazd w Alpy. Najprzystępniejszą formą wspinania są jednak skałki i sztuczne ścianki. Zjawisko to odzwierciedla spis treści „Taternika”. Prężne dawniej kluby ograniczają działalność, czasem tylko do szkolenia początkujących. Zanikają prace wysokościowe, które pozwalały na organizację bliższych lub dalszych wyjazdów. Pojawiają się prywatni sponsorzy, zjawisko przedtem prawie nieznanne. Alpinizm wyprawowy staje się dostępny tylko dla nielicznych, tych bogatych lub sprawniejszych organizacyjnie. W Tatrach wspinają się coraz mniej osób, zimą niektóre ich rejony dosłownie pustoszeją. Tym większa chwała tym, którzy taką działalność uprawiają i odnoszą w niej sukcesy. Za to popularne są kursy dla początkujących, prywatne szkoły wspinania, czy COS PZA „Bełtejemka”. Choć trzeba przyznać, że szkolenie tatrzańskie staje się dla niektórych młodych ludzi za drogie. Za to w skałkach w pogodne

dni jest tłoczno. Wykształca się coraz większa grupa wspinaczy, którzy mają osiągnięcia w skałkach, a Tatr, lub wyższych gór prawie nie znają. To bez wątpienia znak czasu. Rozwijają się też dobrze sport wspinaczkowy na sztucznych obiektach. Powstają organizacje, jak na przykład sekcja krakowskiego KS „Korona” zrzeszająca doskonałych zawodników, wyspecjalizowanych w działalności mającej z klasycznym alpinizmem niewiele wspólnego. Ale ludzi zainteresowanych różnymi formami wspinania jest wielu. I pomimo tego, że w ciągu kilku minionych lat powstało kilka periodyków zajmujących się górami, mamy nadzieję, że nie zabraknie ludzi, dla których „Taternik” nadal będzie bliski.

Spośród komisji PZA do najprężniej pracujących należy komisja Szkolenia. Z założenia zajmują się ona początkującymi wspinaczami. Z myślą o nich Wojtek Świąciecki przygotował serię artykułów związanych ze szkoleniem i nowinkami technicznymi. Z pewnością wzbudzą też zainteresowanie polemiczne recenzje wydawnictw książkowych. Bardzo jest materiał o fotografowaniu w górach. Czytelnik znajdzie również wiele nowinek ze świata. W tym autorów spoza granic kraju.

Chcielibyśmy, aby to co się dzieje w polskim i światowym alpinizmie znalazło odbicie w „Taterniku”, nie zapominając o skałkach i wspinaniu sportowym. Jedyным warunkiem zaistnienia na łamach pisma jest nadsyłanie materiałów: tekstów, zdjęć, rysunków, schematów dróg, reklam. Cenne jest wszystko co jest odbiciem działalności w górach, skałkach, czy na sztucznych ściankach. Może nie wszystko co zostanie nadesłane uda się zamieścić, ale najlepsze materiały z pewnością doczekają się publikacji. W tym numerze po raz pierwszy od wielu lat publikowane są fragmenty współczesnej literatury górskiej, i rysunki, których tematem jest wspinanie. Przykładów takiej twórczości oczekujemy również.

Najcenniejsze są zawsze aktualności, ale nie tylko. „Taternik” przez lata pełnił również rolę kronikarską i nie myślimy z tego rezygnować. Bo chcemy rejestrować wszystko co jest związane z górami. Największymi i najmniejszymi. I być pomocą ludziom, którzy czują się z nimi związani.

Andrzej Kłos

# „MANITUA” ZIMĄ

Z kraju wyjechaliśmy dwoma „maluchami” 25 lutego. W Szwajcarii mieliśmy awarię samochodu. Naprawa kosztowała sporo, doszły do tego opłaty po 20 USD za nocleg na każdą osobę. Jechaliśmy 4 dni. W Chamonix było trochę trudności ze znalezieniem kwatery, bo większość miejsc zajmowali narciarze. Pierwsze, niepogodne dni wykorzystaliśmy na zakupy. Poza zakupami kupiliśmy nowe ostrza do dziabek, skarpety z chlorofibry oraz rękawice.

Naszym celem była droga na północnej ścianie Grandes Jorasses na Pointe Croz - „Manitua”. Znany słoweński solista Slavko Svetlic, robił ją samotnie przez 3 dni w lipcu 1991 i ocenił na VII+, A3+ (opis i schemat w T. 1/91 s.20). Ma ona około 1100 m długości, a lody o 70° nachylenia. Jest obecnie najwyższej wyceniana na Grandes Jorasses, choć np. „No Siesta” jest trudniejsza.

Przed wejściem w ścianę mieliśmy perypetie w Biurze Przewodników. Kiedy poszliśmy „wpisać się”, urzędująca tam pani powiedziała, że nie da nam „fiszki”, bo na „Jorassach” padł śnieg i będziemy mieli kłopoty. Zapytaliśmy, czy na Drus też padło? Kiedy odpowiedziała - nie, wiedzieliśmy, że nie traktuje nas poważnie. W Biurze udało się zebrać materiały dotyczące naszej drogi. Na tej podstawie opracowaliśmy warianty podejścia, zejścia, ewentualnych wycofów. Załatwiliśmy jeszcze ubezpieczenia, płacąc po 175 franków od osoby. Ubezpieczenie dotyczące leczenia jest ważne na cały rok. Wychodzi to taniej niż u nas.

Plan zakładał, że droga zajmie 6 dni i na taki okres przygotowaliśmy jedzenie. Plecaki ważyły po 12-15 kilogramów. Poza sprzętem wspinaczkowym mieliśmy śpiwory, płachty biwakowe, palniki „EPI gaz” i „Bluet 206”. Prognoza pogody była dobra, ale tylko na trzy dni. Gdyby się zepsuła, każdy wiedział, że wspinaczka potrwa dłużej.



Fot. A. Klos

6 marca wyjechaliśmy kolejką do Montever, aby przenoćować w schronisku Leschaux. Pobudka była o 2 w nocy. Pod ścianą stanęliśmy o 6<sup>30</sup>. Wiał silny wiatr, było nieprzyjemnie i ponuro. Urywały się nawisy i mieliśmy poważne wątpliwości co do pogody. Weszliśmy jednak w ścianę. Ja byłem tego dnia w prowadzącej dwójce z Jackiem Fluderem. Nie było właściwie podziału co do prowadzenia. Ustaliliśmy tylko, że nasz zespół będzie prowadził kluczowy wyciąg. Najtrudniejszy jest tzw. monolit, czyli około 450-metrowa przewieszona formacja w środku drogi.

Pierwsze 300 m naszej drogi to mixt i lód nachylony do 70°. Tego dnia, wszyscy wspinaliśmy się z plecakami. Począwszy od drugiego dnia prowadzący byli odciążeni, a wory wyciągaliśmy na repsznurach. Zaczęliśmy na tyle dobrze, że jeszcze tego samego dnia zrobione zostały trzy wyciągi na monolicie. Po znalezieniu rewelacyjnych półek mieliśmy dobry biwak - jedyny naprawdę wygodny na całej drodze.

8 marca prowadzenie przejęli Staszek i Bogdan. Zrobili około 200 m monolitu, w pięć krótkich wyciągów. Na przemian haczyli i przez krótkie momenty wspinali się klasycznie. Skala była pionowa lub przewieszona, tak że drugi wchodził na przyrządach samozaciśkowych nie dotykając ściany. Tam właśnie

transportowaliśmy plecaki na repsznurach. Linę dla naszego zespołu ciągnął drugi w zespole prowadzącym. Hakówka była dość łatwa. Według naszej oceny A1-A2. Cały czas mieliśmy szczeliny, częściowo zalane. Asekuracja też była dobra, choć stanowiska wiszące i niewygodne. Przeszkadzał tylko silny wiatr, przez co trudno było się dogadać. Ściana jest ponura, zimną bez odrobiny słońca, cały czas panuje tam chłód i cień. Wiatr wiał przez pierwsze dwa dni. Nocą temperatura spadała do około -20°C.

Pierwszy zespół doszedł do miejsca, gdzie nie było możliwości założenia biwaku. Musieliśmy się rozdzielić. My z Jackiem siedzieliśmy na półce, a o 50 metrów nad nami Staszek wisiał w płachcie, nie zdejmując uprząży. Bogdan z liny i uprząży upłócił prowizoryczny hamak i chyba spał najwygodniej. Mieliśmy komplikacje z jedzeniem, bo znajdowało się w jednym zespole. Trzeba je było transportować na linie. Trwało to długo. Potem już takiego błędu z podziałem nie robiliśmy.

9 marca weszliśmy z Jackiem w największe trudności. Do kluczowego wyciągu dotarłem po południu. Zabrał mi dużo czasu, bo puściło dopiero za trzecim razem. Początkowo wspinanie hakowe było łatwe, bo haki „knify” wchodziły po ucho. Wspinaliśmy się w ciężkich butach. Nasz poprzednik Slavko miał lepiej, gdyż latem mógł iść we wspinaczkowych trzewiakach. Zimą tak się nie dało. Najtrudniejsze okazało się wyjście z głównego okapu. Wyciągając rękę za krawędź umieszczałem na ślepo skyhooka. Dwa razy urywał się z jakimś kwarcem, a ja lądowałem dwa metry niżej. Dopiero za trzecim razem któryś z występów utrzymał mój ciężar. Mieliśmy spitownię, ale nie została wykorzystana. Slavko ocenił to miejsce na VII+. Drugi zespół szedł za nami na niezależnej linie. Tego dnia zrobiliśmy jeszcze dwa wyciągi ponad monolit, po lodowej polewie na skalną grzędę. Znowu nie było dobrego miejsca na biwak. Staszek z Bogdanem zjechali 50 m niżej na platformę i mieli biwak dość wygodny. My musieliśmy ułokować się na wąskich półeczkach o 5 metrów od siebie. Byliśmy zmęczeni i nawet nie bardzo chciało się nam gotować. Kuchnię mieliśmy już podzieloną. Był to dla Jacka i dla mnie najcięższy biwak.

Ostatniego dnia wspinaczki, 10 marca, wygrzebaliśmy się szybciej i ruszyliśmy pierwsi. Był to dzień Jacka. Przeprowadził większość wyciągów i wspinał się jak na skrzydłach. Letnie trudności wycenione były na V+, ale zimą mieliśmy dużo lodu i trudności zrobiły się zróżnicowane. W kruszyźnie sypały się kamienie. W pobliżu szczytu zaczęło wiać. Zmęczeniu, stanęliśmy około godz. 15 na wierzchołku. Schodziliśmy w rozmiękłym śniegu, kluząc między szczelinami. Przed zmrokiem dotarliśmy do schroniska Boccalatte. W schronisku odpoczywaliśmy cały dzień. Okazało się, że nie byliśmy nawet tak bardzo zmęczeni. Dało znać o sobie dobre przygotowanie kondycyjne.

Co jeszcze mogę powiedzieć o drodze? Hakówka łatwiejsza, niż się spodziewaliśmy i niż zapowiadał opis Sveticica. Tylko wyjście za krawędź okapu okazało się trudne. Bez „skyhooków” trzeba by osadzać nity. Po Sveticicu śladów niewiele pozostało. Monolit ma 200 m szerokości. Dopiero w jego górnej części znaleźliśmy źle wbity nit i parę haków. Na drodze są problemy z wycofami. Znad monolitu zjazd byłby dużym problemem. Potem już można zjeżdżać, choć inną drogą.

Zdarzenia nieprzyjemne? Staszek raz obsunął się z worem, bo źle przypiął „małpę”. Ostatniego dnia, 200 m pod szczytem, kamień przeciął jedną z żył podwójnej liny. Gdzieś na 15 metrze. Trzeba było linę skrócić. Sprzęt mieliśmy bardzo dobry. Buty Koflach Vario i Ultra Extrem. Tylko Staszek miał Scarpy Vega i trochę w nich podmarzał. Raki 2F Grivel o mixtowych końcówkach były bez zarzutu. Podobnie czekanomlotki: Grivel Courmayer, Grivel Rambo i Pirania Simonda.

gorzej było z gotowaniem. Zespół wyposażony w „EPI gaz” ze świecowym płomieniem był wyraźnie szybszy od nas. Mieliśmy „Blue-ta 206” i kocher „Stormy 540”, i gotowaliśmy wolniej.

Sprzęt biwakowy to krajowe śpiwory pucho-we. Ci, którzy spali w płachcie ortalionowej mieli puchy wilgotne i zamrożone wieczorem. W płachcie sympatexowej było lepiej.

Wracaliśmy do Chamonix z Włoch przez tunel. Mieliśmy jeszcze chęci na zrobienie innej drogi, ale pogoda się zepsuła i wróciliśmy do kraju.

# Sprawozdanie z zimowego obozu alpejskiego

Komisja Sportowa PZA na tegoroczny zimowy centralny obóz alpejski wytypowała następujące osoby: Janusz Gołąb i Bogdan Samborski obydwaj z KW Gliwice oraz Stanisław Piecuch i Jacek Fluder (kierownik) obydwaj z KW Katowice. Naszym celem wspinaczkowym była północna ściana Grandes Jorasses, a na niej nie powtórzona dotychczas droga Slavko Sveticeca „Manitua” poprowadzona w lipcu 1991 roku na monolicie na lewo od starej drogi filarem Croza, tak więc miało to być także I przejście zimowe.

Do Chamonix dotarliśmy z przygodami, w komplecie 2 marca, a na drogę wyposażeni zostaliśmy we franki przez PZA i polary przez firmę „Alpinus”. W Chamonix początkowo zaczynało trochę mokrym śniegiem ale już po dwóch dniach wyjrzało słońce, zrobiło się całkiem ładnie i można było uderzać. Po przejrzaniu sprzętu i zrobieniu strategicznych zakupów, głównie zupek francuskich, wyruszyliśmy kolejką do Montenvers 6 marca (po raz pierwszy kursowała także zimą) od razu z zamiarem zrobienia drogi. Wyjść kondycyjnych i aklimatyzacyjnych nie zakładaliśmy, jako że wszyscy byliśmy świetnie rozwspinani głównie w Tatrach, a Jasiu i Stachu także na Eigerze.

Z Montenvers do schroniska Leschaux dotarliśmy po 4 godzinach i następnego dnia 7 marca o 4 rano ruszyliśmy do akcji i jeszcze tego samego dnia udało nam się wgrzyźć 3 wyciągami w monolit. Następne dwa dni spędziliśmy walcząc w monolicie, wychodząc z niego pod koniec trzeciego dnia wspinaczki, a czwartego dnia pokonaliśmy 13 wyciągów łatwiejszego już terenu, aby ok. 15<sup>00</sup> dotrzeć na szczyt Pointe Croz nareszcie w ciepłym słońcu. Tego dnia jeszcze przed wieczorem doszliśmy do schroniska Bocalatte gdzie nocleg w łóżku był pra-

wdziwą nagrodą za niezbyt wygodne biwaki w ścianie.

Niewątpliwie główną atrakcją drogi wycenionej przez zdobywcę na VII+, A3+ był osławiony monolit, dosyć mocno poprzewieszany, a więc sporo małpowania w próżni bez kontaktu ze ścianą. Zdobywca nie ułatwił nam zadania pozostawiając w ścianie zaledwie kilka stałych haków. Z wyjątkiem jednego miejsca pokonanego po 3 próbach na sky-hooku trudności hakowe nie przekraczały A2, a sporo odcinków można było pokonać klasycznie. Nie ułatwiał też wspinaczki silny mróz ok. -20°C i przez pierwsze dwa dni lodowaty i porywisty wiatr. Natomiast znacznie ułatwiały: duże umiejętności i świetna forma wspinaczkowa uczestników oraz bardzo dobra atmosfera panująca w zespole.

*Jacek Fluder*

## Już wkrótce:

unikalny poster, nagrodzony w Atlancie w październiku 1993

## TATRY

### Mapa Satelitarna

1 : 75 000

opracowanie: **Neokart GIS**, Warszawa  
pod redakcją:

Witolda Federowicza-Jackowskiego  
i Grzegorza Głazka

– naszych klubowych kolegów

**Tatry z Kosmosu**, rozdzielczość 20x20 m

**Tatry bez granic** – na jednym obrazie obszar  
od Dunajca po zaporę na Wagu.

**Pytajcie w księgarniach  
i sklepach górskich**

<http://pza.org.pl>

# DOBRY SEZON W ALPACH



Fot. W. Świąciecki

Na obraz każdego sezonu składają się jego sensacje, jego przejścia wybitne i wreszcie szara masa dróg standardowych. W środkach masowego przekazu dzisiaj przebijają się już tylko sensacje, i to na ogół w zasięgu ograniczonym do granic kraju. Prasy światowej - jak kiedyś wyczyny Bonattiego czy Messnera - nie podniecają już one, nawet jeśli jest to samotne przejście Filara Walkera zimą i przez dziewczynę. Przejścia wybitne szybciej torują sobie drogę do miesięczników górskich i o nich dowiadujemy się często już pod koniec sezonu. Natomiast dziesiątki i setki wejść niższej klasy (informacyjnej, nie koniecznie sportowej) ujawniają się dopiero za pół roku lub rok, w szczegółowych kronikach prowadzonych przez lokalnych Kowalewskich. Tak było i z alpejską zimą 1992-93: najszybciej dotarły do nas wiadomości o hitach, a w samym tylko masywie Mont Blanc było ich co najmniej kilka.

Główną uwagę mediów, francuskich przynajmniej, skupiła na sobie raz jeszcze Catherine Destivelle, która po zeszłorocznym Eigerze postanowiła rozprawić się z zimowym Filarem Walkera. Weszła w ścianę 8 lutego przy słonecznej lecz mroźnej pogodzie. Obserwujący ją dziennikarze stwierdzali, że idzie do góry bez zahamowań, jak dobrze nastawiony mechanizm. Dwa biwaki były chłodne, lecz bez przygód. 10 lutego osiągnęła wierzchołek i przez włoską stronę powróciła do Chamonix. „W prasie, radiu, telewizji - wszędzie dosłownie huczało o jej niesamowitym wyczynie”, pisze Tadeusz Wowkonowicz. Sukcesu „qui force l'admiration” pogratulowała jej w entuzjastycznym telegramie pani minister Sportu Młodzieży, Frederique Bredin. Ale wydarzyło się coś, co akcję propagandową zakłóciło. Okazało się mianowicie, że równolegle z Katarzyną - nic o niej zresztą nie wiedząc - podążyła Filarem Walkera 26-letni Hugues Beauzile,

od 4 lat uzdolniony wspinacz skalowy, ale w Alpach - i to zimowych - zupełny debiutant. Wszedł on w ścianę 6 lutego, miał paczkę biskoptów, kartusz gazu i kawalek liny do autoasekuracji. Najpierw zgubił plecaczek, trzeciego dnia stwierdził odmrożenia i chciał wezwać helikopter, ale nie umiał sobie poradzić z łącznością. Dwa ostatnie dni były bardzo ciężkie: mróz, brak żywności i picia. Ale wbrew wszystkiemu, 9 lutego szczyt! Artykuły o jego sukcesie zdobyły duże zdjęcia w łóżku szpitalnym w Chamonix.

Do sensacji sezonu zaliczyć też wypada wyczyn innego aktualnego asa rejonu Mont Blanc. Alain Ghersen wstrzelił się w ten sam okres dobrej pogody i dokonał pierwszego solowego przejścia zimowego słynnej „Divine Providence” na Grand Pilier d’Angle. Najpierw wspinął się w trzewiczkach skalnych, szybko jednak zmienił je na ciężkie buty, gdyż mocno marzły mu stopy. Twarde obuwie sprawiło, że wiele wyciągów pokonywał z użyciem haków. Problem stanowiło miejsce kluczowe, znad którego dla solisty nie było już odwrotu. Mimo to 4 dni (10-14 lutego) wystarczyły mu do uporania się ze słynną drogą. Na szczyt Mont Blanc dotarł piątego dnia w południe.

W drugim niejako rzucie przyszły wiadomości o przejściach wybitnych, najszybciej chyba o tym najwybitniejszym, a to dlatego, że dokonał go zespół polski, „Manitua” na Filarze Croza, to mamy na myśli. Przejście bardzo piękne, w najlepszym alpejskim stylu, w dodatku dokonane przez zespół dotąd szerzej w Alpach nie znany. Ale były i inne, wymienimy przykładowo kilka:

Dużym zainteresowaniem cieszyły się drogi i dróżki lodowe, pokonywano je setkami. Efektowną łańcuchówkę wspinaczkowo-zjazdową wykonał na Mont Blanc du Tacul Eric Bellin w rewelacyjnym czasie 7 i 1/2 godziny. Zjechał on na surfie kuluarami Jaegera (600 m, D), Gervasuttiego (670 m, D-) i Diabelskim (800 m, D) - wchodząc różnymi drogami na górę.

Głównym wydarzeniem alpejskiej zimy było, podobnie jak i w poprzednim sezonie,

przejście kobiece, i to wykonane przez tę samą osobę: Catherine Destivelle. Również główny aktor męski pozostał ten sam: Marc Batard. Jeśli chodzi o Catherine, jej wyczyn nie jest wcale świadectwem rozkwitu żeńskiego alpinizmu zimowego w Alpach. Zauważmy, że Destivelle jest jedynym nazwiskiem kobiecym sezonu, podobnie zresztą jak i poprzedniego. Nawet jej himalajska rywalka, Chantal Mauduit, nie połatygowała się w śnieżne Alpy. Przy wielkich wyczynach zwraca uwagę rezygnacja z pomocy helikopterów - alpinista chce wrócić w doliny sam, o własnych siłach. Natomiast w klasie przejść średnich z helikopterów korzysta się raczej często.

Wart odnotowania jest powrót w zimowe Alpy wspinaczy polskich, bo oprócz czwórki na drodze Sveticica było jeszcze przejście północnej ściany Eigeru (częściowo w tym samym składzie), był też Arek Gąsienica Józkowy z wykazem dokonań wartym zdjęcia czapki z głowy. Tadeusz Wowkonowicz znowu poczuł się w Chamonix ważny. Dzwonili dziennikarze, przychodzili z gratulacjami profesorowie z ENSY - zupełnie jak w pamiętne lata sześćdziesiąte. Tylko skala przejść jakby się trochę zmieniła...

Już wkrótce początek edycji

## Jan Długosz: **Utwory Zebrane**

Pierwszy tom to:

### „**Komin Pokutników**”

I wydanie pełne, wg maszynopisów autora  
z komentarzem i rysunkami

Drugi tom:

### „**Flirt z Czarną Panią**”

niepublikowane opowiadania tatrzańskie  
**W następnych tomach:** pozostałe opowiadania,  
publicystyka, wiersze, próbki twórczości kabaretowej,  
scenariusz filmowy. Długosz w relacji współczesnych  
opracowanie: Ewa Dereń i Grzegorz Głazek

**Wydawnictwo TEXT**

tel. (0-2) 641-53-28,

02-784 WARSZAWA, ul. Herbsta 1

# CZTERY DROGI

*Arkadiusz Gąsienica Józkowy w sezonie zimowym 1993 mieszkał przez 3 miesiące w Le Grassonnet odległym o 8 kilometrów od Chamonix. W tym okresie zrobił dziewięć dróg o znacznych trudnościach. Najbardziej utkwiły mu w pamięci cztery z nich.*

## Pierwsza droga

Przyjechałem wieczorem do Grassonnet na co moi znajomi Francuzi powiedzieli: super, idziemy się jutro wspinać. Ubić mnie chcą - pomyślałem i udało wytargować się jeden dzień odpoczynku. 10.01. wyjechaliśmy kolejką na Aiguille du Midi; Paweł Cieślak - Francuz /Polak z pochodzenia/, Nile Brodie ze Szkocji i ja. Szybki zjazd na nartach pod Mont Blanc du Tacul pod drogę Modica-Noury /ED/. Nie za cudnie - pomyślałem widząc stromy śnieg, a później wąską nitkę lodu stającą dęba między skalami. Dobrze, że potrenowałem w stromych trawach, w Giewoncie. Jakoś to będzie pomyślałem i uderzyliśmy. Łód stromiał do 90° nachylenia, ostatni wyciąg był częściowo przewieszony. Dzięki temu, że dziennie przechodzą drogę 2-3 zespoły okazała się łatwiejsza niż myślałem. Były stopnie, dziurki po ostrzach dziabeł. Wystarczyło umiejętnie wykorzystać te otworki, zapomnieć o 300-400 metrowej czeluści między nogami i droga zrobiona. Szybkie zjazdy w dół, potem narty i do domu. Forma rośnie.

## Le Drus - Czarny Potwór

*Drogę północnym kuluarem Les Drus (Cechinel-Jaeger TD+), Arek określił jako tą, która dostarczyła mu najwięcej satysfakcji na tym wyjeździe. Wspinał się tam dwa pełne dni 21-22 stycznia z Pawłem Cieślakiem. Panowały wtedy bardzo dobre warunki do skalnego wspinania. Śniegu było mało, skała czysta. Temperatury jak w maju. Natomiast niektóre drogi lodowe były nie do przejścia. Łód jeśli był, to tak twardy, że zęby tytanowych rur zaginały się do środka po wkręceniu na 3 centymetry. Asekuracje w lodzie umożliwiały tylko snargi. Kuluar Les Drus ma 800 m, łód 70° - 90°, trudności VI, A1.*

Wyjechaliśmy kolejką na Grandes Montetes gdzie zamierzaliśmy przenoćować. Cel naszej wspinaczki wyglądał imponująco - „czarny potwór”.



Fot. Autor

zgodnie ochrzciliśmy północne ściany Les Drus. O szóstej rano byliśmy pod ścianą. Pierwsze wyciągi okazały się całkiem przyjemne, bo w dobrym i nie stromym lodzie. Potem poprowadziłem dwa szóstkowe wyciągi miksowe. „Czarny potwór” okazał się do ugryzienia. Paweł poprowadził piękną 50 metrową przewieszoną ryse. Wspinaczka haka o trudnościach A1, bez kompletu haków. Ruszyłem za Pawłem i... zaczęły rwać się nowe sznurki przy laweczkach. Kilka razy wiązałem supelki, ale niestety posyłając kilka niewyszukanych pozdrowień pod adresem sklepu w Smokowcu /Słowacja/, wrzuciłem laweczki do plecaka. /A może to „Czarny potwór” gryzł/. Teraz trzeba było użyć siły i malpiej zręczności. /którą każdy wspinacz powinien posiadać/ i dostać się do zniecierpliwionego Pawła. Później kawaleczek do góry i planowany biwak na lekko /plachty NRC, jedzenie, gaz/. Następnego dnia jeszcze po ciemku skalny wyciąg V+, następny IV i znowu V+. Kończąc trudności skalne, zobaczyliśmy, że ktoś za nami się wspina i to dość szybko! Po kontakcie wzrokowym, przyszedł głosowy, prowadzący z zespołu pod nami /będąc 30m poniżej/ zapytał: Ten hak tytanowy to twój? Mój - odpowiedziałem. Wybić ci go? Nie! Jest mocno wbity! Zobaczyłem markotny wzrok gościa i doszły mnie słowa: Tytan w Polsce jest tani. Skąd on wie, że jestem z Polski - pomyślałem sobie, ale żał mi się go zrobiło i powiedziałem, że jak chce to może tego tytana wybić i wziąć. Zostawił. Po kilku chwilach wgrzyliśmy się w lód, zespół poniżej również. Porozmawialiśmy sobie chwilkę, okazało się że są to żandarmi /zawodowi ratownicy z PGHM/. Powiedzieli nam o lepszej drodze zejściowej i szybkim dojściu do schroniska Charpoua, potem nas minęli! Miałem wrażenie, że mijają nas BMW, a my jedziemy „Syrenką”. Będzie trzeba potrenować, powiedziałem do Pawła i ruszyliśmy w górę. Łód był mój! /Skała Pawła/. Na jednym wyciągu 85° nachylenia pod koniec drogi trzeba było złożyć wiszące stanowisko. Ze względu na zmęczenie i wygodę stanowiska Paweł przejął prowadzenie. Gdy wyszedł o około

15-20 m nad stanowisko, podekscytowany krzyknął: „Schowaj się Arek, polecą ci duże kawały lodu, odłupalem go. Jak się ruszasz to spadnie”. Jak duży, zapytałem, bynajmniej nie z ciekawości. Duży, bardzo duży!! Dobrze powiedzieć schowaj się, będąc przywiązany do wiszącego stanowiska. Ok! Zrzuciłem krzyknąłem, przytulony do lodu. Po sekundzie coś ześlizgnęło się po kasku, błysk przed oczami i zobaczyłem kilka dodatkowych gwiazd na niebie /a było już ciemno/. Blok lodu był bardzo duży, jeszcze dłu-

giace. - Gdzie się wybierasz, może byś trochę posiedział zamiast się tyle wspinąć. - Po to tu przyjechałem, ty tu mieszkasz, to możesz sobie odpuścić wspinanie na miesiąc-dwa. Idę na północną Grand Charmoiz. Sam? - zapytał. Dlaczego nie? Tylko Francuzi mają monopol na wspinanie solo w Alpach? - zażartowałem. No nie - do zobaczenia! Kaźdy z nas udał się w swoją stronę. Podszedłem pod ścianę, podjadłem, odpocząłem i w nocy ruszyłem. Dół wyglądał niegroźnie, ale w górze wiało i śnieg zsywał się ścianą wciskając się za kołnierzy, rękawy itd. - Nieźle, muszę sobie kupić gogle z wycieraczkami. Pokonałem dolne trudności i wszedłem na ogromne pole śnieżne /55°-60°/ i tutaj się zdziwiłem. Myślałem, że przemknę je w pół godziny, ale duża ilość śniegu, zapadanie po kolana i wyżej zastopowało mnie na dobre kilka godzin. Z duszą na ramieniu /ze strachu, czy pole nie wyjedzie i plecakiem na plecach/, przedarłem się pod główne trudności drogi. Mixt wyceniony na V+ w 90-metrowym ciągu okazał się przyjemnością w porównaniu z polem śnieżnym poniżej. Ostatnie 100 metrów III-IV, pod wierzchołkiem zaciątko V+ i koniec! Cudowna pogoda, kilkanaście zdjęć, zjazdy na południową stronę, lodowiec i zrobiła się ciemność. Byłem w lesie, żadnych śladów i co dalej? Mapa, kompas, wysokościomierz, kilka salt między wykrotami i już o pierwszej w nocy byłem w Chamonix.

## Dwa dni z przygodami

10 lutego Arek wraz z Laurentem Theolere udał się na filar Croza, na Grandes Jorasses, 1000 m, skala V+, lód 60°-70°.

Podchodziliśmy pod ścianę na nartach z fokami, ciągle odpinało mi się jedno wiązanie, ale nie to, obok na filarze Walkera mamy dobre towarzystwo - Catherine Destivelle, solo. Mimo ciemności szybko poruszaliśmy się, łatwo odnajdując drogę. Około południa prowadząc trudny skalny wyciąg zapomniałem z wrażenia, że nie tylko ręce trzeba rozgrzewać, ale także nogi. Zakładając stanowisko poczułem, że...nie czuję jednej stopy. Przymroziłem się lekko. Kilka wyciągów wyżej /połowa ściany/, gdy prowadziłem wyciąg w lodzie złamał się rak Simonda /druć utrzymujący przód buta/. Cudownie-tempo spadło, noga przymrożona, rak złamany, może dość tego. Laurent prowadził już do końca, a mnie zle prześladowało dalej. Nie wiem jak, ale moja „poignee” /malpa/ z karabinkiem HMS „udała” się pod ścianę. Pięknie...pięknie! Biwak calcium niezły i następny dzionek bez raka. „poignee”, bez jedzenia, ale mimo tych przeciwności przemierzaliśmy się w górę. Pod koniec dnia i drogi /30 m od grani/, mając w perspektywie długie i nieznane zejście /bez raka/, gdy moja stopa dawała się coraz bardziej we znaki, a raczej coraz częściej znaków nie dawała, postanowiliśmy skorzystać z dobrodziejstw postępu technicznego. Przez radiotelefon ICOM zawołaliśmy do żony Laurenta, która zatelefonowała po śmigłowiec PGHM /żandarmerii górskiej/. Przylecieli o zmroku i już w ciemnościach /w nocy! / za-



Zjazdy z Mont Blanc du Tacul

Fot. A. Gąsienica Józkowy

gą chwilę nie mogłem się pozbierać, żebra /nie wiem dlaczego akurat żebra/ bolały mnie jeszcze przez dwa-trzy tygodnie. Skończyliśmy drogę, po śladach żandarmów dotarliśmy szybko do schroniska, gdzie zostawili nam trochę jedzenia - fajni goście. „Czamy potwór” został pokonany. F. Marsigny powiedział, że mimo mijających nas żandarmów, dwa dni na tej drodze to dobry wynik.

## Solo na Grand Charmoiz

Po sukcesie na Les Drus i odpoczynku, Arek wyruszył 3 lutego na północną ścianę Grand Charmoiz, na drogę Merkl-Welzenbach z wariantem prostującym Bouchard-Zajachowski, 900 metrów o nachyleniu 60°-85° i trudnościach V+. Tym razem był sam.

Podchodząc pod ścianę spotkałem kolejnego przewodnika, który jechał z klientami na Mer de

brali nas z grani. Wszystko przebiegało bardzo sprawnie i szybko, a jako ratownik TOPR-u mogę ocenić to od strony fachowej. Trudno „...nosił wilk...ponieśli i wilka...” Tym sposobem znalazłem się w szpitalu w Chamonix, a sympatyczna pani doktor powiedziała, że gdybym spędził jedną noc więcej w górach, rekonwalescencja mogła potrwać dwa-trzy miesiące. Po dwóch tygodniach mogłem się znowu wspiąć.

Mój wyjazd był możliwy między innymi dlatego, że pan Tadeusz Klepezyński, właściciel firmy fotograficznej „Labor System” częściowo go sfinansował. Oprócz tego udostępnił mi materiały fotograficzne i aparaty. Natomiast Bogdan Jankowski wypożyczył radiotelefony ICOM, własność PZA, za co winien jestem podziękowanie (szczególnie za palec lewej nogi). Wiele zawdzięczam też znajomym z Francji, z którymi się wspinałem i u których miesz-

kalem. Bo myślę, że w górach ważne jest nie tylko to co się robi, ale przede wszystkim z kim się robi!

## Kalendarium

1. 10.01.93 - Mont Blanc du Tacul, droga Modica-Noury, ED
2. 15-16.01.93 - Mont Blanc du Tacul, Super Culuar, TD+
3. 21-22.01.93 - Les Drus, Cecchinel-Jaeger, TD
4. 03.02.93 - Grand Chamois, Merkl-Welzenbach, TD
5. 10-11.02.93 - Grandes Jorasses, Filar Croza, TD
6. 09.03.93 - Les Droites, Culuar Lagarde, TD
7. 17.03.93 - Mont Maundit, direttissima Gabarou-Maquennenu, TD
8. 20.03.93 - Col Du Plan
9. 30.03.93 - Aiguille du Midi, Mallory

# Z ALPEJSKIEJ ZIMY

## Północna Eigeru w 23 godziny.

22 stycznia 1993 roku zespół w składzie: Janusz Gołąb, Wojciech Gumula i Stanisław Piecuch przeszedł drogą klasyczną na północnej ścianie Eigeru. Wspinali się bez biwaku przez 23 godziny, z dwiema przerwami na posiłek. W ścianę ruszyli o 1 w nocy. Pierwsze 300 metrów przeszli nie związani. Tę część ściany znali z nieudanej próby, która miała miejsce dwa dni wcześniej. Świt zastał zespół na pierwszym polu lodowym po trawersie Hinterstoissera. Wiślały na nim poręczówki. Początkowo warunki pogodowe były idealne, temperatura -5°C, można było ściągnąć rękawiczki. Śniegiem sypnęło na trzecim polu śnieżnym za Żelazkiem. Prawdziwa burza dopadła zespół na biwaku Cortiego. Kiedy trudności się skończyły, zaczął wiać tak silny wiatr, że trzeba było złożyć biwak 50 m od szczytu. Działo się to około godziny 23. Ostatnie trudności pokonywali przy czołówkach. Spali w jamach śnieżnych. Rano wiatr ustał na tyle, że można było iść dalej. Ze szczytu schodzili trzy godziny.

AK

## Co mówią o nas w Chamonix?

Opinia o Polakach w Chamonix jest taka, że nie umieją wspiąć się w lodzie. Są zazwyczaj mało z nim obcy i co gorsza nie starają się tego zmienić, nie trenują. Jest w okolicy kilkadziesiąt lodospadów ze stanowiskami ze spitów osadzonych w skale. Są to kilkucyjagowe, bezpieczne drogi, na których można się nauczyć i techniki i szybkości. Ale Polaków się na nich nie spotyka. Dlatego potem zdarzają się przejścia trwające dłużej, niż w wykonaniu Francuzów.

Drugą cechą polskich alpinistów jest brak orientacji co do możliwości pokonywania poszczególnych dróg. I stąd mała elastyczność w doborze celów. Polscy wspinacze przyjeżdżają z gotowym planem akcji i starają się go realizować, bez względu na warunki lokalne. Tymczasem lepiej zorientowani gospodarze wiedzą, że obok „mężczonej” drogi można zrobić przejścia o podobnej trudności, w lepszym czasie i stylu. Ale trzeba się w tych niuansach orientować.

Francuzi jednak zauważają dobrych wspinaczy i mówią o tym. Bardzo pozytywną ocenę wystawiono w ostatnim sezonie zimowym zespołowi, który na Grandes Jorasses zrobił drogę „Manitua”.

AK

## Zimą na Watzmannie

W lutym br. wybraliśmy się na tydzień w Alpy Berchtesgadenkie, w rejon Watzmanna. Trafiliśmy na 7 pięknych, słonecznych dni, a w ścianach - na ponad półmetrową warstwę świeżego śniegu. Naszym początkowym celem była 2000 metrowa, wschodnia ściana Watzmanna Pld, a konkretnie najłatwiejsza droga na tej ścianie, tzw. Berchtesgaden Weg. Zagrożenia lawinowe wybiły nam z głowy ten pomysł.

Zmieniliśmy cel na wschodnią ścianę głównego wierzchołka masywu Watzmanna (2713 m), opadającą do kotle ponad 700 metrowym urwiskiem o trudnościach III-. W popularnym przewodniku po wartych uwagi średnio-trudnych drogach alpejskich („Im Schwestern Fels”) Walter Pause poleca tę ścianę (tzw. Wiederoute) pod pozycję 57.

Nie zdecydowaliśmy się na atakowanie drogi 1 lutego, gdy - po biwaku w kotle - podeszliśmy rano pod ścianę. Uznaliśmy, że stan śniegu stwarza zbyt duże ryzyko. Następnego dnia weszliśmy normalną drogą (ubezpieczony szlak typu Orla Perć) na Watzmanna. 5 lutego, znów po biwaku pod ścianą, przeszliśmy Wiederoute w 10 godzin. Dolne 3/4 ściany (lodowy kuluar i ogromna śnieżna rampa) pokonaliśmy przy latakach, by uniknąć zagrożenia lawinowego, które pojawiło się, gdy tylko zaczęło operować słońce. Znaną nam już drogą zeszliśmy do schroniska Watzmanna, które ma 4 osobowy winterraum. Gdy następnego dnia opuszczaliśmy Berchtesgaden - niebo pokrywało ciemne chmury i padał deszcz.

W górach, w których spędziliśmy w sumie 6 dni, spotkaliśmy dwóch wspinaczy i tłum narciarzy w kotle Watzmanna, który jest jedną z najpopularniejszych tras dla miłośników skialpinizmu.

Iwona i Andrzej Skłodowsky

# ZIMOWY SEZON TATERNICKI 1992-93

Ostatnia zima była świadkiem dalszego kurczenia się polskiej czołówki taternictwa zimowego, czego najlepszym dowodem była słaba obsada obozu unifikacyjnego w Dolinie Kieżmarskiej. Teraz już bez żadnej przesady można by powiedzieć, że zmieściłaby się ona tj. czołówka w „budzie” na Włosienicy. Jak widać budowla ta została zaadoptowana do potrzeb PZA z dużym wyczuciem perspektywicznym. Brak ilości, niezupełnie zgodnie z teoriami Marksa, nasze taternictwo zimowe zamieniło jednak w jakość. Na czoło wysuwają się przede wszystkim jednodniowe przejścia „Ścieku” i „15.10 do Yumy” będące rozwinięciem stylu „non-stop”. Późniejsze sukcesy alpejskie (np. jednodniowe przejście zimowe pn. ściany Eigeru drogą klasyczną) potwierdzają użyteczność tego stylu w różnych warunkach i tym samym wyrabiają mu prawo obywatelstwa również w alpinizmie zimowym uprawianym na trudnych ścianach.

Wśród nielicznych naszych dokonań tej zimy po słowackiej stronie Tatr na czoło wysuwają się: I zimowe przejście drogi Gierycha i Preyznera na pn.zach. ścianie Krywania oraz pierwsze polskie przejście drogi przez „Biały Wylom” na pn. ścianie Jaworowego Szczytu w wykonaniu tego samego zespołu.

Niez mordowany Jasek Muskat z Zakopanego z różnymi partnerami poprowadził kolejne nowe drogi własnego pomysłu na wapiennych ścianach Tatr Zachodnich, a to na Wielkiej Turni i na Kozim Grzbiecie, sąsiadującym z Kazalnica Miętusią od wschodu. Specjalnością Jaśka stała się swoista „zimowa wspinaczka klasyczna”, która polega głównie na poruszaniu się przy pomocy tzw. dziabadel,

z minimalnym zastosowaniem sztucznych ułatwień typu wiszenia na hakach, czy też chwytania się ich. Nowe drogi Jaśka, wytyczane na obfitujących w urwiste trawki, ścianach Tatr Zachodnich zgodne są właśnie z tą logiką, zarówno co do ich przebiegu jak i charakteru.

Na koniec wspomnieć też należy o paniach, które znów nieco podniosły poprzeczkę żeńskiego wspinactwa, pokonując w zespole czysto kobiecym kant filara Kazalnicy.

Podstawą ostatnich efektownych sukcesów naszych zimowców stał się, jak się zdaje, systematyczny i gruntowny trening w skałkach i na sztucznych ściankach. Współczesny zimowiec jest zarówno dobrym skalkowcem, jak i hakmenem, i specjalistą od wspinaczki w lodzie w jednej osobie. Grupka reprezentująca tego typu umiejętności jest jednak siłą rzeczy dość wąska. Korzystnym zjawiskiem jest za to to, że powoli zanika tutaj brutalna i prymitywna konkurencyjność, tak bujnie rozkwitająca w okresie naszego Drang nach Himalaya. Potwierdza to tylko pogląd, że prawdziwemu mistrzostwu hałas i jazgot wcale nie są do życia potrzebne. Atmosfera wokół alpinizmu powoli się oczyszcza, zaś tepla boiskowość w znacznej mierze zepchnięta została na panele. Wreszcie znowu stajemy się kapliczką straceńców!

## Wykaz ciekawszych przejść:

### I - rejon Morskiego Oka:

- Kocioł Kazalnicy: „Ściek”; Jacek Fluder i Janusz Gołąb 25.12.92; 18 godz. (I przejście jednodniowe)

- Mała Rogata Szczerbina: Kominem Węgrzynowicza; Jacek Jania i Maciej Rysuła 26.12.92

- Mięguszowiecki Szczyt - filar; Tomasz Kohler, Andrzej Kurowski i Wojciech Mateja 29-30.12.92

- Ściana czołowa filara Mięg. Szczytu Wlk. -prawy komin: T. Kohler i W. Mateja 26.12.92

- Wołowa Turnia - pn. ścianą, kombinacją drogi Pająków z drogami Chrobaka i Stanisławskiego: J. Fluder i J. Gołąb. 30.12.92

- Mięguszowiecki Szczyt- filar: Jacek Kantyka i Marek Okularczyk 5-6.01.93

- Kazalnica - dr. Łapińskiego: J. Kaczmarczyk i Marek Serwa, 16.01.93

- Mięguszowiecki Szczyt - Czarne Zacięcie w ścianie czołowej filara+ filarem do szczytu: Bogdan Samborski i Bogdan Stano, 4-5.02.93

- Kocioł Kazalnicy - „Superściek”: J. Fluder i Stanisław Piecuch, 5.02.93, 13 godz.

- Kazalnica - „15.10 do Yumy”: J. Fluder i J. Gołąb 9.02.93, 18 godz. (I przejście jednolite)

- Kazalnica - kant filara: Monika Niedbalska i Aleksandra Tomkowicz, 11-12.02.93 (I przejście czysto kobiece)

- Mięguszowiecki Szczyt - direttissima pn. ściany:

- A. Nowak i J. Woćko 13.02.93

- P. Kotas i M. Serwa 14.02.93

- R. Kastelik i M. Krywult 16.02.93

### Przejścia solowe

- Mnich - wariant R: J. Czech 4.02.93, 9 godz.

- Mięguszowiecki Szczyt - direttissima pn. ściany: J. Gołąb 13.02.93

- Ściana czołowa MSW- Starek-Uchmański: T. Kohler 13.02.93

### Słowacja

- Krywań - pn.zach. ścianą, dr. Preyznera (I w. zimowe): A. Dutkiewicz, J. Jania, M. Rysula i Arkadiusz Kubicki, 2 dni w lutym

- Jaworowy Szczyt - pn. ścianą przez „Biały Wylom”: Andrzej Dutkiewicz, Jacek Jania i Maciej Rysula, 2,5 dnia w lutym

- Ganek - wsch. filarem: Wojciech Kurtyka i tow. w lutym

- Żółta Ściana - direttissima: Wiesław Ignatowski i tow. w lutym

- Wysoka - pn. ścianą, drogą Stanisławskiego: 15.02.93, M. Chmieliński i B. Szczepańska-Stano

### Tatry Zachodnie:

- Wielka Turnia - nowa droga pn. ścianą: Jan Muskat i Ludwik Wilczyński

- Kozi Grzbiet - nowa droga lewą częścią ściany: J. Muskat, L. Wilczyński i tow.

**Uwaga:** wykaz przejść może być niekompletny

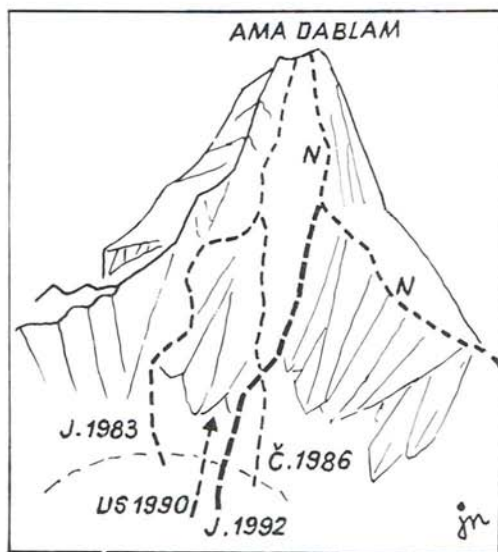
## Józef Nyka

# Zima 1992-93 w Himalajach

Himalaizm zimowy jest, jak pamiętamy, wynalazkiem polskim, nie zdobył sobie jednak większej popularności, zwłaszcza jeśli chodzi o ośmiotysięczniki, przy których „współczynnik sukcesu” okazał się być nieopłacalnie niski. W listopadzie 1992 r. wyruszyło w Himalaje Nepalskie 10 wypraw, 7 z nich na szczyty niższe. Aż pięć zespołów - polowa ogólnej liczby - wybrało Ama Dablam (6812 m) i wszystkie zrealizowały swoje plany, choć bez wyjątku w pierwszej połowie grudnia, czyli przed rozpoczęciem właściwej zimy. Jest jednak także efekt sportowy tej radosnej działalności: członek wyprawy japońskiej, Jasushi Yamanoi wszedł 6 i 7 grudnia na Ama Dablam nową drogą, stromym i nietłumym prawym żebrzem zachodniej ściany. Bi-

wakował po osiągnięciu drogi normalnej (rysunek). Władze w Katmandu pieklily się, że wyprawy rozwinęły akcję przed 1 grudnia, czyli przed terminem wyznaczonym w zezwoleniach.

Trzy wyprawy zdecydowały się na 8-tysięczniki: hiszpańska na Cho Oyu (8201 m), amerykańsko-brytyjska na Everest (8848 m) oraz hiszpański samotnik, Fernando Garrido (34) na ten sam szczyt (początkowo planował on zimowy atak na K2, wyperswadowano mu go jednak). Silna wyprawa anglosaska, głównie wojskowa, atakowała Everest drogą normalną. Mimo iż tlenu używano już od obozu III (7300 m!), zdołano dotrzeć tylko do Przełęczy Południowej (7900 m), na której stanęli trzej Szerpowie. W Boże Narodzenie otrąbiono odwrot - jako



jedną z przyczyn podano niesforny Icefall, który „wyczerpał zespół nerwowo”. Na ten moment czekał Garrido (w zimie 1988 zdobył on samotnie Cho Oyu), który zaplanował wejście solowe i nie chciał mieć nikogo na drodze. Niestety, i on musiał się poddać nie osiągnąwszy Przełęczy Południowej (7 lutego dotarł do 7750 m), na domiar złego 15 stycznia stracił Szerpę, który wpadł do szczeliny. W Katmandu zapowiedział, że następnej zimy wybierze drogę od strony Tybetu - „tam będę mógł być rzeczywiście sam”. Najlepiej powiodło się wyprawie na Cho Oyu, która na dodatek działała w środku sezonu. Trafiła ona na okres świetnej pogody dzięki czemu w dniach 8 i 10 lutego na szczyt weszło 7 z ogółem 8 uczestników. Byli to: Fernando Guerra, trzej Manuele - Gonzalez (kierownik wyprawy), Morales i Salazar, Luis Arbues, Argentyńczyk Miguel A. Sanchez oraz młoda Szwajcarka, Marianne Chapuisat (24). I to jej wejście trzeba uznać za sportowy sukces sezonu: jest pierwszą panią, której udało się wejść zimą na szczyt ośmiotysięczny!

Oprócz regularnych wypraw, działały też zimą w Nepalu zespoły w ramach zezwoleń trekkingowych. Tak np. Słoweńcy Janko Opresnik i Danilo Tic przeszli 9 grudnia drogą Lowego i Kendala na Lobuche East (6119 m), ale tylko do grani. Od wierzchołka dzielił ich jeszcze dystans jednego dnia, nie było to więc przejście drogi, nie była też zima.

W Pakistanie wyprawy zimowe pojawiają się sporadycznie - zimy 1992-93 jest jednak do odnotowania ambitna próba na Flance Rupal Nanga Parbat (8125 m). Podjęła ją drogą Schella para Francuzów: Monique Loscos i Eric Monier. Z rozpoczęciem działalności poczekano do właściwej zimy, a dwukrotne solowe przekroczenie wysokości 6000 m uznać trzeba za wynik bardzo dobry (2 stycznia do 6100 i 9 stycznia do 6500 m). Monique

doszła do 5500 m. Wydaje się, iż na Nanga Parbat korzystniejsze warunki lodowe panują po stronie Damiaru, skąd szczytu dotąd zimą nie atakowano.

Himalajska zima 1991-92 obyla się szczęśliwie bez wypadku, ostatni jednak sezon okazał się prawdziwie tragiczny. W cizbie na Ama Dablam leciały kamienie i bryły lodu, jedna z nich strzaskala ramię Belga Alaina Huberta. Były przypadki odmrożeń, a także zgony. Wspomnieliśmy już śmierć Szerpy w szczelinie, dramatyczny przebieg miała wyprawa koreańska na Langtang Lirung (7234 m. I wejście zimowe 3 I 1988 wyprawa polska). W dniu 18 grudnia 1992 weszli na ten szczyt Jin Kyun Kim (35) oraz Szerpowie Bir Bahadur Tamang (33) i Dorje Tamang (33). Niestety, z nie całkiem jasnych powodów zaginęli oni podczas nocnego zejścia, prawdopodobnie porwani przez lawinę. Według skrupulatnie prowadzonych rachunków pani Elizabeth Hawley, w sezonie wspinano się 100 osób, w tym 37 Szerpów. Statystycznie biorąc, śmiertelność była więc bardzo wysoka: ogółem 4%, a jeśli chodzi o samych Szerpów - aż 8%. Na szczęście zima 1992-93 należy pod tym względem do wyjątków.

**Sukcesem numer jeden wiosny 1993 w Himalajach było zdobycie PYRAMID PEAK czyli PAT-HIBHARA**

Szczyt to nie szczególnie wysoki, ale siedmiotysięczny i do tego dziewięciz. Wejścia dokonała - idąc z Sikkimu - wyprawa japońsko-indyjska (5+11), której kierownikami byli Yoshio Ogata i Harbhajan Singh. Bazę założono nad Zjeziorem Zielonym już 7 marca. Baza wysunięta (5459 m) i obóz I (5600 m) stanęły dopiero 7 i 11 kwietnia. Najpierw próbowano innego wariantu drogi, ostatecznie jednak wybór padł na wybitną grzędę szczytu Sfinx (6824 m), na której rozbito obóz II (6700 m). Po przetrzawersowaniu Sfinxa, zdobytego już w r. 1936 przez Anglików, zaporęczowano grań wiodącą w stronę Pyramid Peak - aż poza jego NE wierzchołek. Jak to ostatnio jest w modzie, wejść dokonano dużą częścią składu wyprawy, 24 kwietnia 1993 r. z dziewięcizgo Pyramid Peak zwycięskie „Banzai” przekazali do bazy Yoshio Ogata, Hiroshi Iwasaki, Nobuhiro Shingo (50) z Japonii oraz Singh Bhundari, Sunder Singh Martolia, Lopsang Sherpa i Purba Lepcha z Indii. W dwa dni później wejście powtórzyli Masanori Suzuki, Kazuaki Hirata oraz Hindus Hira Ram. Pięciu innych uczestników weszło na wierzchołek NE, zdobyty już w r. 1949 przez trzech Szwajcarów. Zdaniem Ogaty, klucz do całej drogi stanowi 7-wyciągowa grań łącząca ten punkt ze szczytem głównym, tworząca zjeżdżnię nawisami „szablę” śnieżną. Niezbyt fortunną europejską nazwę Pyramid Peak kilka lat temu zmieniono urzędowo na Pathibhara.

Pierwotnym celem wyprawy był dotąd nie zdobyty Nygye Kangsang (7047 m) w Arunachal Pradesh w Indiach, nie uzyskano jednak na niego zezwolenia, mimo iż 2/3 składu ekipy stanowili członkowie Indo-Tybetańskiej Policji Granicznej.

# POSZUKIWANIE



Noc. Gwiazdy rozbłyskują nad moją głową. Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą czółówkę. Niepotrzebnie. Jest tak fascynująco jasno. Nie mogę odmówić sobie obserwacji nieba. Moje oczy i gwiazdy. Czuję, jakby były jednym i tym samym. Gdzie ja jestem? Siedzę na twardym, zmarzniętym śniegu i dopiero po dłuższej chwili dociera do mnie chłód lodowca. Rozpływam się w ogromie ciszy. Ogarnia mnie ezama a jednocześnie błyszcząca przestrzeń. Z odrętwienia budzi mnie niepokój. Co będzie za kilkanaście minut? Jakie warunki spotkam w ścianie? Uspokajam się, pamiętając opowieści dziewczyn, które zrobiły Tour Ronde kilka dni temu. Łatwa wspinaczka w cudownym lodzie. Asekurowały się, bo niewygodnie jest iść z liną w plecaku.

Wstaję i szybkim krokiem kontynuuję podejście. Oglądam się za siebie. Staram się dojrzeć czółówkę Piątka wchodzącego właśnie w Kuluar Gervasuttiego. Nie widzę światełka, a więc także i jemu wystarcza naturalne światło nocey.

Nie po raz pierwszy wspinam się sam. Nie jestem jednak u siebie w domu, w Tatrach. Nieoswojona przestrzeń. Pojawia się uczucie strachu. Spoglądam raz jeszcze za siebie, ale decyzja została już podjęta. Staram się nie zgubić ścieżki. Szedłem nią już parę dni wcześniej, podchodząc pod wschodnią ścianę Mont Blanc. Ślady są dobrze widoczne. Później, już bez nich, docieram pod szczelinę brzozną. Podnoszę głowę. Dostrzegam pierwsze pole lodowe. Odeienie szarości. Ciemne smugi, koryta stalowego lodu. Nie zdaję jeszcze sobie sprawy, z tego, jak bardzo zmieniły się warunki. Lód jest bardzo twardy.

Wkładam uprząż. Przypinam sobie ekspres i jedną tytanową rurę. To wszystko co posiadam. Mam nadzieję, że nie będę musiał z nich korzystać. Poprawiam raki.

Z jednej strony czuję radosną chęć sprawdzenia się, uchwycenia nowych doznań, rąbków szczęścia. Daleki

jestem jednak od fikania koziołków. Pomimo że wierzę i ufam sobie, wargnięcie w krainę lodu przeraża mnie. Dotkliwie odczuwam samotność. Jednak sam jej chciałem i nikt mnie do przyścia tutaj nie zmuszał. Kiedy sobie to uświadamiam, moja pewność odradza się na nowo.

Stoję pod szczeliną i czuję pulsację ściany. Cisza wibruje w moich uszach. Rozmawiam z nią myślami. Porozumiewamy się wzrokiem. Myślę, że się zaprzyjaźniliśmy. Nie chcę zakłócić jej spokoju. Ranię ją uderzeniami dziabek i raków. Niech jeszcze potrwa. Podnoszę wyżej głowę i mrugamy do siebie z gwiazdami. Czuję się jednak wspaniale.

Mijają chwile. Jedna, druga... Uświadamiam sobie, że odwiekanie startu jest przyjemne. Tak bardzo chcę już biec do góry, a jednak stoję w miejscu. Chłonę rozdergane powietrze. Później będę zbyt skoncentrowany, aby odczuwać. Wtopiony w mrok, delektuję się, nie bardzo zdając sobie sprawę czym. Przez moment staram się rozróżnić dopływające do mnie bodźce. Szybko rezygnuję. Po co, przecież jest tak pięknie. Nie chcę tego popuszczać.

Siedziałeś na grani Zamarłej Turni. Minęły już prawie trzy lata od chwili, kiedy czas się zagubił. Mieliście wtedy setki planów na przyszłość. Większość czasu spędzaliście razem. Nie przyjaźni, która was łączyła, zdawała się nigdy nie przerwać. Wspólne ściany, marzenia, drogi. Uczyłeś Go, jak można kochać góry. Patrzyłeś na nie, wspinając się. Byłeś jego górskim, starszym bratem. Poznałeś go przypadkowo. Chyba nie próbowałeś sobie uświadomić, dlaczego Go polubiłeś. To właśnie na tej ścianie, nad którą się właśnie teraz znajdowałeś, poprowadziliście wspólnie nową drogę. To były piękne chwile. Śmierć twojego przyjaciela zachwiała całym twoim światem. Czas się zatracił.

Wpatrywałeś się w pustkę przed sobą. Garść kamieni w ręku. Powoli, po jednym wypuszczasz je z dłoni. Ktoś w podobny sposób bawi się każdym z nas. Kiedy już nie zostanie żadnego kamyczka w dłoni, czas odejść.

Pół godziny temu runęła na ciebie kolejna, tragiczna wiadomość. Dowiedziałeś się, że tym razem zginął jeden z tych, którzy ciebie wprowadzali w góry. Jeden z twoich górskich braci. Jeżeli mowa o doświadczeniu, to właśnie On je miał. Ale nie było już kamyczków w dłoni.

Przez prawie trzy lata poszukiwałeś czasu, który się zagubił. Szukałeś czasu, który straciłeś. Czy do końca? Chyba nie. Znalazłeś Ją, tą Jedyną, Kochaną i Wyśnioną, Zagubioną, tak jak i ty. Przyszedłeś po Nią i pomogłeś odnaleźć jej czas. Nawet nie zauważyłeś chwili, w której stało się jasne, że tą drugą, poszukiwaną, twoją połową jest właśnie Ona. Znalazłeś swoje dopełnienie.

nie. Twojego Króliczka. Będąc razem, nie wyobrażasz sobie, aby nie trzymać Jej dłoni. Gdy dłonie się rozłączą, kamyki wasze znikną równocześnie. Zawsze razem. Tu i Tam też.

Wstałeś i podszedłeś do ludzi, z którymi się wspinałeś. Podziękowaliście sobie nawzajem. Uciszenie dłoni. Uczyleś ich wspinania. Uczyleś ich partnerstwa. Czy dostrzegli lzy w twoich oczach? Poczęstowali cię słodyczami. Oni znali Jaska bardzo krótko. Jeszcze przez chwilę siedzieliście milcząc. Wspominałeś swoje go instruktora.

Zastanawiałeś się nad sensem tego, co robisz. Powijające się pytania, na które nie mogłeś znaleźć odpowiedzi. Góry. Z jednej strony tak piękne i cudowne. A z drugiej ... Poczuleś ogrom bezsilności wobec otaczającej cię rzeczywistości. Ty już nie potrafisz się wycofać, ale oni? Może oni nie przekroczyli jeszcze tego progu, zza którego powrót jest już niemożliwy. Smutno.

Szczyt Zadniego Kościelca. Siedzę na linie, wpatrując się w przesuujące mgły. Przepływają tak bardzo blisko, w odległości wyciągniętej ręki. Jest jeszcze dosyć wcześnie, ale kilka dni wspinaczkowych zrobiło swoje. Brakuje chęci, a może i sił na zrobienie jeszcze jednej tego dnia drogi. Odczucia moich partnerów są podobne. Decydujemy się więc na zakończenie działalności. Jedząc czekoladę, wyciągam spod nóg duży kryształ kwarcu. Obracam go w palcach, zastanawiając się, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, abym go stąd zabrał. Ładny prezent dla mojego Króliczka. Na pewno się ucieszy.

Po raz kolejny zastanawiam się, co przemawia za tym, że znajduję się teraz właśnie tutaj, wśród moich gór. Może powinienem odpocząć, pooddychać innym powietrzem. Coraz bardziej wyraźnie uświadamiam sobie, jak bardzo tęsknię do Niej, mojej Jedynej.

Schodząc pod zachodnią ścianą opowiadam kursantom o widocznych drogach, o historii zdobywania poszczególnych fragmentów zerwy. O człowieku, który zapłacił cenę najwyższą za przebłęski szczytów, które znalazł w górach, nie mogąc wyrwać się z pędzącego ku końcowi łańcuchowi swojego losu.

Czuając, że chcę być sam, zostawiam mnie wpatrnego w przestrzeń. Budzę się z odrętwienia. Staram się ich dogonić, ale zeszli już zbyt nisko. Po chwili spotykam Rekina i Dozenta, podchodzących pod drogę Byczkowskiego. Zapalam papierosa obserwując, jak szukają wejścia w drogę. Postanawiam poczekać, aż ją skończą. Razem zejdziemy na dół.

Znajduję się w miejscu, w którym w ścianę wcina się duża, trawista zatoka. Łatwe płyty oddzielają od siebie dwa spiętrzenia, dolne mające około trzydziestu metrów i górnym, pięćdziesięciometrowe. Ten dziewięć, szerokości kilkudziesięciu metrów odcinek ściany wypatrzyliśmy z Rekinem w zeszłym roku. Poprowadziliśmy wtedy zadziwiająco łatwą, jak się okazało po fakcie, drogę. Dzięki paru czułym ruchom wśród wiszących wampirków oraz wspólnej fascynacji pięknym filmem o przyjaźni, nazwaliśmy ją „Tańczący z Blokami”. Żłudnie wywieszony ciąg zacięć nie przysporzył nam wtedy problemów, choć wyglądał z dołu imponująco.

Obserwując ścianę tuż na lewo, dostrzegłem możliwość poprowadzenia kolejnej drogi. Narzucające się, spionowane zacięcie zrobiło na mnie tak duże wrażenie, że zaintrygowany spostrzeżeniem wspiłem się do zatoki. Stojąc pod drugim spiętrzeniem, starałem się wypatrzeć możliwość przyasekurowania podczas przejścia, domyślając się, że stanowić to będzie kluczową

trudność. Kiedy mrużąc oczy, przemieszczając się pod zacięciem to w lewo, to w prawo, dostrzegłem wiodącą w nim szczelinę, wiedziałem już, że puści. Usiadłem uradowany, zapalając kolejnego papierosa, zatapiając się w marzeniach. Tak, jeżeli tylko uda nam się dostać do zacięcia przez lekko wywieszoną ściankę, droga będzie nasza. Krzyknąłem do Rekina, znajdującego się w górnych partiach drogi, o swoim pomysle. O dziwo mnie usłyszał. W odpowiedzi doszły do mnie popierające mój zapal okrzyki. Wiedziałem już wtedy, że prędzej, czy później zwiążemy się w tym miejscu liną i uderzymy w nieznanne.

Schodząc ścieżką, zatrzymałem się przy jedynym w najbliższej okolicy okapie. Tuż po prawej biegła droga znanego mi z kursu instruktorskiego Przemka Koska. Okap zaczynał się kilka metrów nad ścieżką. Zda-



jąc sobie sprawę z tego, że zanim chłopaki skończą drogę minie jeszcze trochę czasu, usiadłem zadzierając głowę do góry i wpatrując się w przewieszanie. Okap przyciągnął mój wzrok. Pomyślałem sobie, że wcale niegłupie byłoby jego przejście. Dopiero po chwili do-

tarło do mnie, że może być to możliwe. Mijały minuty, gdy układałem sobie w wyobraźni kolejne przechwyty.

Powtórnie wszedłem do zatoki. Szukałem dogodnego miejsca do założenia stanowiska zjazdowego. Staralem się odnaleźć je dokładnie nad okapem. Leżący pod ścianą plecak pozwolił mi odnaleźć właściwy kierunek. Obniżyłem się nieco, napotykając dobre szczeliny na haki. Wróciłem do ścieżki. Na przełęczy spoکاłem chłopaków. Rozgorączkowany opowiadałem o okapie i zacięciu.

Po kilku dniach pracy mam wreszcie czas dla siebie. Podchodzimy wśród jezior pod ścianę, ku naszemu okapowi. Nagle spostrzegam Je. Małe zwierzątko siedzące tuż obok ścieżki. Kładąc palec na ustach, pokazuję Rekinowi, aby zachował milczenie. Zdziwiony, podąża za moim wzrokiem. Stoimy jak wrośnięci w ziemię, wpatrując się i nie wierzymy własnym oczom. Wyciągam z plecaka aparat fotograficzny, starając nie poruszać się gwałtownie. Kiedy wyjmuję go z futerału, trzask odpinanego rzepa powoduje, że przysiadła na łapkach. Nie ucieka! Siedzi sobie tuż u wylotu nory, o metr od nas, pozostawione przez matkę, nie większe niż dwie pięści. Chwieję, wpatruje się w nas, mrucząc ślepią. Obraca się figlarnie wokół, udając, że nas nie widzi, podczas gdy ja robię zdjęcie za zdjęciem. Małe stworzonko, dlaczego się nas nie boisz? - pytam cicho, patrząc Mu prosto w oczy. Czyżbyśmy byli pierwszymi ludźmi, których widzisz? Może nie poznałeś jeszcze uczucia strachu, nieskażone cywilizacją, żyjące dotąd w swoim własnym, małym i bezpiecznym świecie? Po chwili matka przywołuje je do wnętrza. Piskuje jeszcze przez chwilę cichutko i znika.

Podchodząc dalej, czuję się wybrańcem. Czyżby moja łaś passa mijala nareszcie? Czuję się szczęśliwy, że powitało właśnie nas. Mały świstaczek a jak dużo potrafił mi dać! Niewiele jest rzeczy tak bardzo ważnych jak ta, która zdarzyła się przed chwilą.

Pierwsze przymiarki do okapu nie nastrajają optymistycznie. Szaleńcze odloty spod przewieszenia. Staram się do nich przyzwyczajać. Powoli odnajduję chwyt. Pierwszy z nich, wejściowy w trudności, jest w miarę porządnym. Następnie dwa przechwyty po ostrych krawądkach, obły podchwyt i nikiel nadzieje na szansę utrzymania się na nim. Cóż, inny wariant nie przychodzi mi do głowy. Odsuwam się wahadłem w przestrzeń. Starając się dociągnąć w głąb, nieuważnie strzelam do wystającego kwarca, rozcinając głębooko skórę na jednym z opuszków. Sycząc, proszę Reki-na, aby mnie opuścił. Wściekam się, bo to już drugi obwinieły plasterm palec. Wspominam chwilę sprzed dwóch lat, kiedy to o wiele gorzej pociąłem sobie palec podczas jednej ze wspinaczek na Mnichu. Nie zważając na naderwaną łątkę, starałem się wtedy dowieść sobie, że mogę się jeszcze wspiąć. Niestety, bez większych rezultatów.

Rekin, domyślając się trudności, nie przejawia chęci na dalsze patentowanie. Szybko zbieram się do kolejnej przymiarki. Za obłym podchwycem następuje zacięgnięcie na wklonowanym w szczelinę palcu wskazującym i ... odpychając się szeroko rozstawionymi nogami od ścianki pod okapem, próba przechwytnia powyżej. Nie mam jednak koncepcji na dalszy ruch, obciążam więc linę. Uf, skończyły się wahadła, bo teren wraca do normy. Wpada mi w oko zbieżna w trójkąt szczelinka z zaklinowanym kamiem. Staram się go wyciągnąć, ale siedzi zbyt mocno. Pomagam mu młotkiem, uśmiechając się do tej, niezbyt wygodnej dziurki na dwa palce. Wyszukuję dalekie sięgnięcie w lewo do dobrego odciążu. Szeroki rozstaw rąk przy

swobodnym zwisie nóg zmusza mnie do masywnego ściągnięcia. Dostawiam do ostrej krawędzi okapu nogi i sapiąc zawzięcie, wychodzę z trudności. Powyżej teren jest już o wiele łatwiejszy. Skośny trawers w prawo po gładkiej płycie, mała przewieszka i już stanowisko.

Stoimy pod okapem. Głośno zastanawiam się, czy ustalona sekwencja przechwytnów okaże się możliwa do wykonania w ciągu. Sporych wątpliwości dostarcza mi kwestia asekuracji. Druga wpinka w okapie będzie bardzo siłowa. Usiłuję o tym nie myśleć. Zaczyna kropić deszcz. Starając się zapamiętać kolejność sięgnięć, zwiąjamy sprzęt. Dobra klama, krawadki, obły podchwyt, zaklinowany palec ... Szybko zbiegamy do schroniska na soczek jabłkowy.

Już następnego ranka ponownie stajemy pod okapem. Cieszę się, że jest z nami Bobik, mój przyjaciel na dobre i złe chwile. Poszukiwanie nieznanego nie przeszkadza mi w ściągnięciu ze smatay. Mam nadzieję, że pomoże mi w obiektywnej wycenie trudności. Niestety, okap nie jest dla niego łaskawy. Pomimo moich podpowiedzi, nie jest w stanie wejść w podchwyt.

Przywiązuję się do wędki i ... przechodzę drogę bez obciążania liny. Staję zszokowany na ścieżce. Nie bardzo wierząc w to, co się stało, czuję się chyba szczęśliwy. Uśmiecham się. Bobik z Rekinem także się cieszą.

Pierwotne plany wbić haków do asekuracji rozwiewają się po dokładnym obejrzeniu szczeliny. Pęknięcia, które mam do dyspozycji są albo zbyt zalane, albo zbyt kruche. Muszę więc założyć kostki. Podczas kolejnego przejścia osadam dwa przeloty w okapie oraz dwa powyżej. Powinno wystarczyć.

Chwila odpoczynku i koncentracji. Decyduję się na prowadzenie. Zakładam świeże plastery na palce i przywiązuję się do liny. Proszę Reki-na, aby stanął nieco z boku. Będzie tam bezpieczny w razie, gdyby coś się ukruszyło.

Podchodzę pod okap. Dobra klama i pierwsza wpinka. Staję niżej i zanurzam ręce w magnezji. Szybko przechwytyję się przez krawadki i dosięgam obłego podchwytu. Staję szeroko na nogach i dociągam się do ściany. Znajduję się w prawie horyzontalnej pozycji. Zdaje sobie nagle sprawę, że z takiego układu nie zdolam się wpiąć do drugiej kostki. Przez sekundę uświadomiam sobie z jednej strony śmieszność, a z drugiej tragizm sytuacji. Niewiele myśląc, decyduję się na wykonanie dwóch kolejnych przechwytnów. Kostka, do której jestem wpięty znika gdzieś pod mną. Następna, tuż obok mojej twarzy, staje się tak bardzo odległa, poza moim zasięgiem. Lekkie drżenie ciała. Sięgam do kolejnego podchwytu. I znowu niespodzianka. Krzywię z wysiłku twarz. Wskazujący palec, jedyny, na którego przeniosę za chwilę cały ciężar swojego ciała, nie chce weisnąć się w szczelinę. Zbyt mocno okleiliśmy go palcem. Nerwowe ruchy. Błyskawicznie przelatująca przez głowę myśl. Jak to dobrze, że mój Króliczek mnie nie widzi. Sięgam do trójkątnej dziurki i poprawiam się, dokładniej układając palec. Luz! - syczę do Reki-na. Szybka wpinka. Ściągam się i wyrzucam rękę w lewo do odciążu. Niestety nie dość daleko. Dłoń zatrzymuje się parę centymetrów od zbawczego chwytu. Wyczuwam jednak pod palcami opór. Przerzucam nogi na krawędź i decyduję się na przestrzał. Pudło. Szarpnięcie liny i wreszcie mogę wykonać pierwszy od kilkudziesięciu sekund głęboki oddech. Zniechęcony zjeżdżam na dół. Drżącymi rękami odwiązuję się od liny i zapalam papierosa. Dobrze, że się wpiąłem - stwierdzam, patrząc Rekinowi w oczy. Śmiejąc się, poklepuje mnie po plecach. Powoli uspokajam się.

Drugą próbę wykonuję już bezbłędnie. Mocno sapiąc, wyprostowuję się, stając na dobrym stopniu ponad krawędzią okapu. Jestem zmęczony, cały dygotę, ale czuję, że pojawiło się coś we mnie, wewnątrz, czego od dłuższego czasu poszukiwałem. Dostrzegam to, jak nagle światelko w tunelu. Gdzieś daleko ode mnie. Czuję jednak, że już go nie zgubię. Stoję, dotykając czołem granitu, starając się uspokoić oddech. Jakiś człowiek przystaje obok Rekina, pytając, czy zrobiłem okap klasycznie. Z niedowierzaniem kręci głową, a ja, ja uśmiecham się sam do siebie.

Łatwiejszy odcinek powyżej zmusza mnie do chwili zastanowienia. Szybko pokonuję ostatnie metry wyciągu, dochodząc do stanowiska. Wpinam się i zdejmuję kask. Krzyk szczęścia. Macham do Rekina ręką, wyciągając do góry kciuk. Słyszę, że śpiewa sobie coś pod nosem. To nasze wspólne zwycięstwo. Po chwili ściskamy sobie dłonie. Poszukiwanie straconego czasu zbliża się ku końcowi. Czuję to.

Patrzmy na górze spiętrzenie, obiecując sobie szybko tu wrócić. Na dziś mamy już obydwa dosyć.

Sporo czasu minęło do dnia, kiedy ponownie zjawił się w górnym kącie zatoki. W międzyczasie zdu-

Rekin przeprowadza pierwszy, króciutki wyciąg i zakłada stanowisko tuż pod trudnościami. Wisząc obok niego, przepinam na siebie sprzęt. Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo mnie obciąża. Szczególnie młotek i kilka haków, bez których, niestety, nie mogę się obejść.

Kilka metrów powyżej osadzam w pionowej i głębokiej rysie kostkę. Siedzi bardzo pewnie. Podejrzewam, że jest to pierwszy i ostatni dobry przelot w zasięgu najbliższych kilkunastu metrów. Obok starej, białej pęli decyduję się zostawić gościnną drogę Pomywaczek. Przede mną trawers w prawo i wejście do wysiewającego się zacięcia. Pozioma rysa, dobrze widoczna z dołu, okazała się zalamaną pęknięciem pod krawędzią małego okapiku. Rozpoczynam cichy dialog z florą bujnie goszczącą w moim sąsiedztwie. Wisząc na zaklinowanej pięści, wykonuję spory szpagat, starając się wyczyścić butem z porostów spory orzeszek skalny. Staniecie na nim okazuje się bardzo problematyczne. Brakuje chwytów.

Kątem oka dostrzegam pod ścianą podchodzącego Przemka wraz z łódzką brygadą antyterrorystyczną. Zauważam kilku znajomych mi chłopaków. Szkoiliśmy ich razem w skałkach. Miło, że zdecydowali się zasmakować Tatr. Machamy do siebie.

Wrzucam w obłą pęknięcie małego quad-cam'a. Muszę się z nim zaprzyjaźnić. Będzie stanowić dla mnie jedyne zabezpieczenie na ryzykownym trawersie. Po kilku czułych przechwytach długo waleczę o wbiecie cienkiej łyżki, na której w końcu zawisam. Nie widzę możliwości przewinięcia się przez wywieszoną ściankę. Palce ześlizgują się wraz z ukruszonymi porostami ze wszystkich miejsc, do których sięgam. Śmieję się do Rekina, który wisząc pode mną, wygląda jak miejscowy występ skalny, obsypany różnokolorowym pyłem. Wypluwa spomiędzy zębów twarde ziarenka, obserwując uważnie każdy mój ruch. Po dłuższym czasie wyzywam dogodny układ chwytów i stopni i szczęśliwie przewijam się na pochyłą płytę. Po jej chropowatej powierzchni, pokrytej stwardniałymi roślinami, dostaję się do stóp zacięcia. Poruszanie się po tej litej a jednocześnie tak niepewnej skale rozbawia mnie. Irracjonalne odczucie, a jednak. Czuję się jak ogrodnik pielęgnujący swoje grządki. Oddycham z ulgą, wklonowując się w szerokie pęknięcie w dnie zacięcia. Następuje teraz kilka łatwiejszych przechwytych przy dobrej asekuracji z kostek. Rekin, likwidując po mnie przeloty, był odmiennego zdania. Według niego żaden z nich nie był pewny.

Teren wkrótce wywieśa się, skutecznie studząc mój zapal. Czystsze stopnie na ścianach zacięcia, wzbudzając okrzyki protestu u mojego partnera. Do wecpniś. Stanowisko wjeży go w tym, swoistego rodzaju suchym deszczu. Dzięki wyduhanym okruciom skały z ponownie zanikającej w dnie zacięcia rysy, powstaje dobra klameczka na lewą rękę. Stojąc w szerokiej rozkroku, wyciągam się jak tylko mogę najbardziej i wyzywam rozszerzenie szczeliny. Weiskam tam małą kostkę. Nie siedzi, ale coś, nie innego w zamian nie mam. Po wykonaniu kilku szybkich przechwytych znajduję się w bardzo niewygodnej pozycji. Stoję jedną nogą na krańcu wąskiego, pochylego gzymsu. Ustawilem się w tak fatalny sposób, że nie jestem nawet w stanie obejrzeć dokładnie mojego stopnia. Czuję, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Staram się ustawić drugą nogę i jednocześnie wyciąć chwyt. Bez skutku. Ciępnie mi noga, zmuszona utrzymać mnie, wygiętego w jakiejś dziwacznej pozycji. Długo tak nie wytrzymam. Przyciębia mnie wizja lotu. Z trudem udaje mi się utrzymać spokój. Próba zejścia kończy się zachwia-



żyliśmy połamać sobie zęby na lewej drodze Jaśka Wolfa. Na pewno cieszyłby się, gdyby jego droga stała się klasyczną. Niestety, dwa nieudane przechwyty kończące dwudziestometrowy ciąg trudności zdawały się doprowadzać mnie do rozpacz. Powtórna próba także nie przyniosła tak bardzo oczekiwanego przez nas rezultatu. Starając się uspokoić rozedrgane ręce, powiedziałem Rekinowi, że góry uczą pokory. Nie zawsze się wygrywa. O wiele trudniej jest znieść porażkę. Wspomniałem chwile spędzone z moimi kursantami oraz ich niezachwiany bólem entuzjazm utrzymały mnie przy życiu.

Jest mroźny, sierpniowy poranek. Staram się dobrze rozrzącać. Już od samego początku szykują się duże trudności. Atakowanie dziewiętego kawałka ściany bez rozpoznania ma w sobie coś takiego, co smakuje mi najbardziej. Jest zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wypadł się na każdy przechwyty. Tutaj problem nie sprowadza się tylko do umiejętnego rozłożenia sił, aby przejść całością w jednym ciągu. Nieznane zmusza do o wiele większej koncentracji a przede wszystkim do najwyższego zaangażowania psychicznego. Rozcierając palce, zamykam w sobie tkwiący gdzieś tam, w głębi, niepokój. Zapominam o nim obserwując teren.



nim równowagi i telegrafem nie do opanowania. Czuję, że tracę kontakt z ratującym mnie stopieńkiem. Dzięki jakiemuś niekontrolowanemu ruchowi odzyskuje wiarę w siebie. W oparciu drugiej nogi na gzymsie przeszkadza mi mała kępka trawy. Długo walczę, żeby ją wydłubać. W końcu wyłazi i udaje mi się w miarę wygodnie stanąć. Myśląc nad założeniem przelotu, ryczę przez ściśnięte gardło do Rekina aby, gdy polecę, łapał mnie dynamicznie. Nie wiem, czy potrzebne mu są moje uwagi, ale zawsze obudzę go w ten sposób, gdyby zdążył już zasnąć.

Wbijam koło siebie dwa cienkie haczyki, łącząc je w misterny przelot. Konwulsyjne poszukiwanie chwytów. Tracę poczucie upływającego czasu. Rekin na szczęście nie przeszkadza mi bezsensownymi wrzaskami w rodzaju „jak tam?” lub „ty, odezwijs się do cholery!”. Jestem mu wdzięczny i podziwiam go, bo wiem, że sam bym się nie zdobył na ciszę w tym momencie. A może po prostu nie słyszę jego wołań?

Wyczuwam cieniutką, odpięknątką płytkę. Wykorzystuję ją jako podchwyt. Nie czując, jak rozcina mi

skórę, sięgam do dobrej szczeliny powyżej. Podchodzę, mając nadzieję, że kolejne wywieszenie zakończy trudności. Zacięcie ograniczają zbiegające się z obu stron okapy. Wciskam się w wytworzoną w ten sposób wnękę. Dochodzę do wniosku, że jedynym logicznym rozwiązaniem problemu będzie przewinięcie się za lewą krawędź. Sięgam tam na ile mogę. Z tej pozycji jednak niewiele wyczuwam. Muszę się bardziej odchylić do tyłu. Spoglądając w dół, widzę wpatrzoną w siebie twarz Rekina. Tkwi gdzieś tam nisko, zadziwiająco cofnięty włąb od linii pionu.

Zakładam dwie kieszonki kostki i delikatnie obciążam linę. Muszę odpocząć i przez chwilę pomyśleć. Kostki na szczęście siedzą. Rozcieram zdrtwiałe palce. Syczę, oglądając porozcinaną skórę. Zgrubiała po kilkudziesięciu dniach wspinania, stała się nagle zadziwiająco delikatna. Zadaję sobie pytanie, czy będę w stanie utrzymać się chwytów. Chwile wahania szybko mijają. Udaje mi się zaklinować wysoko w rysie pięść. Ściągam się na niej i przerucam lewą nogę za krawędź. Przewijam się ostatkiem sił, dostrzegając jak wypadają założone przed chwilą kostki. Być może szarpnąłem się zbyt mocno. Przez moment utrzymuję się nieruchomo w skulonej pozycji, starając nie oddychać. Boję się nawet podnieść głowę. Stoję na krawędzi, czując, że jeden nierozważny ruch może mnie zrzucić. Odklinowuję rękę i przesuвам ją wyżej. Teraz trzyma. Wyprostowuję się, stając wygodniej. Wybiegam do góry łatwym kominkiem, nie w pełni odczuwając rozpięającą mnie radość. Staję na długiej, ciągnącej się w poprzek ściany, trawiastej półce. To, co z siebie wydałem, było raczej nieokreślonym okrzykiem. Siadam w słońcu. Z przykniętymi oczami smakuję ciszę. Trudno jest opisać, co się w tej chwili dzieje we mnie.

Śmieję się do Rekina, ściskając jego dłoń. Chłonimy sobą to, co się wydarzyło. Czas Odnaleziony.

Musieliś wyjechać z gór. Trzeba było załatwić formalności związane ze zmianą uczelni. Poszukiwałeś kierunku studiów, który pozwoliłby ci spełnić swoje ambicje, kontynuować i rozwinąć swoją pasję. Nowa fascynacja? Tak, przecież życie nie składa się tylko ze wspinania. Musi istnieć alternatywa, coś w czym mógłbyś zagłębić się do końca i choć na chwilę zapomnieć o przeszłości. Coś, co pochłonęłoby cię bez reszty. Coś, co pomagaloby ci się wciąż odnajdywać. Nie jest jednak łatwo. Masz poważne problemy. Góry są jednak bardzo zazdrosne i nie tolerują konkurencji. Wymagają wyłączności.

Przypadkowo włączasz radio. Dowiadujesz się, że cztery osoby wichura uwięziła w sercu gór. Po kilku dniach już wiesz. Przerażająca rzeczywistość przyniata cię czymś tak nieubłagalnym, że nie w sposób zapomnieć, nie myśleć, śmiać się. Przestał żyć człowiek, dzięki któremu zacząłeś uczyć wspinania. Przychylna ci osoba, psychiczne wsparcie. Kolejna tragedia. Nietrudno znaleźć błędy w sztuce, które popełnił. Nie jest to jednak ważne. Najważniejsza jest jednak niemożność uniknięcia tych błędów. I bez znaczenia jest to, czy wspinaleś się tydzień, czy już trzydzieści lat. Trudno jest o tym nie myśleć.

Sens twojej drogi znowu zaczyna się zacierać. Jak możesz patrzeć swoim bliskim prosto w oczy? Boją się o ciebie. Czy jesteś w stanie ich uspokoić? Wy tłumaczyć się? Czujesz się jak oskarżony. Czy masz coś na swoją obronę? Spojrzenia pełne bólu i strachu. Tracisz swojego Króliczka. Odchodzi z innym Ta, którą przez kilka lat uważałeś za swoją połowę. Jedyna, wysniona i wymarzona.



Fot. Autor

## Zdjęcia z Gór

Większość górolazów robi zdjęcia. Fotografujemy na pamiątkę, dla udokumentowania osiągnięć, opracowania planów, dla reklamy. Wracamy z gór: oddajemy filmy do laboratorium. Po godzinie odbieramy odbitki i nadzieje przyskają. Nasze fotki słabo przypominają piękne, dynamiczne kadry znane z plakatów. Nieostre, prześwietlone, źle skadrowane, przypadkowe, byle jakie. Łatwo temu zaradzić. Musimy poznać i konsekwentnie przestrzegać podstawowych zasad. Nie przyniesie to nagród na wystawach ale pozwoli robić zdjęcia nie rażące oka.

Są trzy najważniejsze zasady: pierwsza - fotografujemy świadomie, myśląc co, jak i dlaczego; druga - wywołujemy filmy i robimy odbitki jak najszybciej, póki pamiętamy okoliczności naciśnięcia spustu; trzecia - nie eksperymentujemy z więcej niż jednym parametrem zdjęcia na raz, inaczej trudno się polapać co i dlaczego nie wyszło.

Szczegółowych zasad jest więcej: przedstawia je w trzech częściach: „jak fotografować” - o technice fotografowania, „czym fotografować” - o sprzęcie i materiałach i „co, gdzie i kiedy fotografować” - o warsztacie i tzw. sztuce fotografowania.

### I - Jak fotografować

Nasze zdjęcia górskie mają często urok pawia na środku dywanu. Nieostre, niedoświetlone, zaniebieszczone, zamglone, z wadami pojezycznymi i w dowolnych kombinacjach.

### Poruszenie

Częsty mankament zdjęć wspinaczkowych, krajobrazowych i towarzyskich. Unikniemy go stawiając aparat na statywie, im cięższym tym lepiej. Ultra lekkie nie nadają się do niczego. Zbyt lekki statyw możemy dociążyć wieszając na nim plecak. Zdjęcia ze statywu robimy wyzwalając migawkę przez wężyk spustowy po odczekaniu aż wygasną drgania wywołane ustawianiem kadru. Nie dotykamy aparatu ani statywu w czasie naświetlania. Przy silnym wietrze osłaniamy aparat i statyw sobą czy rozpościerając kurtkę lub anorak. Z braku statywu możemy użyć czekana ze specjalnym imadłem przykręcanym do łopatki, do której mocujemy aparat. Jeśli nie mamy statywu ani czekana stabilizujemy aparat przyciskając go do skały, drzewa itp. Robiąc zdjęcia „z ręki” opieramy się barkiem lub plecami albo opieramy łokcie na czymś stałym: kamieniu lub plecaku. Spust wciskamy łagodnie nie poruszając aparatem. Aparat trzymamy pewnie, ale bez naprężania mięśni. Jeżeli stoimy, to na obu nogach równomiernie obciążonych.

Przy zdjęciach „z ręki” nie stosujemy czasów naświetlania dłuższych niż odwrotność ogniskowej używanego obiektywu: dla standardowej 50 mm czas graniczny to 1/60s, dla teleobiektywu 135 mm to 1/125 itd. Teleobiektywami dłuższymi niż 500 mm w ogóle nie fotografujemy z ręki. Jeżeli jest zbyt ciemno na zdjęcie przy odpowiednio krótkim czasie zmieniamy film na czulszy. Jeśli takiego nie mamy:

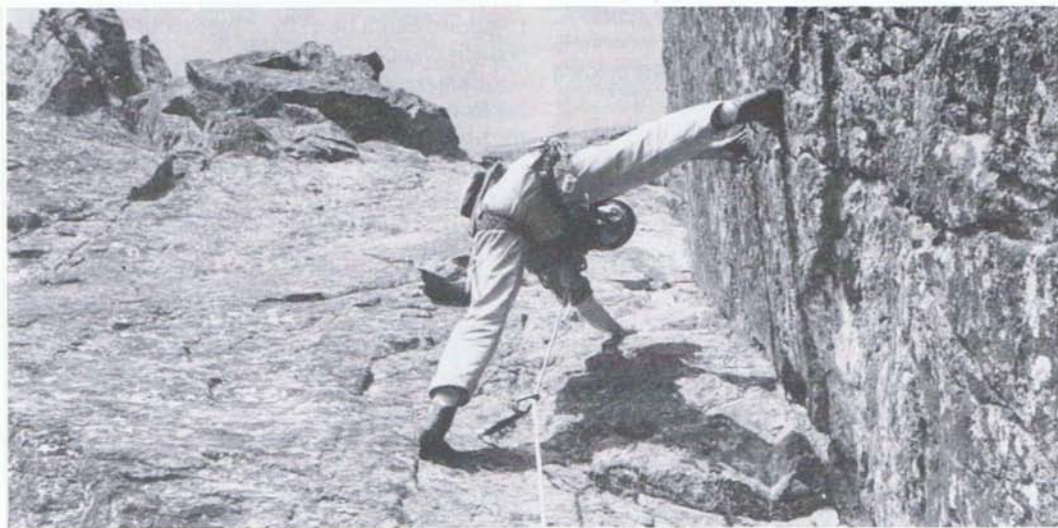
lekko niedoświetlone zdjęcie można uratować, poruszone tylko wyrzucić.

### Czystość obiektywu

Brudy na powierzchniach soczewek rozpraszają światło wpadające do obiektywu. Powodują zmniejszenie kontrastu i pogorszenie ostrości zdjęcia. Jeżeli na soczewkę padnie światło bezpośrednio to ślady palców, pyłki, krople wody etc będą widoczne na zdjęciu jako jasne plamy.

Różne są metody czyszczenia obiektywu i różne do tego środki. Przepocone podkoszulki

odbija nieco światła. Rozproszone, pasożytnicze światło dociera do filmu i zaświecila całą powierzchnię klatki powodując spadek kontrastu. Jeżeli źródło światła jest w kadrze lub blisko za krawędzią, objawia się często w postaci jasnej smugi czy szeregu wielobocznych plam. Dlatego obiektyw trzeba chronić od bezpośredniego światła. Służą temu osłony przeciw-słoneczne. Zakładana na obiektyw osłona o stożkowatym kształcie musi mieć kąt rozwarcia dostosowany do kąta widzenia obiektywu. Za szeroka nie spełnia swojej roli, za wą-



Fot. W. Świącieki

i brudne chustki do nosa należą do najgorszych. Przed czyszczeniem trzeba zdmuchnąć z soczewek pyłki i ziarenka piasku. Używamy do tego specjalnego spray'a lub gumowej gruszki, a w ostateczności własnego oddechu. Następnie czyścimy obiektyw pędzlem z wielbłądziejego włosia albo irchę. Ślady palców i kropel wody usuwamy na mokro irchę lub chusteczkami „coated lens tissue” nawilżonymi szamponem „lens cleaner” albo roztworem 70% eteru i 30% spirytusu. W warunkach polowych wygodne są jednorazowe chusteczki nasączone odpowiednim płynem i zamknięte w kopertach. Obiektyw myjemy kolistym ruchem, od środka soczewki ku brzegom. Uwaga! Powłoki przeciwodblaskowe są o wiele delikatniejsze niż szkło okularowe.

### Słońce w obiektyw

Idealnie czyste soczewki też rozpraszają światło. Matowoczarne wnętrze obiektywu też

skala wchodzi w kadr zaciemniając go na rogach. Dodatkowo osłona nieco chroni przód obiektywu przed uszkodzeniami.

Mimo posiadania osłony lepiej unikajmy fotografowania stojąc na oświetlonym słońcem śniegu - jego blask też zmniejsza kontrast.

### Uchwycić ruch

Często obiekty, które poruszały się w czasie naświetlania zdjęcia wychodzą nam rozmazane. Gdy porusza się cały obiekt zdjęcia stosujemy jedną z dwóch metod. Jedna to panoramowanie za obiektem zdjęcia przy długim czasie. Efekt: rozmazane tło, a na nim ostry obiekt. Drugi sposób to wybranie odpowiednio krótkiego czasu. 1/1000 s zwykle w zupełności wystarcza aby „zamrozić” najszybszy strzał do klamy. Wodę w potoku, lawinę, rozprysk lodu z pod czekana, lot partnera również możemy malowniczo rozmazać na długim czasie albo zamrozić krótkim. Czas do-

bierany doświadczalnie biorąc pod uwagę prędkość kątową obiektu względem aparatu. Najlepiej zrobimy kilka wariantów.

### Ostrość i głębia

Ostrość w lustrzance to pestka: „masz to co widzisz”. Wystarczy nastawić ostrość na wybrany obiekt i nacisnąć spust. Tylko „okularnicy” miewają problemy. Pokonujemy je montując w wizjerze soczewkę korekcyjną, a ostrość nastawiamy bez okularów. Kłopot sprawia ostrość w „compactach”. Obraz w wizjerze jest zawsze ostry, a ostrość nastawia się według skali albo obrazków. Jedne aparaty mają dalmierz, inne nie i odległość oceniamy „na oko”. Najlepsze mają system „autofocus”, podobnie lepsze lustrzanki. W przeciętnych warunkach automat ustawiający ostrość jest bardzo wygodny. Czasami jednak może płatać figle. Pole pomiaru ostrości jest w centrum kadru a obiekt, który ma być ostry nie zawsze. Trzeba wtedy stosować tryb „pre-focus”. W większości aparatów realizujemy go kierując aparat na obiekt, który ma być ostry i wciskając spust do połowy. Ostrość zostaje nastawiona; zmieniamy kadr na ten, który chcemy uwiecznić nie puszczać spustu. Póki nie zwolnimy go całkiem automat nie zmieni nastawienia ostrości.

Następny problem to głębia ostrości. Głębia to odległość pomiędzy bliższą i dalszą od aparatu granicą ostrości. Głębia jest tym większa im większa jest liczba przesłonowa  $f/stop$ . Jest tym płytsza im ogniskowa obiektywu jest większa i tym głębsza im nastawienie ostrości dalsze. W głębi ostrości powinny się mieścić istotne elementy kadru. Głębia steruje uwagą widza i kształtuje przestrzeń. Obiektywy szerokokątne mają wielką głębię ostrości: prawie od soczewki obiektywu do  $\infty$ . Teleobiektywy małą; przy otwartej przesłonie zaledwie kilka centymetrów przy bliskich odległościach. Do ustalenia zasięgu głębi służy skala na obiektywie obok pierścienia ostrości. Po obu stronach znaczka nastawienia ostrości są barwne lub cyfrowe symbole liczb przesłonowych. Ustalamy przesłonę przy której robimy zdjęcie, odnajdujemy na skali głębi odpowiadające jej symbole i odczytujemy jej zasięg. Jeżeli jest za duża lub za mała zmieniamy otwór przesłony, pamiętając o korekcie czasu w przeciwną stronę. Możemy zrobić odwrotnie: dalmierzem albo nastawieniem ostrości określamy pożądany zasięg głębi i korzystając ze skali ustalamy przy jakiej przesłonie ją uzyskamy.

Maksymalną głębię przy danej przesłonie uzyskujemy nastawiając ostrość na odległość hiperfokalną. Uzyskujemy wtedy głębię od połowy tej odległości do  $\infty$ . Hiperfokalną określamy tak: ustawiamy pierścień ostrości tak aby symbol używanej przesłony na skali głębi określający jej dalszą granicę znalazł się naprzeciw znaku na pierścieniu ostrości. Przy ogniskowej 50 mm i przesłonie  $f/16$  hiperfokalna wynosi 3,4 m, a bliższa granica ostrości znajduje się 1,7 m od aparatu: przy tych samych warunkach nastawienie ostrości na daje głębię od 3,6 m do  $\infty$ . Hiperfokalna przydaje się do fotografowania jeźdźcy z bardzo bliskim pierwszym planem.

### Ekspozycja czyli naświetlenie

Prawidłowa ekspozycja to taka, która daje na zdjęciu efekt zamierzony przez autora. Nie istnieje obiektywnie optymalne naświetlenie. Jeśli nie stosujemy efektów specjalnych przyjmujemy, że prawidłowe naświetlenie to takie, które odwzorowuje fotografowany w sposób nie odbiegający zbyt od stanu widzianego okiem. Naświetlenie regulujemy czasem i przesłoną. Szereg czasów w aparacie to ciąg liczb, zwykle od 1 do 1000, oznaczający części sekund: 1 s, 1/2 do 1/1000 s. W niektórych aparatach szereg jest dłuższy i sięga od 30 s do 1/8000. Zmiana nastawienia czasu o jeden stopień w górę skraca czas o połowę, zmiana o stopień w dół wydłuża go dwukrotnie i taka jest zmiana naświetlenia. Podobnie jest z przesłoną. Szereg liczb przesłonowych: 2, 2.8, 4, 5.6, 8, 11, 16, 22 jest tak ułożony, że zmiana o jeden stopień oznacza dwukrotną różnicę naświetlenia. Robiąc zdjęcie przy  $f/2.8$  i 1/125 a następnie przy  $f/4$  i 1/60 w tych samych warunkach otrzymamy identyczne naświetlenie. W takich samych warunkach możemy użyć  $f/22$  i 1/30 do uzyskania olbrzymiej głębi albo  $f/2.8$  i 1/2000 do absolutnego zamrożenia ruchu. Czulość filmu oznaczana jest w skali ISO (inaczej EI - exposure index) zawierającej wartości stosowanych dawniej ASA i DIN zapisane w postaci ASA/DIN np. ISO 100/21°. Filmy o czulości do ISO 80/19° to niskoczułe. Czulości między ISO 100/21° a ISO 320/26° uznajemy za średnie, a powyżej ISO 400/27° to wysokoczułe. Różnica jednego stopnia ekspozycji dzieli filmy różniące się czulością ASA dwukrotnie i DIN o 3° np. ISO 100/21° i ISO 200/24°; w tych samych warunkach druga czulość pozwoli na o połowę krótszy czas albo na zamknięcie przesłony o 1 stopień. Z filmu niskoczułego uzyskujemy poprawne powiększe-

nie przy skali 14x (40x50 cm z małego obrazka), z filmu średnicowego 12x czyli 30x40 cm, a z wysokoczułego 10x (25x35cm). Dzieje się tak ponieważ im czulszy film tym większe ma ziarno i gorszą rozdzielczość.

### Światłomierz

Aparaty z reguły mają wbudowany światłomierz, który mierzy światło odbite od obiektów w kadrze. Są światłomierze wewnętrzne (TTL) dokonujące pomiaru przez obiektyw i zewnętrzne, w których fotoelement mieści się na korpusie aparatu, w pobliżu obiektywu. Oba rodzaje światłomierzy obejmują pole widzenia centrum kadru lub cały kadr dając sumaryczny pomiar jasności tego co się w nim znajduje. W aparatach wysokiej klasy zazwyczaj są subtelniejsze układy pomiarowe: punktowy, matrycowy, integralny; czasem wszystkie na raz. Im nowocześniejszy światłomierz tym bardziej

można na nim polegać. Jednak wszystkie światłomierze do światła odbitego mają jeden mankament: Są sytuacje w których kłamią; każdy światłomierz jest wykalibrowany na szarość odbijającą 18% światła: to średnia wartość współczynników odbicia w przeciętnym obiekcie zdjęć. Jeśli to, co fotografujemy nie jest czarne ani białe i nie ma zbyt dużych kontrastów możemy się zdać na światłomierz. Problem powstaje gdy fotografujemy coś na tle nieba, śniegu, czy wręcz słońca. Światłomierz skierowany na biel potraktuje ją jakby była szara. Tak zrobione zdjęcie będzie niedoświetlone; za ciemne. Śnieg odbija 90% światła; kierujemy na niego aparat, mierzymy światło ale pomiar korygujemy otwierając przesłonę o 2,5 stopnia. Wtedy śnieg wyjdzie biały. Ciemne tło to odwrotny problem: np. czarny bazalt odbija 4% światła. Po skierowaniu aparatu na skałę mierzymy i zamykamy przesłonę w stosunku do pomiaru o 2 stopnie. Dobrym stałym punktem odniesienia jest wnętrze własnej dłoni, oświetlone podobnie jak obiekt zdjęcia. Kierujemy na nie aparat tak aby wypełniało cały kadr, mierzymy i otwieramy przesłonę o 1/2 stopnia w stosunku do pomiaru bowiem skóra odbija przeciętnie 25% światła. Kolejny problem to rozpiętość jasności obiektu przekraczająca zdolności rejestracji filmu. Film przenosi kontrast 1000:1, czyli rozpiętość 11 stopni przesłony między najciemniejszym i najjaśniejszym punktem. Odbitka tylko 128:1 czyli 8 stopni. Jeżeli obiekt przekracza ten kontrast trzeba wybierać: albo będziemy mieli szczegóły w tzw. światłach albo w cieniach a światła będą całkiem białe. Taka sytuacja występuje np. jeśli mamy postać na tle nieba lub śnieżnego pola ubraną w granatowy anorak.

Zabezpieczeniem przed błędami naświetlania jest „bracketing”, który polega na sfotografowaniu tego samego ujęcia na kilku klatkach o różnym stopniu naświetlenia: jedną klatkę niedoświetlamy mocno, drugą słabiej, jedną według wskazań światłomierza, a dwie następnie prześwietlamy: jedną słabiej, drugą mocniej. Reporter „Climbing”, John Sherman poleca bracketing według schematu 1 i 1/2 stopnia niedoświetlenia, 2/3 stopnia niedoświetlenia, naświetlenie według światłomierza i prześwietlenie o 2/3 oraz 1 i 1/2 stopnia. Możemy też robić bracketing co 1/2 stopnia od -2 do +2 stopni albo co 1 stopień w przedziale -3 do +3. Pożera to sporo filmu, ale daje pewność, że któraś klatka wyjdzie.



For. J. Pepol

## Nawalił światłomierz

Jeżeli nastąpi to na szczycie K2, mamy kłopot, nie wiemy jak naświetlić dowód wejścia. Ratunek: zastosowanie opisanej przez wspomnianego Johna Shermana reguły  $f/16$ : nastawiamy czas na najbliższy czułości używanego filmu np. przy ISO 100/21<sup>0</sup> wypada  $1/125s$  i przy słonecznej pogodzie ustawiamy przesłone na  $f/16$ . Jeżeli jest bardzo jasno (śnieżne pola w południe) nastawiamy  $f/22$ ; przy zachmurzeniu, zdjęciach pod słońce, w cieniu ze światłem nieba stosujemy  $f/11$ . Przy silnym zachmurzeniu, w cieniu bez światła nieba otwieramy przesłonę do  $f/8$ . W wybitnie ciemny dzień, wczesnym rankiem i późnym popołudniem stosujemy  $f/5.6$ . Reguła zdaje egzamin od 1 godziny po wschodzie słońca do 1 godziny przed zachodem.

## Naświetla automat

Automatyka naświetlania tylko przenosi wskazania światłomierza bezpośrednio na czas i przesłonę. Dlatego myli się w takich samych sytuacjach kiedy światłomierz kłamie. We współczesnych aparatach automat "bierze" dane ze światłomierza na ułamek sekundy przed naświetlaniem albo w jego trakcie. Nie można go łatwo oszukać jak autofokusa. W większości aparatów istnieje możliwość ręcznej korekcy wskazań światłomierza: programujemy niedo- lub prześwietlenie w zakresie od -2 do +2 stopni. Podobny efekt uzyskujemy nastawiając czułość filmu jako większą lub mniejszą od rzeczywistej. Osobne problemy sprawia automat jeżeli chcemy uchwycić szybki ruch albo mieć dużą głębię, a maszyna nastawia co chce nie pytając nas o zdanie. Wtedy możemy, jeśli się da, wyłączyć automat i nastawiać wszystko ręcznie. Możemy też przejść na tryb półautomatyczny - nastawiamy ręcznie czas, aparat dobiera przesłonę lub odwrotnie. Dopiero aparaty z automatyką programowaną pozwalają wyjść z takich sytuacji bez ręcznego wspomagania: mają programy najkrótszego czasu, największej głębi, priorytetu czasu - gdzie aparat utrzymuje zadany czas tylko do momentu gdy nie starcza przesłony na skorygowanie naświetlenia i odwrotnie - priorytetu przesłony, program automatycznego bracketingu w zadanym zakresie i na określonej ilości klatek albo przy zadanym skoku ekspozycji a często wiele innych ... tylko trzeba to wszystko wyczytać w (zwykle dość grubej) instrukcji. Subtelne i skomplikowane systemy automatyki są dla kogoś słabo obeznanego z fotografią czy leniwego raczej utrudnieniem.

Jeżeli nie zależy nam na „brzytwiastej” jakości zdjęć i wielkich powiększeniach nie warto zwracać sobie głowy ambitnymi lustrzankami. Szczerze polecam małe compacty z gatunku „idiot-proof”, gdzie trzeba jedynie założyć film, nacisnąć spust, a na końcu wyjąć film i odnieść do laboratorium. Sam czegoś takiego chętnie używam do zdjęć towarzysko-rodzinnych, a nawet przy dokumentacji planów zdjęciowych.

## Zabójczy ultrafiolet

Promienie ultrafioletowe równie źle wpływają na emulsję filmu jak na skórę człowieka. Dotyczy to wszystkich filmów, tak kolorowych jak czarno-białych. Im więcej tym ultrafioletu jest więcej; w bezpośrednim świetle słońca i rozproszonego w powietrzu. To właśnie on powoduje zaniebieszczenie cieni i nieładny, siny „szlajer” w dalekich pejzażach w kolorze i szary w zdjęciach czarno-białych. Ultrafiolet potrafi zupełnie zmienić kolor skóry, na przykład na sino-brązowy i kolor polara z granatowego na zielonkawy. Promieniowanie ultrafioletowe pochłania każdy filtr fotograficzny. Te o barwach ciepłych mocniej, o barwach zimnych słabiej. Jeśli jednak nie używamy filtrów w celach artystycznych albo technologicznych, a fotografujemy na otwartej przestrzeni zawsze zakładamy filtr UV, albo Skylight 1A. Ten drugi dodatkowo pochłania nieco niebieskiego przyciemniając niebo. Te filtry mają tzw. zerowy współczynnik - nie pochłaniają światła i nie powodują konieczności korygowania oświetlenia. Sam wykorzystuję filtr nosząc go stale na obiektywie jako osłonę soczewki przed porysowaniem. Niektóre aparaty compact i bridge mają filtr UV zabudowany na stałe. Oczywiście nie trzeba zakładać drugiego.

## Jan P. Pelech

Urodzony w 1962 r.

Absolwent Wydziału Operatorskiego Łódzkiej Szkoły Filmowej

Nagrodzony za absolutoryjny film „Spacer” na MFFG w Katowicach w 1992 r. trzema nagrodami, m.in. Wyróżnieniem równorzędnym z filmami „K2” Franka Roddama i „Krzyk Kamienia” Wernera Herzoga. Autor zdjęć do ok. 20 filmów dokumentalnych, głównie przyrodniczych, z których kilka dotyczy gór i wspinaczki. Wspina się od 1980 r. Związany na początku z Klubem we Wrocławiu a obecnie w Łodzi. Odwiedził z kamerą lub aparatem Hoggar, Aures i Atlas Telski w Algierii, Altaj w Rosji i oczywiście Tatry.

# Skąły Ameryki Północnej

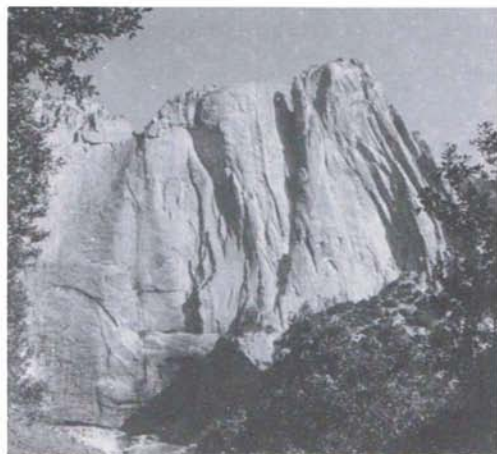
Władysław Janowski

## Kanion Rifle w Colorado

Jeżeli twoim mottem wspinaczkowym jest „im stromiej tym lepiej”, to na terenie Stanów Zjednoczonych aktualnie nie ma lepszego miejsca do wspinania niż kanion Rifle. Rifle jest prawdziwym rajem dla sportowych wspinaczy i spełnieniem ich najambitniejszych marzeń. Reprezentuje rejon wspinaczkowy o światowej klasie, bowiem rzadko spotyka się, aby na niewielkim stosunkowo obszarze kilku kilometrów było aż tyle ekstremalnie trudnych dróg. Na całkowitą liczbę 106 dróg 2/3 z nich przypada na trudności 5.12-5.14. Tak więc jest tu 38 dróg 5.12, 30-5.13 i 2 drogi o wycenie 5.14. Do pełni obrazu należy dodać, że rozpoczęto także realizację 50 projektów na nowe drogi, których trudności przypuszczalnie nie będą niższe niż 5.12. Wspinacz o niższych kwalifikacjach może się czuć tu zagubiony, bowiem zestaw „łatwiejszych” dróg nie jest zbyt bogaty - jedna droga 5.9, 6-5.10 i 29 o trudności 5.11.

Miejscowość Rifle położona jest w zachodniej części stanu Colorado, 40 km na zachód od Glenwood Springs. Rejon wspinaczkowy usytuowany jest 21 km na północ od miasta na terenie Rifle Mountain Park. Interesujące nas skały położone są w kanionie rzeki Rifle. W miejscu, w którym kończy się droga doprowadzająca do wąwozu znajduje się duża jaskinia nosząca nazwę The Vatican. Za nią wąwóz znacznie zwęża się i ciągnie się jeszcze przez około 3 km. Prowadzi nim w podnóży ścian system szlaków (nawiasem mówiąc będący dziełem wspinaczy, którzy dbają tu bardzo o zachowanie środowiska naturalnego). Po obu stronach wąwozu, w niebieskoszarych, stromych wapiennych ścianach wąwozu pokrywanych są inne jaskinie.

Sława i popularność tutejszych dróg wśród czołówek amerykańskich wspinaczy oraz wysoka średnia ich trudności (jedna z najwyższych na świecie?) biorą się stąd, że w Rifle do rzadkości należą wspinaczki po ścianach o nachyleniu poniżej 100 stopni. Taki ścian tu po prostu nie ma. Większość dróg prowadzi wewnątrz jaskiń wydrążonych w ścianach wąwozu albo zaraz obok na przewieszonych polaciach skalnych. Nie oznacza to jednak wcale, że wspinaczka w Rifle jest tylko i wyłącznie siłowa. Przechodzenie tutejszych dróg wymaga także sporo umiejętności technicznych, zmusza do analizowania sytuacji i planowania następnych ruchów. Dzięki



Fot. W. Janowski

bogatej fakturze skały, drogi obfitują w liczne chwytaki, które trzeba jednak umieć znaleźć i odpowiednio ich użyć. Charakteru niektórym drogom nadaje duża ilość skamielin, które mogą służyć za chwytaki lub stopnie. Na ścianach jaskiń często spotyka się kryształki. Liczne są także dziury i dziurki wydrążone przez ślapiącą wodę, które czasami trzeba osuszać przed użyciem.

Topograficznie wąwóz podzielony jest na 7 sektorów: Darkland, Arsenal, Wasteland, Bauhaus, Anti-Phil, Project i Upper. Pierwszym rejonem widocznym od strony jaskini The Vatican jest The Arsenal. Choć wczesniej, prawdopodobnie nie zauważywszy tego, można minąć wiele problemów wspinaczkowych m.in. The Wicked Cave. Tutaj Kurt Smith zrobił ostatniego lata drogę Slice of Life, która jest chyba pierwszą w Colorado drogą 5.14a. Praca nad nią trwała ponad 3 miesiące. Smith zanim ją przeszedł wykonał ponad 50 prób przejścia redpoint. Droga ma długość prawie 30 m, a kluczowy odcinek (9 m) kończy się ruchem 5.13a! The Arsenal praktycznie może być uznany za podwórko Colina Lanta, ponieważ jest on autorem 6 spośród 8 istniejących tu dróg. Najtrudniejsza z nich to Colinator (5.13c/d), która na swoich 40 m długości przewiesza się 15 m.

Wasteland był najwcześniejszym wspinaczkowym odkryciem w Rifle. Pierwsi eksploratorzy Pete Zoller, Mike Pont i Kurt Smith zachwyceni urodą tego miejsca nazwali swą inauguracyjną drogę tutaj Never Believe (5.12d). Pięknie urzeźbiona skała porzecinana niebieskimi i szarymi smugami przypomina bardziej skały we Francji niż w USA.

Idąc dalej natknijemy się na Skull Cave. Na niej prowadzi niezwykle oryginalna droga Smitha Daydream Nation (5.13c). Po pokonaniu 8 metrowego przewieszenia doprowadza ona pod dach (8 m) z zagłębieniami pozwalającymi na zaklinowanie nóg do kolan, ale bez możliwości odpoczynku dla rąk. Na pięknej, jasnoniebieskiego koloru Crystal Cave wy-

różnia się droga The Dumpster BBQ (5.13d) Matta Sameta, która przechodzi przez środek niesamowitego wręcz przewieszenia. Nieco dalej na Project Wall biegnie najnowsza droga Christiana Griffitha The Gay Science (5.13d/5.14a). Warto od razu wyjaśnić, że jej nazwa pochodzi od tytułu książki filozofa niemieckiego Nietzschego. Nasz spacer na północny kraniec kanionu kończy Firing Chamber, która jest najbardziej popularną ścianą rozgrzewkową w Rifle. Zauważę to wczesnemu pojawianiu się słońca ogrzewającego skalę i obecności paru ładnych dróg po prawej stronie jaskini.

Wąski i wilgotny kanion jest środowiskiem życia dla wielu gadów i innych zwierząt, które przychodzi na dno wąwozu po wodę i pożywienie. Mówiąc o żywej naturze w Rifle warto przytoczyć ciekawą i pouczającą przygodę jaka spotkała Steve Schneidera w czasie próby przejścia Mouse Trap na Project Wall. Po kilku dniach ciężkiej pracy Schneider pokonał wreszcie 1 i 2 wyciąg. Ponieważ wyżej nie mógł sobie poradzić z trudnościami, wyszedł na „malpach” po linie do krawędzi kanionu, gdzie była ona przymocowana do drzewa. Jakież było jego

zdumienie gdy zauważył, że linę została zupełnie przegrzyzona przez bliżej nieznaną zwierzęta, z gatunku gryzoni przypuszczalnie. Od 60 metrowego lotu uchronił go przypadkowy węzeł na linie, który szczęśliwie zaklinował się w szczelinie. Nazwa drogi Mouse Trap (5.12d) być może wzięła się od tego wydarzenia, a być może od niesłychanej ilości myszy wszechobecnych w tym rejonie (brrrr...).

Odkrycia wspinaczkowe tej rangi co Rifle nie zdarzają się często (nawet w tak rozległych i kryjących wiele niepoznanych jeszcze skal Stunach Zjednoczonych). Rejon ten w nadchodzących sezonach będzie stanowił Mekkę dla najlepszych wspinaczy sportowych. Wspinaczka (o czym raz po raz powinniśmy sobie przypomnieć) we wszystkich wspaniałych zakątkach świata jest przywilejem a nie prawem. Dlatego przestrzegać należy przepisów ustalonych przez gospodarza terenu, a dotyczących zachowania czystości i poruszania się po terenie parku. W Rifle respektuje się także pewne zasady ustalone przez wspinaczy, np. rezerwacje dokonywane na rozpoczętych drogach, które znakuje się zawieszaniem czerwonej taśmy na pierwszym spicie.

Władysław Janowski

## Nowy Jork - Spacerkiem po Skale

Wspinacze miejscy (urban climbers) w Nowym Jorku jeszcze kilka lat temu, w 1987 roku, borykali się z problemem utrudnionego dostępu do skałek w Parku Centralnym, które stanowią dla nich od wielu lat najważniejszy teren wspinaczkowy. Raz po raz zdarzały się przypadki wypraszania ich stąd przez strażników Parku. Sytuacja poprawiła się zimą 1988 roku, kiedy środowisko wspinaczy zwarło swe szeregi i założyło CCCNY (City Climbers Club of New York). Klub ten (dzięki działaniom przede wszystkim jego prezesa Alpha J. Erenzo) negocjując z zarządcą terenu, Central Park Conservancy, przyczynił się do uregulowania sytuacji i ustalenia statusu wspinacza. Dziś nie ma tu żadnych ograniczeń we wspinaniu.

Park Centralny jak wiadomo stanowi jedno z najbardziej uroczych miejsc na Manhattanie. Interesujące nas skałki położone są po stronie zachodniej Parku, na wysokości 61 i 62 Street. Są one niewysokie (3-5 m), ale nadają się bardzo dobrze do robienia krótkich wspinaczek: jest tu wiele możliwości dróg z 2-4 przechwytańmi oraz trawersów. W skałkach tych wspiął się John Gill legendamy amerykański wspinacz boulderingowy (Gill, który obecnie ma 56 lat nadal wspina się i co ciekawsze podciąga się na jednej ręce!), a także całe tuziny innych sławnych osób. W 1992 roku na jednej z najpopularniejszych skałek, Rat Rock, grupa spotykających się tu prawie codziennie stałych bywalców wynosiła kilkanaście osób (w tym wiele ładnych i dobrze wspinających się dziewcząt!). Wśród nich było kilku Polaków, a byłyby dni, że jednocześnie wspięło się nas w skałkach 5-8.

Jestem świeżo pod wrażeniem tychże skałek, które odwiedziłem w styczniu po kilkumiesięcznej przerwie.

Wiele się tam zmieniło. Nie ma przede wszystkim bezdomnych, którzy cały zeszły sezon okupowali Cat Rock, jedną z ciekawszych (dla wspinaczy) skałek, robiąc tam wokoło niesłychany bałagan. Teraz wejście do nędzy używanej przez bezdomnych do noclegów zostało zamurowane, teren w okolicy drobiazgowo oczyszczony i pokryty specjalną ściółką. Po tych zabiegach skała Cat wiele zyskała na atrakcyjności.

Aktywna działalność wspomnianego już CCCNY zaowocowała również wybudowaniem sztucznej ściany wspinaczkowej w sali położonej przy 59 Street (nr bloku 533, między 10 i 11 Avenue). Ściana ma około 6 m wysokości, prowadzi na niej kilkadziesiąt logicznych dróg, na których układy chwytów dla urozmaicenia wspinaczki zmieniane są co jakiś czas. Zimą 92/93 frekwencja wynosiła średnio około 40 osób dziennie (sala czynna jest w godz. 17-22), a wśród trenujących przeznaczały osoby pokonujące trudności 5.9-5.11. Wstęp na ściankę jest niedrogi i kosztuje (jednorazowo) 10 dolarów, opłata roczna wynosi zaledwie 75 dolarów. Inny sztuczny obiekt do wspinania na Manhattanie na Vertical Club. Jest to ściana ruchoma (treadwall), która obraca się kiedy zwiększamy wysokość o 30 cm. W rezultacie wspinamy się będąc nie wyżej niż 1 m nad podłogą. W Vertical trenują m.in. aktorzy Alec i Billy Baldwin i Harrison Ford, ale uwaga! - roczny karnet kosztuje kilkaset dolarów. Wspomnijmy też o nietypowej (nie tylko dla Nowego Jorku) inicjatywie, jaka powstała w szkole Franklin K.Lane High School (4700 słuchaczy) usytuowanej w jednym z najbardziej przestępczych miejsc tego miasta (999 Jamaica Ave., Brooklyn). W 1991 roku nauczyciel Ross Bennett Brown założył Climbers Club, aby pokazać uczniom sport

wspinaczkowo jako metaforę życia z namacalnymi i widocznymi przeszkodami, które z pewnym wysiłkiem ale można pokonać. Klub skupia ponad 20 osób, zebrania poświęcone są teorii i bezpieczeństwu wspinaczki, a w każdy piątek członkowie Klubu - ćwiczą technikę wspinania w sali CCCNY na Manhattanie.

Z Nowego Jorku wywodzi się bardzo wielu znanych alpinistów i wspinaczy. Jeden z nich, Hans Kraus

(zrobił m.in. ponad 40 pierwszych przejść w skałkach Shawangunks), lekarz ortopeda (u niego leczyli się prezydenci USA Eisenhower i Kennedy oraz wiele gwiazd ekranu, wśród nich niezapomniana Rita Hayworth), zapytany kiedyś co mu dał ten sport przez lata odpowiedział:

*„To pomogło mi zachować normalność, co nie jest łatwe, kiedy mieszka się w takim mieście jak Nowy Jork”*



*Centerfire, 5.11 b/c*

*Fot. W. Janowski*

Jednym z najpiękniejszych rejonów wspinaczkowych jakie poznałem, niezwykle i unikalnym pod względem różnorodności natury (w skali nie tylko USA), jest Red River Gorge (RRG). Rejon ten jest położony we wschodniej części stanu Kentucky, ok. 100 km na pd. wsch. od Lexington.

Przez wiele wieków natura wyrzeźbiła w krajobrazie liczne ok. 180 m wysokości wąwozy, tworząc charakterystyczny urwisty obszar, pocięty głębokimi i wąskimi dolinami oraz płaskowyżem, z dołu wyglądające jak grzbiety górskie. Oprócz różnorodności i bogactwa form geologicznych ciekawa jest również fauna i flora. Występuje tu 700 różnych gatunków kwiatów, krzewów i drzew. Świat zwierzęcy reprezentują liczne odmiany ptaków, gadów, ssaków i insektów.

RRG stanowi niewielki fragment Cumberland Plateau, rozciągającego się na długości 720 km, między pd. częścią stanu West Virginia i Alabamą. Część tego obszaru należy do Daniel Boone National Forest, na którego terenach - wg szacunków US Forest Service - znajduje się 5 470 km! skalnych masywów. Skała jest więc tu prawdziwym i nadzwyczajnym bogactwem, które potrafi tak naprawdę docenić tylko wspinacz.

Władysław Janowski

## *Piachy w Red River Gore*

Dokładnie nie wiadomo od kiedy prowadzona jest działalność wspinaczkowa w RRG. Mówi się jednak o dwudziestu latach oraz istnieniu ok. 800 dróg klasycznych. Ostatnie 2-3 lata przyniosły "odkrycie" tego miejsca przez wspinaczy sportowych. Zaowocowało to już poprowadzeniem ok. 200 nowych dróg, na większości których do asekuracji osadzono spity.

Trudno nie zachwycać się piaskowcową skałą w RRG. Nawet znając z autopsji takie wspaniałe piaskowce na świecie jak Saska Szwajcaria (Niemcy) czy Red Rocks (Nevada) muszą przyznać, że skała jest tu po prostu jedyna w swoim rodzaju.

Przewieszona luki, żółte, pomarańczowe i jasnoczerwone skały wyrastają ponad gęsty las. Rzeźba ścian jest bardzo dobra. Występuje w nich cały asortyment dziur i dziurek, krawędek, koronek, tynków, fałd i kieszeni. Są oczywiście też rysy i kominy. Dzięki bogatemu urzeźbieniu wiele dróg poprowadzonych jest ścianami o znacznym nieraz wywieszeniu, osiagającemu np. na Torrent Falls ok. 20m na ścianie 30-35m wysokości.

W kwietniu 1993r. miałem przyjemność wspiąć się w RRG z Bogdanem Kaletą. Ponieważ czas pobytu mieliśmy ograniczony do kilku dni zaledwie, to żeby poznać i zobaczyć jak najwięcej, codziennie zmienialiśmy miejsce działania. W efekcie wspinaliśmy się na Roadside Crag, Military Wall, Torrent Falls i Sky Bridge Ridge. Każda z tych ścian jest wybitna i na każdej z nich naliczyć można kilkanaście dróg, choć jest to dopiero początek eksploatacji. Wszystkie bez wyjątku przebyte przez nas drogi były ciekawe, logiczne i bezpieczne, a ich przejście dostarczyło nam sporo radości i satysfakcji. Większość z nich prowadzi terenem przewieszonym i mają charakter bardziej wytrzymałościowy niż siłowy. Oto kilka naszych najciekawszych przejść:

Roadside Crag  
Stay The Hand, 5.12b, OS: Janowski oraz Kaleta  
Up Yonder, 5.12a, OS: Janowski oraz Kaleta  
Sand, 5.11d, OS: Kaleta  
Reaux Champeaux, 5.11d, F: Janowski  
Torrent Falls  
Recoil, 5.11d, OS: Janowski oraz Kaleta  
Receiver, 5.11c/d, OS: Janowski oraz Kaleta  
Sky Bridge Ridge  
Super Dario, 5.11b/c, OS: Janowski oraz Kaleta  
King Me, 5.11c, OS: Janowski

# Demon Hilti

Co jakiś czas stronie czasopism alpinistycznych zapelniają dyskusje na temat Hamletowego pytania: „spitować czy nie spitować”? Nie czekając aż najwyższe autorytety moralne rozstrzygną ten straszliwy dyalemat, póki co, kierując się zwykłym rozsądkiem, nazujemy się osadzać tzw. wiercone punkty asekuracyjne.

## Trochę teorii

Historycznie rzecz ujmując plejadę punktów asekuracyjnych osadzanych metodą udarową zapoczątkowały ringi czyli masywne bolce metalowe zakończone ruchomym koluchem, które kiedyś były mocowane w otworze za pomocą ołowiu, a obecnie za pomocą odpowiednio dobranego kleju. Później pojawiły się nity, które w swej najprostszej postaci były walcami z miękkiego metalu wbijanymi na siłę w przygotowany wcześniej otwór. Następną generację stanowiły spity, w których metalowy element przeznaczony do osadzania w skale był jednocześnie wiertłem, do którego z kolei przykręcano plakietkę, czyli inaczej ucho przeznaczone do wpinania karabinka. Rozwinięcie rodziny spitów stanowią kotwy przemysłowe przeznaczone zasadniczo do prac budowlano-montażowych. Kotwy składają się zazwyczaj z kilku precyzyjnie wykonanych elementów, które działając na zasadzie stożka klinują się w otworze pod wpływem dokręcania.

Współcześnie dla uniknięcia nieporozumień terminologicznych stosuje się nazwy kotwa klejowa i kotwa mechaniczna dla wszelkich elementów osadzanych w skale oraz nazwy plakietka na oznaczenie uszka dokręcanego do kotwy.

Kotwy przeznaczone do asekuracji muszą sprostać bardzo wygórowanym wymaganiom. Po pierwsze należy się liczyć z tym, że mogą być one obciążane bardzo poważnymi udarami nawet setki razy, a po drugie, że powinny w założeniu przetrwać w dobrym stanie przynajmniej kilkanaście lat. Na osadzone kotwy oddziałują zasadniczo dwie siły: ścinająca, której musi sprostać trzon kotwy i wyrwywającej, za którą odpowiada konstrukcja kotwy i twardość samej skały. Generalnie każda kotwa niezależnie od jej konstrukcji wytrzyma co najwyżej tyle, ile wytrzyma skała. Oznacza to konieczność dopasowania rodzaju i konstrukcji kotwy do rodzaju skały. Z wieloletnich doświadczeń na tym polu wiadomo, że do skał twardych można stosować zarówno kotwy mechaniczne jak i kotwy klejowe, natomiast do skał miękkich wyłącznie kotwy klejowe. O wyborze rodzaju kotwy i jej długości powinny decydować przede wszystkim przesłanki techniczne, a dopiero w następnej kolejności kwestie natury organizacyjnej czy ekonomicznej.

Sprawą szczególnej wagi jest wybór miejsca pod kotwę. Skała musi być opukana młotkiem i nie może wydawać żadnych podejrzanych dźwięków. Ponadto



Fot. Anna Świąciecka

należy zachować rozsądną odległość od krawędzi, szczelin, głębokich chwytów a także innych kotw. Minimalna odległość, o której mowa nie może być mniejsza niż 3 długości kotwy, a jeszcze lepiej jest zachować odległość 5 długości. Punkty stanowiskowe powinny mieć wytrzymałość ok. 2200kg każdy i tyle też powinien wytrzymywać pierwszy punkt przelotowy nad stanowiskiem. Rozmieszczenie kolejnych punktów przelotowych zależy od bardzo wielu czynników, z których na czoło wysuwa się współczynnik odpadnięcia. Pamiętajmy, że na początku wyciągu nawet krótki lot może spowodować większe spustoszenia w hańcuchu asekuracyjnym niż długi lot pod koniec wyciągu. W dalszej kolejności należy uwzględnić:

- miejsca niebezpieczne (mowa o możliwości upadku na ziemię, uderzenia w półki, połogie płyty, wystające z ściany bloki etc.),
- wygodę wpięcia w punkt przelotowy (należy zadbać o dobre stanie lub dobry zwis na jednej ręce nawet dla osób o niskim wzroście),
- kierunek przebiegu drogi (chodzi o wyeliminowanie niepotrzebnych przegięć liny),
- ewentualne zaśnieżenie lub zalodzenie skały (plakietka nie powinna znajdować się pod zaspą czy warstwą naciekowego lodu).

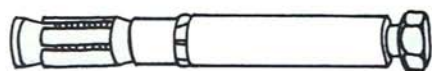
Jak zawsze obowiązuje zasada ograniczonego zaufania. Nigdy nie należy ufać pojedynczej kotwie. Zdublowania wymagają stanowiska asekuracyjne, stanowiska zjazdowe a także punkty zamocowania tzw. wędki. Firmy produkujące kotwy wytwarzają rocznie miliony egzemplarzy i nie ma żadnej gwarancji, że pechowo nie przytrafi się nam wyrób wybrakowany.

## Kotwy mechaniczne

Zdecydowanie największą wytrzymałość w skałach twardych ma kotwa tulejowa HILTI HSL-TZ składająca się ze śruby i stożka ukrytych wewnątrz tulei. Przy średnicy 12 mm i długości 95 mm wytrzyma ona w granicach ponad 2000 kg na wyrwywanie i ponad 3000 kg na ścinanie. Nierdzewną odmianą tej kotwy jest HILTI HSLG-R, której jedyną wadą jest cena kilkakrotnie wyższa od kotwy wykonanej ze stali węglowej.

Używając kotw tulejowych HILTI należy posługiwać się nowymi wiertłami 12 mm, gdyż wiertła tępe wiercą otwory o nieco powiększonej średnicy, co ma fatalny wpływ na siłę zamocowania kotwy. Bardzo ważne jest także staranne przedmuchiwanie otworu w celu usunięcia żeń pyłu skalnego. Do dokręcania ła śruby

należy używać klucza dynamometrycznego z nastawioną wartością według wskazań producenta tj. 25 Nm. Ważną zaletą kotw tulejowych jest możliwość wymiany uszkodzonej plakietki oraz możliwość dokręcenia samej kotwy w przypadku jej poluzowania.



AK

rys. 1

Tańszą ale i mniej polecaną propozycją do skal twardych są kotwy segmentowe HILTI HSA i PETZL Coeurgoujon. Od kotw tulejowych różnią się tym, że nie posiadają tulejki, a kotwa tkwi bezpośrednio w wywierconym otworze. Przy średnicy 10 mm i długości 55-63 mm wytrzymują ok. 1800 kG na wrywanie i ok. 2500 kG na ścinanie.



AK

rys. 2

Kotwy segmentowe mają zalety podobne do kotw tulejowych, a nawet są od nich łatwiejsze w montażu, co jednak nie równoważy bardzo poważnej wady: kotwy segmentowe źle znoszą wielokrotne obciążenia dynamiczne i mogą wypaść bez ostrzeżenia. Dlatego też należy unikać osadzania ich w miejscach „gdzie wszyscy latają”.

Kolejną interesującą odmianą kotw mechanicznych jest kotwa trzpieniowa. Zasada działania polega na tym, że kotwa na całej swej długości jest przewiercona stożkowym otworem, w który wbija się trzpień powodujący jej zaklinowanie. Najlepszym przedstawicielem tego gatunku jest kotwa PETZL Long Life. Łatwo ją odróżnić od innych kotw tego typu po kolorze. Kotwa PETZL-a jest srebra, a wszystkie pozostałe mają kolor złoty.

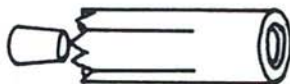


AK

rys. 3

Kotwa PETZL Long Life ma znaczną wytrzymałość 1800 kG/2500 kG przy średnicy 12 mm i długości 47 mm. Instalowanie jest wyjątkowo proste, nie są wrażliwe na korozję. Jediną wadą jest to, że nie można ich zdemontować. Uwaga, w cenę wliczona jest także firmowa plakietka.

Przeгляд kotw mechanicznych kończy kotwa koronkowa czyli inaczej mówiąc klasyczny spit. Kotwy tego typu są przeznaczone zasadniczo do osadzania ręcznego, gdzie sama kotwa pełni również funkcję wiertła. Otwór musi być wywiercony dokładnie na głębokość odpowiadającą długości kotwy. W przypadku wiercenia otworu wiertarką należy zaniechać pracy na 3/4 głębokości otworu i dokończyć spitownicą ręczną, gdyż dno otworu nie może być stożkowe.



AK

rys. 4

Najbardziej popularna jest kotwa PETZL Cheville Autoforeuse, ale uwaga, tylko model P 30 nadaje się do asekuracji. Przy wymiarach 15 mm/37 mm ma ona wytrzymałość 1800 kG/2500 kG. Model P 12 jest kotwą jaskiniową przeznaczoną do pracy statycznej.

#### Kotwy klejowe

Do osadzania w skałach miękkich takich jak np. piaskowiec czy większość wapieni powinno się stosować kotwy klejowe. Mają one zwykle średnicę od 10 do 16 mm i długość od 70 do 150 mm, choć bywają i dłuższe. Współczesne kotwy klejowe dzielą się zasadniczo na dwa rodzaje: kotwy jednozęściowe i kotwy wielozęściowe (osobno kotwa i osobno plakietka)



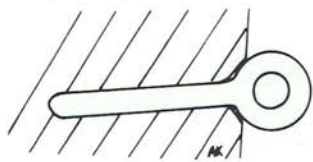
rys. 5

Ze względu na prostotę konstrukcji często spotyka się kotwy produkcji chałupniczej wykonane najczęściej z pręta zbrojeniowego. Zważywszy na znaczną średnicę mają one na ogół wystarczającą wytrzymałość, ale niestety nie posiadają żadnych zabezpieczeń antykorozyjnych. Z tego też powodu lepiej posługiwać się wyrobami firmowymi. Czołówkę tworzą kotwy PETZL-a: Collinox 10 mm/70 mm i Ring 14 mm/70 mm, które są jednak zbyt krótkie do piaskowca i miękkiego wapienia. Przy głębszych otworach należy posługiwać się prętami kotwowymi HILTI HAS o pełnym wyborze długości i średnic.

Otwór wykonany w skale musi być większy od średnicy kotwy tak, aby dawała się ona lekko wkładać i wyjmować. Przy stosowaniu klejów w gotowych kapsułkach (patronach) otwór powinien być większy od średnicy kotwy o 2 mm. Uwaga, ze względu na specyfikę skal miękkich najlepiej jest dobierać średnicę wiertła na drodze empirycznej.

Otwór musi być starannie wyczyszczony i przedmuchany gruszką. Dobre efekty daje czyszczenie otworu nylonową szczotką do mycia butelek. Nie wol-

no używać szwrotek drucianych, które polerują skałę, co utrudnia przywieranie kleju. Oczywiście o żadnej wodzie w otworze nie może być mowy. Warto też pamiętać o wyfrezowaniu w skale otworu tak, aby kolucho kotwy opierało się o skałę.



rys. 6  
Kleje

A teraz rzecz najciekawsza - wybór kleju. Jak łatwo domyślić się do osadzania kotw asekuracyjnych potrzebne są kleje trochę mocniejsze niż te, które przeznaczone są do sklepania filiżanek. Stosowany dotychczas na terenie Jury krajowy klej DISTAL sprawdził się o tyle, że po 2 latach od osadzenia ringów trzymają się one całkiem krzepko. Coś więcej o sile i trwałości tego kleju można będzie powiedzieć dopiero za kilka lat po przeprowadzeniu badań niszczących.

Spśród klejów profesjonalnych mamy do wyboru kilka rozsądnych ofert: HILTI C-100 i HILTI HEA oraz kleje PETZLA do swoich kotw firmowych. Pierwszy jest klejem w półkilogramowych pojemnikach, przeznaczonych do aplikowania przy pomocy specjalnego pistoletu. Pozostałe kleje są sprzedawane w postaci gotowych kapsułek o średnicy i długości dostosowanej do używanych kotw. Kleje w pojemnikach, jak zresztą wszystkie inne kleje przeznaczone do osadzania kotw są dwuskładnikowe: składają się z kleju i utwardzacza. Osobno oba składniki mają własności klejące nie większe niż miód i muszą być wymieszane w odpowiednich proporcjach. Pojemnik z klejem HILTI C-100 jest wyposażony w dyszę dawującą pozwalającą dozować oba składniki w niezbędnej ilości. Uwaga, dwa pierwsze wycięcia kleju HILTI C-100 nie mają własności klejących. Według producenta klej C-100 wiąże do osiągnięcia pełnej wytrzymałości od 45 minut w temperaturze powyżej 20°C do 6 godzin w temperaturach ujemnych. Wadą kleju HILTI C-100 jest to, że nie akceptuje on żadnego zwilżenia skały, co nieco ogranicza jego zastosowanie. Tej wady nie ma klej RAMSET Ceramic 6, ale dla odmiany pachnie wprost fatalnie, a firmowy pistolet do jego rozprowadzania często się psuje.

Aplikując kleje w pojemnikach należy wypełnić otwór klejem do połowy oraz posmarować samą kotwę. Po włożeniu kotwy do otworu nadmiar kleju powinien wypłynąć. Jeżeli nie wypływa, należy kotwę wyjąć i dodać trochę kleju. Oczywiście ze względów estetycznych nadmiar kleju o którym mowa powinien być usunięty ze skały przy pomocy szpachelki i papieru.

Używanie klejów w gotowych kapsułkach przedstawia się dość prosto. Po pierwsze są one mało wrażliwe na wodę, a po drugie nie dają odpadków. Wystarczy włożyć kapsułkę o odpowiedniej średnicy i długości w otwór i zmiażdżyć ją poprzez włożenie kotwy. Teraz uwaga: kotwę należy koniecznie obrócić ponad 20 razy w otworze w celu wymieszania składników kleju. Do tej czynności można używać wiertarki ze specjalną przystawką. Stosując kapsułki w przewieszaniu należy zabezpieczyć się przed ich wysunięciem z otworu. Dobre wyniki daje kawałek plastra lub plasteliny. Po usta-

leniu położenia kotwy w otworze warto zawiesić kartkę zabraniającą użytkowania kotwy przez jakiś czas (niektóre źródła zalecają okres 24 godzin nawet dla klejów szybko wiążących). Klej HILTI HEA wiąże do pełnej wytrzymałości od 20 minut w temperaturze powyżej 20°C do 5 godzin w temperaturach ujemnych. Generalnie kleje akrylowo-epoksydowe mają wytrzymałość co najmniej zadowalającą, ale należy zwracać uwagę na termin ich przydatności do użycia.

#### Plakietki

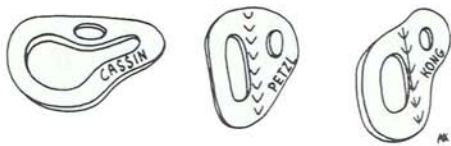
Plakietka, co oczywiste musi mieć średnicę otworu montażowego dopasowaną do średnicy kotwy. Typowe rozmiary to: 8, 10 lub 12 mm. Należy unikać łączenia elementów wykonanych w dwóch różnych systemach tj. metrycznego z calowym. Plakietka powinna być wykonana z takiego samego materiału co kotwa ze względu na groźbę wystąpienia korozji galwanicznej. Przy zawilgoceniu powstaje ogniwo elektryczne, co jak wiadomo przyspiesza proces rdzewienia. W rejonach o niekorzystnych parametrach środowiska zewnętrznego (kwaśne deszcze, morska woda, spaliny samochodowe etc) należy stosować kotwy i plakietki ze stali nierdzewnej. Ich żywotność jest szacowana na 40 lat.

Zasadnicze znaczenie ma także wybór kształtu plakietki. Nie wszystkie plakietki nadają się do umieszczania w przewieszaniu czy w okapach. Chodzi o to, aby na kotwie powstawała jak najmniejsza dźwignia. O zastosowaniu plakietki zazwyczaj informuje instrukcja producenta.

Następną ważną cechą jest grubość blachy z której została wykonana plakietka oraz staranność obróbki brzegów otworu przeznaczonego do wpinania karabinka. Plakietki wykonane z cienkiego materiału o ostrych krawędziach szybko niszczą lekkie karabinki. Większość plakietek dostępnych na rynku ma wytrzymałość przekraczającą 2500 kG, a więc są bardziej wytrzymałe od wielu karabinków. Różnica polega jednak na tym, że karabinki się zmienia, a plakietka najczęściej przez długie lata zostaje ta sama. Dlatego zaleca się okresowe kontrole stanu plakietek i ewentualną ich wymianę o ile umożliwiał ten zabieg konstrukcja kotwy.

Najwyższe ceny uzyskały plakietki dobrze znanych firm:

- PETZL - modele Coeur 10mm i Coeur 12mm
- CASSIN - model Roof Hanger
- KONG - model Vertical Hanger



rys. 7

Inne modele choć spełniają parametry wytrzymałościowe mają różne wady konstrukcyjne i lepiej jest ich unikać.

### Kilka porad praktycznych

Do skał twardych zaleca się stosowanie kotw mechanicznych, a do skał miękkich należy stosować kotwy klejowe. Obowiązuje zasada, że im bardziej miękka jest skała, tym kotwy muszą być dłuższe. Należy zachować czujność, gdyż niektóre rodzaje skał są twarde z wierzchu, a miękkie pod spodem, a niektóre odwrotnie lub na przemian. Tak czy inaczej w skale niejednorodnej wskazane jest stosowanie kotw ekstra długich.

Wybór wiertarki akumulatorowej jest dość prosty. Firma HILTI oferuje model udarowy TE 10A, który zaspokaja wszystkie wymagania nowoczesnego "pogromcy skał". Przed przystąpieniem do osadzania wierconych punktów asekuracyjnych warto zadbać o warsztat pracy. Szczególnie ważne jest zaopatrzenie się w nowe lub nastrzone wiertła, co znakomicie przyspiesza pracę i zwiększa wydajność akumulatora. Bateria musi być naładowana, gdyż zupełnym absurdem jest dźwiganie akumulatora na wóół rozładowanego. Jeżeli mamy w planie osadzenie więcej niż 5 kotw w wapieniu i 10 w granicie musimy zabrać dodatkowe baterie na zapas. Wszystkie potrzebne narzędzia warto zapakować w solidne i poręczne torby, które przymowocuje

się potem do upręży. Bardzo istotne jest sprokurowanie odpowiedniej taśmy chroniącej wiertarkę przed upadkiem, a osobników znajdujących się poniżej przed poważnymi obrażeniami.

Jeżeli wiercimy otwory w zjeździe, to należy szczególnie starannie ustalić przebieg drogi i miejsca, w których zostaną osadzone kotwy. Wiele pomocne są przejścia z górą asekuracją, gdzie wspinacz zaznacza kredą lub kawałkiem kolorowego plastra miejsca najdogodniejsze jego zdaniem do zainstalowania kotw. Przy zakładaniu kotw w większej ścianie rola „wiertacza” przypada na ogół drugiemu na linie. Prowadzący wyznacza miejsca, w których przydałaby się stała asekuracja, a potem przytrzymuje na zablokowanej linie pracującego drugiego.

Osadzanie kotw przez prowadzącego zalicza się już do Sztuk i warte jest odrębnego opracowania.

#### Literatura:

- D. Raleigh „Anchors away” Climbing 134
- D. Raleigh „Sticky business” Climbing 135
- D. Taupin, J.-P. Verdier „Amenagement et Equipement d'un Site Naturel d'Escalade”
- katalog PETZL 1993
- katalog HILTI 1992

## Kurs instruktorów wspinaczki skalnej

Komisja Szkoleniowa PZA zorganizowała trzeci kurs instruktorów wspinaczki skalnej. W części teoretycznej kursu, przeprowadzonej w Betlejemce w dniach od 17 do 25 kwietnia 1993r uczestniczyło 11 osób z 7 klubów.

Kadrę wykładowców stanowili: Konstanty Bałucifski, Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Piotr Korczak, Bogumił Ślania, Wacław Sonelski, Robert Wollek oraz Wojciech Świąciecki jako kierownik całej imprezy.

Część praktyczna kursu, pomyślana jako staż na kursie skałkowym, odbyła się w dniach od 1 do 9 maja 1993r w skałkach Rzędkowickich. Kadrę stanowili: Arkadiusz Gąsienica Józkowy, Juliusz Rudziński, Bogumił Ślania, Maciej Tertelis i Wojciech Świąciecki. Ocenić podlegały następujące aspekty pracy instruktorskiej: umiejętności pedagogiczne, umiejętności wspinaczkowe oraz praktyczna znajomość zagadnień autoratownictwa. Kurs ukończyło 7 osób.

Poniżej publikujemy pełną listę osób posiadających uprawnienia instruktora wspinaczki skalnej:

Imię i nazwisko	Numer uprawnień	Klub
Grzegorz Gut	301	KW Łódź
Robert Wollek	302	KW Kraków
Włodzimierz Comporek	303	KW Trójmiasto
Lubomir Prokopek	304	KW Kraków
Tomasz Tokarz	305	KW Warszawa
Szczepan Głogowski	306	KW Warszawa
Krzysztof Sas-Nowosielski	307	KW Katowice
Andrzej Lata	308	KW Olsztyn
Sławomir Jabłoński	309	KW Szczecin
Janusz Bartos	310	KW Trójmiasto
Norbert Ziober	311	AKG Łódź
Piotr Dębski	312	AKG Łódź
Stanisław Piecuch	313	KW Katowice
Robert Kazmierski	314	KW Poznań



Danuta Wach i Wojtek Mateja w Rzędkowicach

Fot. W Świąciecki

Jacek Jachymski	315	AKG Łódź
Mariusz Sygnet	316	AKG Łódź
Grzegorz Zieliński	318	KW Kraków
Zbigniew Kowaleczyk	319	KW Kraków
Kazimierz Ruszała	320	KW Rzeszów
Ryszard Emilewicz	321	KS Korona
Danuta Wach	322	KW Katowice
Aleksandra Tomkowiec	323	KW Katowice
Monika Niedbalska	324	KS Korona
Jan Muskat	325	KW Zakopane
Wojciech Mateja	326	KW Zakopane
Wojciech Leder	327	AKG Łódź
Marek Kujawiński	328	AKG Łódź

Wojciech Świąciecki - Komisja Szkolenia PZA

# Pas piersiowy - tak, ale...

## Porównanie uprzęży biodrowych i biodrowo-piersiowych

Czytelnicy obdarzeni lepszą pamięcią zauważą, że tytuł niniejszego artykułu jest parafrazą publikacji zamieszczonej w *Taterniku* 1/1987.

Jak pamiętamy streszczone w nim doktrynę Pita Schuberta zalecającą stosowanie uprzęży biodrowej w połączeniu z pasem piersiowym, co zilustrowano „rysunkami nie wymagającymi objaśnień”.

Nowych, interesujących informacji na temat uprzęży wspinaczkowych dostarcza artykuł J.F. Charleta zamieszczony w *Biuletynie ENSA* za rok 1992. Materiał powstał na podstawie badań przeprowadzonych przez Instytut Politechniczny w Lyonie na zlecenie firmy PETZL. Metoda badawcza polegała na wielokrotnym videofilmowaniu spadającego ciała ludzkiego i manekina wyposażonego w zestaw odpowiednich czujników. Porównanie obu typów uprzęży odbyło się poprzez analizę 4 aspektów odpadnięcia wspinacza:

1. przyczyny upadku
2. samego lotu
3. wyhamowania upadku
4. pozycji po upadku

Po pierwsze potwierdziła się powszechnie znana prawda, że uprząż kompletna jest mniej wygodna niż uprząż biodrowa. Każdy kto używał uprzęży dolnej w połączeniu z pasem piersiowym wie, że takie rozwiązanie powoduje dodatkowe zmęczenie poprzez ograniczenie swobody ruchów ramion i poprzez upośledzenie czynności oddechowych na skutek skrópowania klatki piersiowej. Oznacza to, że sam rodzaj używanej uprzęży wspinaczkowej może decydować o tym, czy w konkretnej sytuacji wspinacz odpadnie czy nie. Innymi słowy uprząż kompletna sama w sobie może być przyczyną upadku. Ograniczenie swobody ruchów rąk i ramion stawia przed wspinaczem alternatywę:

- albo, nie mogąc wykonać odpowiedniej (optymalnej) sekwencji ruchów wybiera rozwiązanie, które zwiększa prawdopodobieństwo lotu,

- albo, usiłuje wykonać optymalne ruchy, ale musi wydatkować dodatkową energię, co powiększa zmęczenie i stwarza ryzyko odpadnięcia.

Stwierdzono także, że używanie uprzęży kompletnej powinno być absolutnie zabronione w czasie marszu po lodowcu, gdyż wysokie związanie się liną powoduje przewrócenie asekurującego na twarz i nie daje żadnej szansy zaparcia się nogami. Natomiast przy uprzęży biodrowej można wykorzystać naturalny odruch wysunięcia nogi do przodu i odchylenia tułowia do tyłu, co daje szansę wyhamowania lotu.

Kolejnym argumentem za używaniem uprzęży biodrowej są zagrożenia związane z pozornie prostą czynnością przebijania się w trakcie wspinaczki. Wahania temperatury, opady atmosferyczne czy też po prostu dłuższe oczekiwanie na stanowisku często zmuszają

wspinacza do ubierania się lub rozbierania w niewygodnych miejscach, co może być kłopotliwe, a nawet niebezpieczne przy zastosowaniu uprzęży kompletnej.

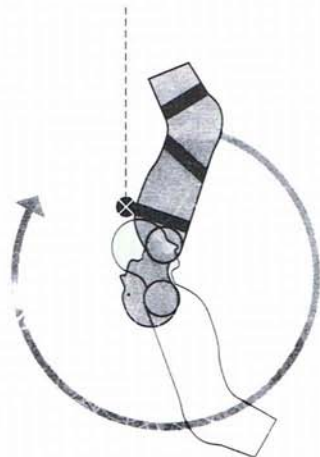
Bodaj czy nie najważniejszym spostrzeżeniem płynącym z cytowanych badań jest to, że pozycja wspinacza w trakcie samego lotu jest zasadniczo niezależna od rodzaju stosowanej uprzęży. Oznacza to ni mniej ni więcej, że dopóki lina nie napręży się, to wspinacz może w najlepszym przypadku zadbać o to, aby jak najmniej się poobijać. Wszystkie próby i obserwacje doprowadziły do następującego wniosku:

Efekty hamowania upadku zależą w ogromnej mierze od pozycji ciała wspinacza w chwili wylapywania odpadnięcia i od miejsca przywiązania liny do uprzęży (chodzi tutaj o odległość pomiędzy węzłem a środkiem ciężkości ciała ludzkiego). Pozostaje więc porównać dwa skrajne przypadki, czyli lot w pozycji normalnej (nogami w dół) i w pozycji odwrotnej (głową w dół) z zastosowaniem uprzęży biodrowo-piersiowej.

W przypadku odpadnięć w pozycji normalnej małą przewagę wykazała uprząż biodrowa, gdyż przy zastosowaniu uprzęży kompletnej możliwa jest rotacja ciała do przodu i uderzenie czołem o skałę. W czasie lotów w pozycji odwrotnej uprząż biodrowa wykazała już



znaczną przewagę, gdyż wspinacz po locie w dół pozostaje w tej pozycji także po wyhamowaniu odpadnięcia. Natomiast przy zastosowaniu uprzęży kompletnej następuje gwałtowne odwrócenie wspinacza do pozycji głową do góry, w czasie którego wywiązują się siły



rys. 2.

wystarczające do spowodowania poważnych obrażeń kręgosłupa szyjnego. W dodatku jest bardzo prawdopodobne, że w chwili obrotu wspinacz uderzy brutalnie łędźwiami o skałę (rys.1).

Uporzęd biodrowa wykazuje także zalety po upadku wspinacza, a więc w fazie wiszenia. Jeżeli wisi on w pozycji normalnej to łatwo może przejść do czynności autoratowniczych, gdyż uprząż nie krępuje jego ruchów. Jeżeli wisi w pozycji odwrotnej i jest nieprzytomny, to należy go w takiej pozycji pozostawić, gdyż w stanie szoku nogi powinny znajdować się powyżej głowy (poruszone np. w „Climbing” nr 129).

W konkluzji J.F. Charlet stwierdza, że używanie uprzęży kompletnej nie jest tak jednoznacznie bezpie-

czne jak się dotąd wydawało i zaleca stosowanie takich rozwiązań, w których lina jest dowiązywana do uprzęży jak najbliżej środka ciężkości ciała ludzkiego (rys.2).

### Komentarz

Streszczony powyżej artykuł dostarcza dość szokujących wniosków, przynajmniej na tle wiedzy płynącej z publikacji niemieckich. Sam zresztą pamiętam komentarze alpinistów szwajcarskich, kiedy wspinalem się po drogach na Piz Badile w uprzęży Whillansa. Krótko mówiąc uważali oni, że używanie uprzęży biodrowej bez pasa piersiowego jest czystym idiotyzmem...

Doceniając solidność badań przeprowadzonych przez Francuzów myślę, że na ostateczny werdykt w sprawie uprzęży należy jeszcze chwilę poczekać. Ciągłe jeszcze obowiązuje norma UIAA, która dopuszcza uprzęże biodrowe tylko w połączeniu z pasem piersiowym, choć z różnych publikacji fachowych wynika, że usankcjonowanie normy samodzielnego używania uprzęży biodrowej jest kwestią nieodległej przyszłości.

W tak zwanym międzyczasie można sformułować kilka rozsądnie brzmiących wniosków:

- należy używać uprzęży biodrowych gwarantujących wysokie dowiązywania liny (na wysokości środka ciężkości ciała wspinacza)
- należy uważać aby uprząż nie zsuwała się z bioder (taśma opinająca talię musi znajdować się powyżej kolców biodrowych przednich górnych)
- w czasie lotu należy uchwycić linę oburącz przed sobą

- używając uprzęży kompletnej należy obniżyć pas piersiowy na wysokość końca mostka (jak najbliżej środka ciężkości ciała wspinacza)

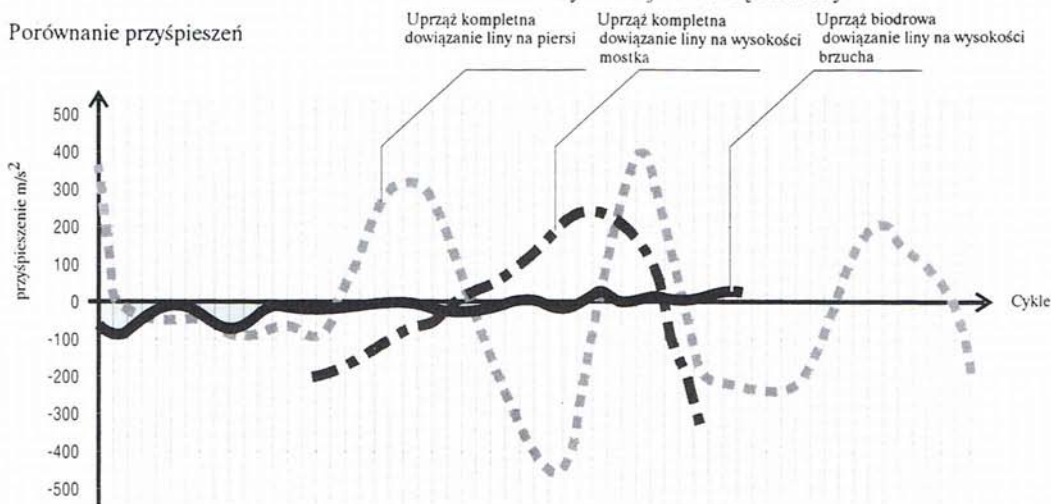
- pas piersiowy w uprzęży kompletnej musi być na tyle luźny, aby zapewniał swobodę oddychania

- dzieci, osoby bez wcięcia w tali oraz wspinacze ubrani w śliskie kombinezony powinni używać uprzęży kompletnych ze względu na niebezpieczeństwo wyslizgnięcia się z uprzęży biodrowej

- należy unikać wspinaczki "na pierwszego" z plecakiem, którego ciężar przekracza 5% wagi wspinacza

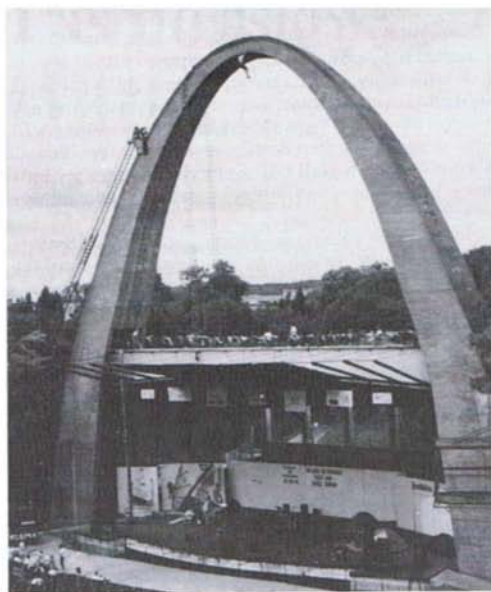
- przyrząd asekuracyjny należy przypinać do uprzęży w miejscu dowiązania liny.

### Porównanie przyspieszeń



rys. 3

# Sport wspinaczkowy w kraju



"Obieki"

Fot W. Świąciecki

Już po raz trzeci, rok po roku, Szczeciński Klub Wysokogórski zorganizował zawody wspinaczkowe we wspinaczce sportowej. Tym razem impreza miała rangę oficjalnych mistrzostw Polski, co spowodowało godną podziwu mobilizację całego środowiska szczecińskiego. Pierwsze skrzypce grali jak zwykle w takich przypadkach działacze klubu, z prezesem Bełą Stano-Szczeptańską i Piotrem Henshke na czele.

Głównym atutem szczecinian jest sam obiekt wspinaczkowy. Jest nim wielki, blisko 40-to metrowej wysokości łuk betonowy, usytuowany nad sceną teatru letniego w parku miejskim i wyposażony w dokręcane chwytaki oraz spity asekuracyjne. Autorem dróg wspinaczkowych dla potrzeb zawodów był bardzo kompetentny w tej dziedzinie Andrzej Marcisz.

Do konkursu stanęło 40 wspinaczy i 5 pań. Blisko połowa startujących reprezentowała barwy KS Korona, po 4 zawodników wystawiły kluby ze Szczecina i Częstochowy, 3 było z Nowego Sącza, 2 z Warszawy, a pozostałe kluby reprezentowane przez 1 zawodnika.

Eliminacje rozgrywane w dniu 18 czerwca ciągnęły się w nieskończoność z powodu dokuczliwego deszczu, który powodował liczne przerwy w zawodach i zmuszał ekipę techniczną do osuszania chwytaków i stopni. Ostatecznie do finałów zakwalifikowano 16 zawodników. Czołową trójkę tworzyli: Jacek Jurkowski, Marcin Wróbel i Jacek Trzemzański, z których dwaj pierwsi dotarli do końca drogi eliminacyjnej o trudnościach 7b/7c. W konkurencji kobiecej do finału dotarły: Iwona Gronkiewicz-Marcisz, Renata Piszczek i Monika Niebalska.

Wojciech Świąciecki

## Mistrzostwa Polski we wspinaczce sportowej

### Szczecin 1993

Szeroko komentowanym incydentem pierwszego dnia zawodów było zerwanie koszulki z fabrycznie nowej liny Edelweiss Stratos. Zgromadzona publiczność wydała okrzyk autentycznej grozy, kiedy okazało się, że opuszczany zawodnik wisi na samym rdzeniu liny. Prawdopodobną przyczyną awarii było przetarcie zewnętrznych włókien o ostrą krawędź zamka w karabinku.

Finały rozgrywane w sobotę 19 czerwca, szczęśliwie przy doskonałej pogodzie. Imprezę urozmaicały pokazy mody górskiej i plażowej oraz występy zespołów metalowych, które niestety swoim głośnym lomo-



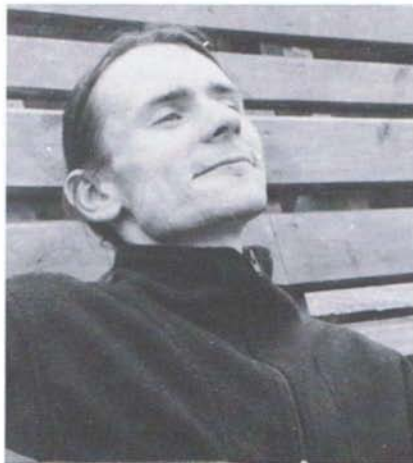
Jacek Jurkowski 1 miejsce

Fot W. Świąciecki



Marcin Wróbel II miejsce

Fot. W. Świąciecki



Tomasz Ręgwelski III miejsce

Fot. W. Świąciecki

tem skutecznie przerzedzały i tak niezbyt pełne trybuny.

Wśród mężczyzn do końca drogi finałowej dotarło 3 zawodników, co spowodowało emocjonującą dogrywkę na utrudnionej drodze finałowej, ocenianej na 8a. Klasą dla siebie był Jacek Jurkowski, który osiągnął tzw. top zarówno w eliminacjach jak i w finale i w super finale, oraz poza tym wygrał jeszcze rozgrywane nieco później zawody w konkurencji na czas.

W konkursie kobiet niespodzianek nie było. Wygrała świetnie przygotowana siłowo Iwona Gronkiewicz-Marcisz mimo, że bardzo oszczędzała kontuzjowaną w kolanie nogę. Drugie miejsce zajęła Renata Piszczek, która dla odmiany wyprzedziła Iwonę w konkurencji na czas. Pozostałe zawodniczki nie odegrały niestety w tych zawodach większej roli.

Organizatorom zawodów udało się zgromadzić sporą ilość nagród rzeczowych, których łączna pula

przekroczyła 50 milionów złotych. Głównym sponsorem mistrzostw była firma Alpinus z Chorzowa reprezentowana przez Janusza Majera. Wielka szkoda, że nagrody wręczano w lokalu klubowym bez odpowiedniej do tego celu oprawy, co w przyszłości może zaważyć na hojności sponsorów.

Wyniki pierwszej dziesiątki mężczyzn w konkurencji na trudność:

1. Jacek Jurkowski KW Nowy Sącz, TOP w super finale
2. Marcin Wróbel KS Korona, TOP w finale
3. Tomasz Ręgwelski KS Korona, TOP w finale
4. Leszek Milczarek Szczeciński, KW 20.0
5. Jacek Trzemzański KS Korona, 20.0-
6. Tomasz Samitowski KS Korona, 18.0-
7. Piotr Drobot KS Korona, 17.6-
8. Sebastian Kostkiewicz KW Nowy Sącz, 15.6
9. Marcin Bartocha KW Częstochowa, 15.2+
10. Grzegorz Pleśniak KS Korona, 14.8

**Magdalena Tomasik  
Joanna Wolf**

## *I Halowe Warszawskie Zawody Wspinaczkowe 1993*

W dniach 23-24 stycznia 1993 r. odbyły się I Halowe Zawody Wspinaczkowe zorganizowane na sztucznej ścianie Klubu Wysokogórskiego w XXXIV L.O. im. M. Cervantesa przy ul. Zakrzewskiej w Warszawie. Główną nagrodą miał być Puchar Prezydenta Warszawy, który w ostatniej chwili zastąpiony został nagrodą pieniężną w wysokości 10 mln złotych przeznaczoną na zakup sprzętu. Oprócz władz stołecznych zawody sponsorowane były przez firmy: „Alpinus”, „Mellos”, „KEN”, „Assecuro”, „Muza” S.A., „Podróżnik” oraz „Izostar”. Dzięki obecności reporterów z II Programu TP i NTW a także Gazety Wyborczej i Przeglądu Sportowego zawody znalazły swoje

miejsce w programach telewizyjnych i w prasie. Organizatorem imprezy z ramienia KW Warszawa był kolega Ryszard Tomasik, pomagali mu: Paweł Haciski, Sławek Kuczmierowski, Tomek Przybylski, Joasia Wolf, Jurek Zdanowski, Magda Zmihorska-Tomasik. Drogi ułożyli R. Tomasik i J. Zdanowski, którzy także sędziowali zawody. Mała wysokość ściany (ok. 6 m) sprawiła, że drogi prowadziły w znacznej części przewieszonym trawersem zakończonym wyjściem do góry przez przewieszkę. Drogi finałowe i superfinałowe męskie kończyły się efektywnym dojściem po poziomej belce stropowej na środek sufitu sali.

W zawodach wzięło udział 30 zawodników: 15 mężczyzn, 4 kobiety i 11 dzieci. Rozegrano trzy konkurencje: męską, kobiecą i dziecięcą do lat 13. Eliminacyjna droga męska miała dł. ok. 22 m i trudności VI.3, zaś kobieca dł. ok. 14 m i trudności VI.1+. Finał oraz superfinał męski rozegrany został na drodze o dł. ok. 22 m i trudnościach VI.4/VI.4+. Eliminacja paní okazała się rozstrzygająca i sędziowie zrezygnowali z finału. Do finału panów zakwalifikowało się 8 zawodników, superfinał rozegrał się pomiędzy Pawłem Haciskim a Leszkiem Mileczarkiem.

Znakomitym pomysłem i świetną zabawą okazały się zawody dzieci. Rodzice pomagali swoim pociechom nie tylko krzykami, ale również mocnym ciągnięciem liny i popychaniem za pupę przy dopingu rozbawionej publiczności przyczyniając się bardziej niż zawodnicy do zdobycia nagród, którymi obdarowano szczerze wszystkich startujących.

Imprezie towarzyszyła wystawa fotograficzna o tematyce wspinaczkowej (m.in. swe zdjęcia przysłał Piotr Korczak). Trzyosobowe jury w składzie: Andrzej Paczkowski - prezes PZA oraz R. Tomasiak - architekt i J. Zdanowski - artysta plastyk przyznało nagrody G. Głazkowi i P. Haciskiemu.

Oto wyniki zawodów:

Mężczyźni:

1. L. Mileczarek
2. P. Haciski
3. Sz. Głogowski
4. K. Żukowski
5. A. Zawadzki
6. P. Musiał
7. M. Stachowski
8. A. Wieteszka
9. A. Gładysz
10. M. Nowak

Kobiety:

1. J. Wolf
2. M. Polanowska



Fot. M. Żmihorska - Tomasiak

3. L. Kroupa
4. D. Hendlar

Organizatorzy dziękują wszystkim sponsorom oraz uczestnikom i mają nadzieję, że zawody wspinaczkowe o Puchar Prezydenta Warszawy wejdą na stałe do kalendarza imprez sportowych PZA.

## KOMPOZYTORZY DRÓG

W czerwcu 1992 miał miejsce pierwszy międzynarodowy kurs dla kompozytorów dróg na sztucznych obiektach wspinaczkowych. Kurs odbył się w Denver w stanie Colorado, a jego kierownikiem był Hanspeter Sigrist, dyrektor działu szkoleniowego CICE (Comite International Des Competitions D'Escalade).

Celem kursu było przygotowanie kadr zdolnych do przygotowywania dróg kwalifikacyjnych i finałowych na zawodach rangi międzynarodowej. Warunki przyjęcia na kurs były bardzo wygórowane. Kandydaci musieli zdać egzaminy pisemne ze znajomości przepisów UIAA i wykazać się umiejętnością pokonywania dróg o najwyższych trudnościach. Jest to zrozumiałe, gdyż chodzi o przygotowywanie dróg dla najlepszych wspinaczy sportowych na świecie. Od kandydatów na kurs wymagano pokonywania dróg o trudnościach 5.12b w stylu on-sight oraz dróg 5.12d w stylu redpoint, ale po przygotowaniach trwających nie dłużej jak 10 minut.

Spośród 7 kandydatów na kurs 3 nie sprostało wymaganiom wstępnym, natomiast zwycięsko wyszła z tej próby czwórka Amerykanów: Mike Pont i Christian Griffith z Colorado oraz Tony Yaniro i Steve Schneider z Kalifornii.

W programie kursu znalazły się takie przedmioty jak: wyznaczanie przebiegu drogi, wybór formacji i trudności w zależności od rangi zawodów i płci zawodników, rozmieszczanie punktów asekuracyjnych, wyszukiwanie układow choreograficznych oraz zapewnienie widowiskowości wspinaczki dla zgromadzonej publiczności.

Absolwenci kursu otrzymali specjalne dyplomy oraz pamiątkowe medale, jednak ostatecznym kryterium przydatności do tego zawodu będzie przygotowanie drogi na zawodach rangi międzynarodowej. Jako ciekawostkę można podać, że dyplomowany kompozytor UIAA (ang. fore-runner, fr. coursesetter) pobiera za swoje usługi honorarium w wysokości ok. 2.500 dolarów. W.S.

Władimir Kisielow  
Aleksander Klimczuk

## Aktualności jaskiniowe z terenu byłego ZSRR Odkrycia roku 1992

łumaczył Rafał Kardaś

### Rosja

W północnym Kaukazie, w masywie Zagiedan, kontynuacja eksploracji Jaskini Rostowskiej (długość 3 km, głębokość - 450 m) przyniosła grotolazom z Rostowa i Moskwy odkrycie 1 km nowych korytarzy, w tym ciągu z dużym podziemnym potokiem. Członkowie innego moskiewskiego klubu pogłębili cztery jaskinie uzyskując wyniki od -100 m do -190 m.

Na plateau południowym masywu Fiszt (Kaukaz północno-zachodni) speleolodzy z Petersburga dołączyli do systemu Pariaszczaja Ptica nową jaskinię (na głębokości ok. -300 m). Zwiększyło to deniwelację o 35 m i w rezultacie ten najgłębszy system Rosji ma aktualnie ok. -570 m. Działająca na plateau północna ekipa moskiewsko-angielsko-słowacka odkryła dwie nowe jaskinie. W M-80 dotarto do -240 m nie kończąc eksploracji, a w Anglo-Russkoj poznano 1200 m korytarzy, na głębokości -100 m zamkniętych syfonem. Poznano też nowe, obiecujące galerie w Jaskini Turist (-400 m).

W położonej w masywie Alek (zachodni Kaukaz, rejon Soezi) Jaskini Zabłudszych po raz drugi pokonany został końcowy 20-metrowy syfon (pierwsze nurkowanie w 1991 r.), za którym skartowano 310 m korytarzy prowadzących do syfonu II. Głębokość systemu Ruczejna-Zabłudszych wzrosła o 8 m - do -518 m, co jest najlepszym rezultatem w tym masywie.

Odkrycia odnotowano również w południowym Uralu (Baszkiria). Do Jaskini Kapowej (3200 m, deniwelacja 105 m: -33, +72) dołączono kolejne 100 m ciągów syfonalnych, w wyniku nurkowań w syfonach: I (wypływ, długość 70 m, głębokość -33 m) oraz VI (175 m, -13 m). Ten ostatni nie został jeszcze zbadany do końca.

W dolinie Leny (wschodnia Syberia) grotolazi z Irkucka dodali kolejne 9 km korytarzy do Jaskini Botoskiej (15 km).

### Ukraina

W krymskiej jaskini Alioszena Woda (na Dołgorukowskiej Jajle) dwójka nurków (W. Kisielow i W. Komarow) skartowała 1200 m korytarzy za syfonem IV (80 m, -17 m). Zbadali także syfon V (100 m, -12 m). Trzykilometrowa jaskinia jest drugą co do długości na Krymie, za 14-kilometrową Krasną (Kyzyl-Koba) i ma 300 m syfonów.

W gipsowym krasie Podola przekopano się do nowego podziemnego labiryntu w jaskini Sławka. Dokonali tego młodzi grotolazi z Kijowa w listopadzie 1992 r. Po zimowej wyprawie (grudzień-styczeń) długość skartowanych korytarzy osiągnęła już ok. 6 km.

Jaskinia znajduje się w tym samym masywie, co udo-  
stępniona do zwiedzania Krystalna.

### Gruzja

Działająca w masywie Arabika ekipa francusko-rosyjska badała jaskinię S-78 (w pobliżu liczącej 970 m głębokości J. Moskiewskiej). Znalezione nowe odgałęzienie na głębokości -65 m, które wyeksplorowano do -492 m. Ma ono na razie długość 1200 m. W najwyższej położonej jaskini tego masywu - rozpoczynającej się na ok. 2650 m n.p.m. Eldorado, z powodu skończenia się lin nie powiódł się atak na ok. 150-metrową studnię. Osiągnięto głębokość ok. -300 m, nie kończąc eksploracji.

W masywie Bzybiskim grotolazi ze Lwowa i Francuzi potwierdzili 410-metrową głębokość studni zaczynającej się na -90 m w jaskini Abac.

Przedłużona o dalsze 700 m korytarzy za dwoma syfonami została Jaskinia Chabiu (masyw Nowoafon-  
ski). Ma ona obecnie ponad 12 km i 3 zbadane syfony.

W dolinie Gumisty, przed rozpoczęciem walk abchasko-gruzińskich, francuski nurek Patrick Maniez zdążył przedłużyć o kolejne 50 m znane partie syfonu w wywierzyisku Szubara (obecnie 250 m, -38 m).

### Uzbekistan

Grotolazi z Jekatierinburga (Świerdłowska) kontynuowali eksplorację znanej jaskini Boj-Bulok (Pamiro-  
Alaj, Gissarskiej Chriebiet, Czul-Bair). W Starym Ciągu, prowadzącym z -630 m do -150 m, a następnie opadającym do -330 m, został pokonany wznoszący się Rosyjski Tunel. Zbadano także wąski syfon w Angielskiej Galerii. W Nowym Ciągu główne odkrycia miały miejsce w dolnej części. Na -560 m znaleziono zawaliskową salę, z której wychodzą dwie wznoszące się galerie: sucha i z wodą. W górnej części Nowego Ciągu zakończono wspinaczkę w kominie, którego ślepy koniec okazał się być na poziomie powierzchni. Osiągnięto w ten sposób najwyższy punkt systemu: +257 m, dzięki czemu deniwelacja wzrosła do 1415 m (-1158 m), co dało 6-tą pozycję w świecie. Aktualna długość jaskini wynosi 14 270 m.

### Tadżykistan

Wyprawa ukraińska kontynuowała eksplorację najwyższej położonej na obszarach byłego ZSRR pamińskiej Jaskini Rangulskiej (otwór na 4600 m n.p.m.). Po wspinaczkę w kominie do poziomu +30 m deniwelacja jej wzrosła do 270 m. Skartowano 300 m nowych korytarzy. Ciekawostką jest odkrycie starych napisów na ścianie galerii.

## Wieści z jaskiń

### Już trzy polskie „10”!

Po ostatnich odkryciach już trzy jaskinie tatrzańskie przekraczają długością 10 km. Do dotychczasowej rekordzistki: Wysokiej (10050 m w 1988 r.), dołączyła najpierw Miętusia, która po eksploracji AKG w marcu 1992 r. osiągnęła 10010 m, a następnie Wielka Śnieżna. W tej ostatniej fantastyczne odkrycia wrocławiaków w Galerii Krokodyla w lutym 1993 r. dały długość co najmniej 10500 m!

### Podziemne wspinanie

Przejsięcie wspinaczkowe otrzymała ostatnio Jaskinia pod Wątą. Krzysztof Rociński i Stefan Stefański (Speleoklub Warszawski) pokonując całą deniwelację - czyli 165 m (-151, +14) przez studnię Sześciedziątkę, napotkali trudności IV. A 1. Całość przejścia zajęła 16 godzin w dniach 29-30 grudnia 1992 r. (czas efektywnej wspinaczki 12 godzin). (rk)

### W najgłębszej jaskini świata

Po 13 latach od I przejścia całej ówczesnie dostępnej głębokości (-1358 m) Polacy ponownie stali się zdobywcami Jean Bernard (Alpy Sabaudzkie), teraz już głębszej w wyniku kolejnych połączeń. Z 1602 m deniwelacji bez nurkowania pokonać można -1466 m do I syfonu (tzn. nieco mniej niż w płytzych jaskiniach Pantiuchina i Lamprechtsofen). Osiągnięcie to stało się udziałem 9 (na ogółem 10) uczestników wyprawy zorganizowanej przez Fundację Wspierania Sportu Wyczynowego i Speleoklub Warszawski w styczniu i lutym br. Przejście odbywało się w 2-3-osobowych zespołach po przeprowadzeniu akcji, w czasie których poznano i oporęczowano jaskinię. Nie zrealizowano niestety szeroko rozreklamowanego głównego celu wyjazdu: wyjścia wspinaczkowego od syfonu do najwyższego otworu. Kierownikiem wyjazdu był Tomasz K. Pryjma.

### Hilloch zmienia dzierżawcę

Ogólnie wiadomo, że we Francji, w Anglii czy Niemczech wiele skałek i całych rejonów skałkowych znaj-

duje się w rękach prywatnych, co zdarza się też u nas w Polsce. Ale mało kto wie, iż prywatną własność stanowi również tak unikalny twór przyrody, jak jaskinia Hilloch w Muotathal w Szwajcarii - jeden z najdłuższych systemów jaskiniowych Europy (ok. 150 km pomierzonych korytarzy). Przynotowane partie były od końca XIX w. prezentowane wycieczkom i dla nich zagospodarowane. Od r. 1954 oprowadzaniem grup trudniła się rodzina Suterów, właściciele restauracji „Hilgrotte”. W r. 1990 Bruno Suter zwinął interes z powodu jego nieopłacalności. Jaskinię zamknięto. Grupa miłośników speleologii wraz z gminą Muotathal próbowała obiekt wykupić, ale właścicielka postawiła zbyt wygórowane warunki. Wiosną 1993 r. jaskinię wydzierżawiła agencja turystyczna z Solothurn i w czerwcu została ona ponownie otwarta. Latem prowadzone są jednogodzinne wycieczki z przewodnikami, zimą, kiedy nie grożą raptowne przybory wód, trasa wycieczkowa będzie liczyła kilka godzin. Nowi gospodarze zaczęli od reklamy „Piekielnej Dziury”, co ma im zapewnić opłacalną frekwencję.

### Verena Bolinder (Ronco s.A.)

### Jaskinia Fruwającego Tygrysa

Le Speleo-Club de Paris, który we wrześniu 1992 r. przeprowadził rekonesans w masywach krasowych Chin, organizuje w sierpniu 1993 r. wyprawę „Xiangxi 93” - z zamiarem przeprowadzenia badań w kilku jaskiniach prowincji Hunan. W okolicy Dayong Francuzi chcieliby odszukać połączenie obu na razie oddzielnych jaskiń systemu Jiangjungdong, które na tym samym poziomie wwiercają się z dwóch stron w masyw górski. W pobliskim Kongdongschan cel stanowią wzgórza wapienne, znane z przeszło setki głębokich czeluści krasowych. W rejonie Longshan grotolazi zajmą się Jaskinią Fruwającego Tygrysa (Feihu Dong), w której skartowano do tej pory 35 km korytarzy, podziemia „puszczają” jednak nadal we wszystkich kierunkach. Kataster jaskiniowy tej okolicy obejmuje aktualnie 2200 obiektów! W programie wyprawy jest też wizyta w Wudao Shui, gdzie znajduje się piękna i obfitująca w problemy 7-otworowa jaskinia z przepływem podziemnym wielkiej rzeki. Ośmioosobowym zespołem kieruje Bruno Delpart.

(jn)

## Marcin Gala

# Speleomistrzostwa '93

W dniach 11-13 czerwca odbyły się w Wojcieszowie koło Jeleniej Góry IV otwarte Speleomistrzostwa Polski, już po raz drugi zorganizowane przez Fundację Wspierania Sportu Wyczynowego (a po raz czwarty przez wielkiego entuzjastę imprezy - prezesa fundacji - Tomasza Pryjmę). Oba etapy - eliminacje i finał - rozgrywano w kamieniołomie na Górze Połom. Do udziału zgłosiło się 12 zawodników. Zespołowi sędziowskiemu przewodniczył Krzysztof Makowski.

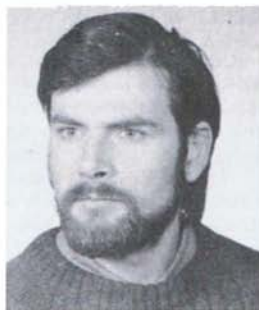
Eliminacje polegały na jak najszybszym zaporęczowaniu i odporęczowaniu osiemnastometrowej ściany. Mało kto nie popełnił żadnego błędu technicznego. Do finału, rozgrywanego następnego dnia zakwalifikowało się 5 osób. Trasa, złożona z krótkiej jaskini z zaciskiem, drogi

wspinaczkowej o trudnościach V+, ukośnej tyrolki i czterdziestometrowego pionowego odcinka linowego, wyglądała imponująco.

Tytuł mistrzowski zdołał obronić Andrzej Jarek (Harcerski Klub Taternictwa Jaskiniowego Brzeszcze), drugie miejsce zajął Tomasz Gajda (Speleoklub Bielsko-Biała). Aż czterech zawodników zostało zdyskwalifikowanych (z tego trzech w finale!).

Wśród imprez towarzyszących szczególnie interesująca była relacja grotolazów wrocławskich z eksploracji w Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Mimo, że zawody w tej dziedzinie sportu dla wielu są kontrowersyjne, to impreza cieszyła się dużą popularnością jako spotkanie towarzyskie. Następne speleomistrzostwa za rok...

# „LINY ALPINISTYCZNE WEDŁUG LWOWA”



Dobrze się dzieje, gdy na rynek księgarski trafia nowa książka poświęcona aspektom alpinizmu i bezpieczeństwa górskiego. Nasze środowisko wciąż jest spragnione fachowej literatury, reprezentującej najnowszą wiedzę. Za sytuację idealną należałoby uznać po wielu latach „suszy” pojawienie się publikacji, które odzwierciedlałyby nie tylko kompetencje autorów - doświadczonych alpinistów ale też wykładnię ustaloną przez Komisję Szkoleniową PZA. I oto trafia do moich rąk książka Aleksandra Lwowa pt. „Liny alpinistyczne”. [ ]

Tytuł książki jest mylący. Autor nie ograniczył jej do tematu samych lin - do ich klasyfikacji, omówienia budowy, wytrzymałości oraz metod testowania. To tylko połowa materiału. Pozostała część książki poświęcona jest omówieniu wszystkiego, co zdaniem autora jest istotne przy korzystaniu z liny w górach, a więc zasadom asekuracji, węzłom, przyrządom asekuracyjnym i zjazdowym oraz innym elementom systemu asekuracyjnego, a szczególnie - karabinkom. [ ]

Książka ta, jak we wstępie wyznaje autor, rodziła się w bólach wydawniczych przez pięć lat. Autor jednak twierdzi, że przez ten czas w zasadzie niewiele się zmieniło. Nie podzielam takiego zdania. Twierdzenie takie może być prawdziwe, gdy się je odniesie do samej kwestii konstrukcji i właściwości lin. [ ]

Nie zgodzę się jednak z takim potraktowaniem całego materiału zawartego w książce przynajmniej dlatego, że akurat w ciągu tych pięciu lat zespół ludzi zaangażowanych w szkolenie pod auspicjami PZA dopracował się precyzyjnego programu nauczania i naprawdę nowej, jednolitej, konkretnej wykładni zasad bezpiecznego posługiwania się sprzętem asekuracyjnym oraz - co ważne - skutecznie to upowszechnił. [ ]

Książka zawiera sporo ciekawych informacji, głównie w rozdziałach, do których materiał zaczerpnięty został z pracy magisterskiej autora oraz pozostających z nimi w najbliższym związku tematycznym. Szczególnie zaintrygowała mnie prostota, z jaką autor rozprawił się z pytaniem „dlaczego siła hamowania wzrasta wraz z kątem opasania liny na karabinku skoro siła tarcia nie zależy od powierzchni” - str. 55-58. Myślę, że lektura tego rozdziału może ogromnie pomóc każdemu instruktorowi - dostarczy prawidłowej i jasnej odpowiedzi na jedno z „głupich pytań” dociekliwego kursanta. Bardzo pożyteczny dla „młodych”, jak myślę, może okazać się rozdział omawiający test wiszenia w uprząży. Za rzecz cenną uważam także wprowadzenie polskich nazw elementów konstrukcyjnych karabinka. Nie dociekając czy nazewnictwo to zostało zaczerpnięte z jakiejś polskiej normy branżowej, czy też pochodzi wprost od autora książki, proponuję przyjęcie jej za dobrą monetę, gdyż rzeczywiście uzupełnia jedną budzącą

lukę słowno-pojęciową w naszym „profesjonalnym” żargonie.

Dalsza część mojej wypowiedzi utrzymana będzie jednak w tonie zdecydowanie krytycznym. Książka w postaci takiej, jaką zafundował nam jej ostateczny wydawca budzi wiele bardzo poważnych zastrzeżeń. Pretensję muszę ulokować we wszystkich trzech aspektach oceny książki: edytorskim, redakcyjnym i - niestety - merytorycznym.

Błędem edytorskim nie chcę poświęcać zbyt wiele miejsca. Przypomnę tylko nieprawidłowe wydrukowanie niektórych rysunków, np. obrócone o 90 stopni na str. 19 i 20 lub lustrzane na str. 80 (co czyni je mało albo i całkiem nieczytelnymi), opuszczenie na rysunkach ze stron 17-19 znaku „/” (co czyni z kodu „/1/” bezsensowną liczbę „11”) oraz potępię zaprezentowaną pismością cząstki „nie” z imiesłowami (s.121) i przymiotnikami (s.119) oraz okrutną odmianę liczebników (np.s.16).

Do poważnych usterek redaktorskich, za które całkowitą odpowiedzialnością obciążam autora zaliczę przede wszystkim brak jakiejkolwiek bibliografii. O co chodzi?

Otóż „gonimy Europę”. Nawet w „Betelemce” ostatnio przestaliśmy sikać na deskę. Warto więc pamiętać, iż w całym cywilizowanym świecie od prawie stu lat jest przyjęte, że jeśli w pracy o charakterze naukowym cytują się fragmenty cudzych publikacji, to należy podać ich źródło. Szczególnie ostro zasady tej przestrzega się w odniesieniu do rysunków, fotografii i tabel, w przypadku których trzeba wręcz prosić właściciela praw autorskich o zgodę. A Lwow w przedmowie, na str.6 wyraźnie deklaruje intencję, by jego książka była „(...) podręcznikiem dla początkujących i źródłem wiedzy dla wszystkich zainteresowanych linami w ogóle (...)” i rzeczywiście trudno zakwalifikować ją do innego gatunku niż podręcznik czy popularna publikacja naukowa. A to już zobowiązuje. [ ]

W książce Lwowa wręcz roi się o rysunków obcego pochodzenia, dobrze znanych osobom czytającym nie tyle w literaturze fachowej - stricte, co w zeszytach EDEL-RIDA i archiwalnych „Tatarnikach” (w których nota bene źródło cytatu jest zawsze podawane!). Myślę, że to faux pas nie wynikało ze złej woli autora lecz z pozostawania w innym „kręgu kulturowym”. Niemniej jednak nie rozumiem co skłoniło autora do pominięcia informacji o źródle niektórych danych nawet tam, gdzie się o nie aż prosi. Autor nigdzie nie oddziela wyraźnie informacji zaczerpniętej z folderów wydawanych przez producentów sprzętu od wyników własnych badań wykonanych na politechnice. A szkoda, bo akurat do danych pozyskanych przez Alka Lwowa miałbym znacznie więcej zaufania niż do wyników badań publikowanych przez producentów czy nawet niektóre organizacje alpinistyczne, bowiem akurat on wolny

jest od wszelkich układów koniunkturalnych i marketingowych. [ ]

Jeszcze raz podkreślam: nie polemizuję z tym, co pochodzi z pracy magisterskiej autora, inżyniera. Wdám się natomiast w krytykę wypowiedzi autora - alpinisty. A oto lista moich zastrzeżeń merytorycznych uszeregowana mniej więcej zgodnie z postępowaniem lektury książki:

1. Lina bliźniacza zasadniczo różni się od liny podwójnej. Różnica zasadza się jednak nie w tym, że lina bliźniacza składa się z dwóch kawałków a podwójna z jednego, złożonego na pół. Otóż liny te są testowane w zupełnie różny sposób: w „podwójnej” bada się jedną żyłę rzucając masę 55 kg, zaś „bliźniaczę” testuje się taką samą masą jak linę pojedynczą (80 kg), przy czym obciążane są równocześnie dwie żyły. Zatem - lina bliźniacza, gdyby użyć jej pojedynczo wykaże znacznie niższą wytrzymałość statyczną od tak samo użytej liny podwójnej. Z książki nie takiego jasno nie wynika. Natomiast zamieszczone opisy tych dwóch rodzajów lin są komplementarne i byłoby dobrze połączyć w jeden, generalnie odnoszący się do lin przewidzianych do użycia „dwużyłowego”.

Bez sensu jest uszeregowanie typów lin przedstawione w grafie na str.10 i przyjęte w następstwie uszeregowanie podrozdziałów - lina bliźniacza wymieniona jest na samym końcu, za repszurami i linami statycznymi, podczas gdy jej miejsce - jeśli tworzyć jakąś systematykę - jest dokładnie pomiędzy liną pojedynczą a podwójną.

2. W podrozdziale „Oznaczenie lin” brakuje informacji o oznakowaniu lin bliźniaczych. W tym samym miejscu pojawia się natomiast tajemniczy termin „maksymalny współczynnik odpadnięcia” - bez żadnego odnośnika. W dalszym tekście, w rozdziałach omawiających parametry lin i testy, próżno by szukać wyjaśnienia tego terminu explicite.

3. Wiązanie liny bliźniaczej do uprząży każdą żyłą osobno nie jest „innym możliwym w praktyce i dopuszczalnym sposobem” (str.20) lecz zasadniczym i najrozsądniejszym.

4. Podrozdziały omawiające parametry wydużeniowe liny (str. 22-24) są rozwlekłe i nieczytelne. A wystarczyło by autor wykorzystał swój własny artykuł opublikowany w „Taterniku” nr 1/87 - nie dodać, nie ująć.

5. Stwierdzenie, że lina nie powinna być „nadto grubą, bo klinuje się w przyrządach”, jest chyba niesmacznym żartem. Zawsze znajdziemy taką linę i taki przyrząd, które nie będą prawidłowo współpracować (szczególnie zimną) ale to przecież zupełnie inna - bardzo ważna - poniekąd - kwestia, której możnaby poświęcić cały rozdział. Tego tematu akurat autor nie rozwinął.

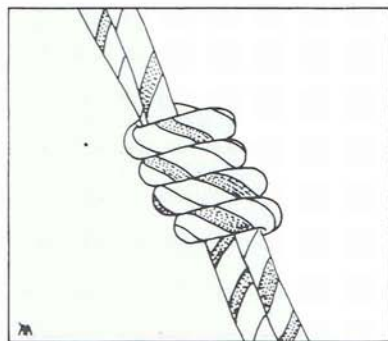
6. Siła graniczna „(...) w żadnym razie nie ma przekroczyć 1200 kG (str. 30). To nie tak. Siła graniczna nie może przekroczyć 1200 kG tylko przy upadku masy 80 kg, w przypadku liny pojedynczej lub bliźniaczej (prowadzonej podwójnie) i tylko przy współczynniku odpadnięcia  $f=1,78$ . Takie akurat warunki testowania wymyśliła sobie UIAA. Gdyby test został wykonany z użyciem większej masy lub przy wyższym współczynniku odpadnięcia siła graniczna będzie z zasady większa. Test faktycznie dotyczy przyspieszenia jakiemu poddane będzie ciało hamowane za pomocą badanej liny w sytuacji, gdy jest ona sztywno zamocowana i przewleczona przez ring w sposób zapewniający współczynnik odpadnięcia 1,78. To przyspieszenie nie ma prawa przekroczyć 15g ( $g=9,81 \text{ m/s}^2$ ) jeśli lina ma zostać uznana za nadającą się do asekuracji.

Rejestrowana siła jest zjawiskiem wtórnym - tyle, że łatwiej wyznaczalnym.

„Przedział czasu (...) nazywamy impulsem siły”. Wielkość fizyczna „impuls siły” nazywana jest obecnie „popędem” i w najprostszym przypadku wyznaczana jest ze wzoru  $p=F \cdot \Delta t [Ns]$ . Impuls jest więc funkcją czasu a nie przedziałem czasu ( $\Delta t$ ). Zresztą w ogóle nie wiadomo po co autor zabrnął w rozważania o „impulsie siły” - podrozdział nie kończy się bowiem żadną konkluzją.

8. Wbrew kategorycznym twierdzeniom na str. 34 i 37 - współczynnik odpadnięcia może, niestety, być większy od 2, a już na pewno  $f=2$  nie jest rzadkością. Przyjrzyjmy się asekuracji stosowanej w skałkach, w sytuacjach gdy przelotem jest ring czy mocny spit, zaś „gleba” relatywnie blisko. Czujny asekurujący jest w stanie w trakcie lotu partnera wybrać pewien odcinek liny celem skrócenia lotu - i gotowe! Przykład z życia: lot z 4m wprost nad stanowiska, bez przelotu, partner wybiera 1m, i mamy współczynnik 2,33.

9. Na str.40 znajduje się zdanie zaiste niegodne osoby z wykształceniem ścisłym. Cytuje je tu w całości nie bez głębszego powodu: „W trakcie badań skoczków spadochronowych stwierdzono, że ciało ludzkie jest w stanie przemieścić - bez istotnej szkody - przeciążenie równe piętnastokrotnej jego masie”. Niby wiadomo o co chodzi, ale czemu inżynier miesza ze sobą pojęcia masy, siły i przyspieszenia? Odpowiedź jest brutalna: otóż autorem tego zdanka wcale nie jest inżynier Lwow tylko geolog Tadek Solicki.



a jest ono żywcem wzięte (i przy tym niesłusznie przykrojone) z jego artykułu zamieszczonego w „Taterniku” nr.1/81. [ ]

10. Ulokowanie historii wypadku J. Harlina (pęknięcie poręczówki podczas jumarowania) akurat jako przykładu niszczącego wpływu przyrządów zaciskowych na linę, uważam za nietrafną i niefachową spekulację: rok 1966 to nie te liny, nie te przyrządy no i Eiger to nie Mnich. [ ]

11. „(...) stosowanie pasa Whillansa jest możliwe tylko w połączeniu z pasem pierśiowym (str.69). Otóż jest to zupełnie niemożliwe z powodu szczegółów konstrukcyjnych, co zresztą wyraźnie stwierdza sam producent, natomiast rysunek 51-5 na str.72 pokazuje nie pas Whillansa lecz uprząż typu „Libero”.

12. Węzły. Tu treść książki zaczyna być po prostu niebezpieczna. Od razu wyjaśniam, że wiadomości serwowane w tym zakresie okazały się dla mnie na tyle sensacyjne, że najpierw zgłupiałem, potem wystraszyłem, że wszystko robiłem dotąd na opak, aż wreszcie, podczas szkolenia w Betlejemce, poddałem je ostrej kolaudacji

w gronie instruktorów PZA. Podparłem się literaturą fachową: z jednej strony - publikacją nowoczesną, uznawaną dziś za najbardziej miarodajną, pt. „The Handbook of Climbing” - A. Fyfee & I. Peter 1990, z drugiej - historycznym już dziełem lorda Baden Powella „Scouting for boys” w tłumaczeniu Andrzeja Małkowskiego (Lwów 1911). To nie żart. Właśnie ta książka wielokrotnie wznawiana w okresie międzywojennym przesądziła o polskim nazewnictwie węzłów stosowanych w taternictwie i żeglarskim. Szybko odzyskałem wiarę w słuszność własnej wiedzy. Tak więc słów kilka o rekomendowanych przez Lwowa węzłach:

a) Prawidłowy węzeł tatrzański skrajny to właśnie wersja „B” z rys.54 - ta, o której autor twierdzi, że jest niezalecana. Skąd wytrzymały został ten rzekomo lepszy wzór „A”? Zamiast wdawać się w podobne dywagacje mógłby autor chociaż wspomnieć, że to właśnie na bazie węzła skrajnego tatrzańskiego można najłatwiej zaimprovizować niezawodną uprząż piersiową z szelkami.

b) Węzeł płaski to nie to samo co węzeł tkacki. Takie błędne uotożsamienie już raz się pojawiło - w „Taterniku” nr3/80. Nie znam źródła takiej pomyłki. Najbliższym „krewnym” węzła tkackiego jest... tatrzański skrajny. Cała rzecz jednak w tym, że ani płaski ani tkacki nie powinny być stosowane przez rozsądnego alpinistę (poza sznurwadłami i tasimkami od gaci). [ ]

c) Węzeł taśmowy nie jest „podstawowym sposobem (...) łączenia lin o różnej grubości” (str. 83 i rys. 67). Liny takie bezpiecznie daje się połączyć tylko za pomocą węzła rybackiego, ledwie wspomnianego w tekście. Węzeł taśmowy akurat zupełnie się do tego celu nie nadaje i takie połączenie będzie bardzo zawodne!.

d) Przedstawione na rys. 69 dwie odmiany „ósemki do łączenia lin”, z których jedna jest rzekomo lepsza, to dokładnie ten sam węzeł (sic!). Liny rzeczywiście można dwójako łączyć węzłem ósemkowym - i rys. 69 przedstawia jedną z tych metod. Druga - szczególnie godna polecenia do łączenia lin zjazdowych i zawiązywania pętli osobistych (do autoratownictwa) polega na takim założeniu lin, by wolne końce wychodziły równolegle obok siebie z jednej strony węzła. Jest to węzeł chyba najłatwiejszy do zawiązania.

e) „Węzeł blokujący” posiada prawdziwą polską nazwę: flagowy. Warto by było pokazać jak się go wiąże na karabinku, przy asekuracji z ósemki czy z płytki. Węzeł flagowy zawiązany w sposób pokazany na rys. 72 nie ma istotnego zastosowania w alpinizmie. Najczęściej jest elementem blokującym półwyblinkę.

f) Półwyblinka. Mamy tu do czynienia z ciężkim nieporozumieniem. W całej książce autor uporczywie forsuje nieprawidłowy sposób ułożenia półwyblinki na karabinku. Proszę zwrócić uwagę, że na wszystkich (!) rysunkach, od str. 20 począwszy lina wybiegająca wewnątrz karabinka ma tendencję do opierania się o zamek. Słuszności takiego modelu półwyblinki ma dowodzić rys. 74 na str. 88. Jest to bardzo pouczający przykład, tyle że ... na coś zupełnie innego. Otóż półwyblinka na rys. 74-1 założona jest prawidłowo ale na niewłaściwy karabinek. Rysunek ten świetnie ilustruje, dlaczego nie wolno używać półwyblinki na karabinku D - kształtnym, a właściwie - na jakimkolwiek innym, niż „gruszka”, czyli HMS. Niestety autorowi ten aspekt umknął, za to przebrnął on w swoim błędzie przez materiał na tyle uparcie, że nawet „poprawił” przekalkowany prawdopodobnie z „Taternika” 1/83 rysunek

S. Lassmanna (rys. 84 - tu oczywiście Lassmann incognito).

g) Węzeł zaciskowy. Nie wiem co miał autor na myśli pisząc, że węzeł Prusika „posiada wiele wad i jest niemal zupełnie wyparty (...)”. Znam natomiast jego dwie unikatowe zalety:

- można go łatwo zawiązać jedną ręką,
- działa jednakowo skutecznie w obu kierunkach.

Poza tym widzę, że jest skutecznie stosowany na Wschodzie i Zachodzie.

Jeśli idzie o autoasekurację podczas zjazdu, to jestem sceptycznie nastawiony do skuteczności wszelkich węzłów na karabinkach (rys. 75 - A, B, C) - za dużo tu elementów poślizgowych i jeszcze ta łapa ciągnąca karabinek, który musi zostać puszczonej wolno w chwili utraty kontroli nad zjazdem. To niezgodne z instynktem.

Rysunki 75-D i 75-E nie przedstawiają tego węzła, który w Polsce nosi nazwę „warkoczyk” (a szkoda bo jest to węzeł godny eksponowania - działa jak Shunt!). Szczególnie niepokoi mnie obrazek 75-E-a: uczono mnie takiego węzła, ale „do góry nogami”; nazywa się on wtedy stopem. Co gorsza, zwracam mi uwagę, że w pozycji odwrotnej (czyli takiej, jak na rys.) węzeł po prostu nie zadziała. Spróbowałem - nie działał.

h) Na rysunku 77 przedstawiony jest „flaszencug”, w którym elementem blokującym jest węzeł garda. Nie jest to rozwiązanie typowe - bezpieczniej zastosować węzeł bloker (nie omówiony w ogóle); gardy nie da się założyć na obciążonej linie, zaś bloker umożliwia łatwą zmianę systemu wyciągania z „flaszencuga” na „przeciwwagę”. Rzeźba ściany nieraz do tego zmusza.

13. Tabela 5 na str. 93 zawiera niewiadomego pochodzenia dane o wytrzymałości węzłów znacznie odbiegające od tego, co mogę znaleźć w materiałach prywatnych i należących do COS-PZA (np. dane kluczki czy zderzakowe go uważam za rażąco zawyżone). [ ]

14. W rozdziale o zasadach asekuracji autor reprezentuje „szkołę” Pita Schuberta, czyli postuluje asekurację wyłącznie „z haka”. Nie zamierzam tu rozwijać wielkiej polemiki. Zwracam tylko uwagę, że w świetle badań dynamicznych przeprowadzonych przez H. Mierzejewskiego do doktryny Schuberta warto podchodzić z rozsądną rezerwą. [ ]



15. Rysunek 85 i cała spekulacja na temat zależności współczynnika odpadnięcia od nachylenia zbocza (str.103) mają źródło w zagubieniu sensu definicji owego współczynnika odpadnięcia. Powtórzmy ją:

WO lub  $f=H/L$ , gdzie L jest długością pracującego odcinka liny, zaś H jest długością lotu w sensie grawitacyjnym, czyli liczoną w pionie (!) a nie długością jazdy po zboczach. Inna sprawa, że praktyczny wniosek co do zasady asekuracji na zboczach lodowych, pomimo bezsensownych założeń, został sformułowany prawidłowo. [ ]

16. Na stronie 110 zdanie „Nie zapominaj... o zabezpieczeniu węzła końca liny podczas zjazdu oraz o autoasekuracji...” zilustrowane jest dwoma obrazkami, zdaje się przekalkowanymi z katalogu Edelrida. To szept bezkrytyczności. Rys 94 pokazuje bowiem człowieka zjeżdżającego akurat bez autoasekuracji i do tego po linie z nieprawidłowo zawiązanym końcem. Dwa niezależne węzły na końcu każdej z żył niczego nie zabezpieczają i gwarantują, że bez trudu przeleca (kolejno!) przez ośmiemkę. Jedyne co metoda taka może przynieść, to zapomnienie o likwidacji węzła przy ściąganiu liny a w następstwie solidne kłopoty... Rys. 95 opatrzone właściwym komentarzem mógł-

by ilustrować jak nie należy trzymać lapy na węźle zaciśkowym, ale tu ma on pełnić zgoła inną rolę...[ ]

Reasumując ośmielam się stwierdzić iż źle się stało, że książka „Liny alpinistyczne” w takiej oto postaci trafiła na rynek księgarski. Myślę, że liczba usterek merytorycznych całkowicie dyskwalifikuje ją jako podręcznik dla taternickiej młodzieży. Mało tego - obawiam się powielania błędnych schematów i dużych, dodatkowych trudów w pracy instruktorskiej. Niełatwo będzie przekozać niejednego gorliwego kursanta, że akurat to czy tamto, czego sam wyuczył się z nowego „podręcznika” jest błędne. Zarznięta została okazja do wydania bardzo ciekawej i wartościowej publikacji. Szkoda, że autor nie zadał sobie fatygi przedstawienia tej książki do recenzji w PZA gdy była jeszcze w fazie rękopisu. Jeśli pisze się książkę z zamiarem, by stała się ona „podręcznikiem dla początkujących” (str.6), warto zadbać by jej treść nie wprowadzała zamieszania. Nie znalazłem w stopce wydawniczej informacji o wielkości nakładu. Mam nadzieję, że nie jest wielki. Zachęcam autora by rychło doprowadził do drugiej, poprawionej edycji.

(Pełny tekst recenzji w posiadaniu redakcji)

## Recenzja

Reinhold Messner

# „Siódmy stopień”

Przekład Iwona Hudowska, Wydawnictwo AT,

120 stron, ilustracje.

Wreszcie trafia do rąk polskiego czytelnika pierwsza z licznych książek „nadezłowieka gór” Reinholda Messnera. Radość niestety trwa krótko, bo poza atrakcyjną szatą graficzną książka niestety rozczarowuje. Po pierwsze ręka mistrza bardziej przywykła do małych chwytów niż do pióra nie potrafiła sprostać trudnościom jakich nastroża literatura. Książka w zamyśle autora, co wyraźnie sugeruje zarówno sam tytuł jak i wstęp, miała być poświęcona wspinaczkom o trudnościach siódmego stopnia. Tymczasem otrzymujemy zbiór luźno związanych ze sobą impresji górskich, z których tylko część dotyczy wielkich wspinaczek. Większość spostrzeżeń razi banałem i pretensjonalnością, a sam narrator często zbliża się do niebezpiecznej granicy samouwielbienia, którego z kolei jak się wydaje, za wszelką cenę pragnął on uniknąć. Rzecz jasna, tu i ówdzie można znaleźć smakowite kawałki (a nawet bardzo smakowite), ale toną one niestety w rzece paplaniny.

Po drugie, wiele do życzenia pozostawia przekład, czemu trudno się dziwić, skoro tłumaczenia dokonano z języka angielskiego, a nie z języka oryginału. Niemniej jednak nic nie usprawiedliwia dziwołogów i nieporadności językowych, których łatwo można było uniknąć. Przykładów jest wiele: jak np. solowiec czy pulpit Dulfera; przeszkadza brak konsekwencji w odmiennianiu nazwisk przez przypadki czy też śmieszka zdania w stylu: „Z szeroko rozstawionymi nogami posuwał się rysą przecinającą okap, klinując

głęboko ręce, podczas gdy nogi wisały mu w powietrzu”.

Po trzecie wreszcie irytują niedokładne podpisy pod niektórymi zdjęciami, jak np. południowa ściana Burel (str.35) ma naprawdę wystawę południowo-zachodnią, czy na zdjęciu opisanym jako północna ściana Les Droites (str.57), widać głównie ścianę wschodnią, a już szczytem niedbalstwa jest nazwanie południowej ściany Marmolady ścianą północną (str.87).

Wojciech Świącicki

## Krótka recenzja filmowa

Sylwester Stallone

# i film „Na Krawędzi”

Na ekranach polskich kin pojawił się osobliwy film „alpinistyczny” z Sylwestrem Stallone w roli głównej. Poza obserwacją przedziwnych zastosowań sprzętu alpinistycznego do czegoś, co bardziej przypomina tajemne techniki harcerzy stosowane do wchodzenia na drzewa niż alpinizm, dowiadujemy się, że można całkowicie wypaść z uprząży typu Troll z powodu pęknięcia sprzączki nie przenoszącej żadnych obciążeń (co na to producent?). Zupełnie nowe są też techniki ewakuacji ludzi śmigłowcem.

Recenzent „Gazety Wyborczej” napisał, że główną zletą Stallone jest prezencja, lecz jako aktor powinien jak najmniej mówić. Ja bym tą myśl rozwinął. Stallone, który w filmach Rocky i Rambo udowodnił, że nie umie się bić, obecnie udowodnił, że nie umie się wspiąć (gramoli się bardziej niezdamie niż najbłabsi kursanci). Stallone najlepiej wygląda na plakacie.

Jenocześnie pobito rekord złych tłumaczeń („clifhunger” przetłumaczono jako „alpinista”!). Poprzedni należał do słowackiego filmu „Belaša Veža” (Modra Turnia), którego tytuł przetłumaczono jako „Błaszana Wieża”.

Krzysztof Łoziński

<http://pza.org.pl>

## O Janie Strzeleckim - taterniku i humaniście - wspomnienie

Ten wielki mężczyzna o dłoniach drwala i łagodnym uśmiechu przed blisko pół wiekiem związał życie i myśli wielu młodych Polaków z celami społecznymi i wartościami humanistycznymi, na które bez niego może by nie natrafili. I ja należałem do nich. Przez dobrych kilka lat Jan Strzelecki, socjolog, przywódca Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, był także moim górskim partnerem. O tym - garść wspomnień i refleksji.

Ku ścianom tatrzańskim startowaliśmy razem w drugiej połowie lat czterdziestych. Wspominam rzewnie ów bardzo dyletancki debiut z lataniem i błędzeniem we mgle na środkowym Mięguszu, a potem schodzenie ku Popradzkiemu, w cudowną noc, rozświetlaną bezgłośnymi błyskawicami. Doszło później parę niezłych nowych dróg i wariantów (Mały Lodowy, Zabi Mnich, Zadni Mnich) - także i projektów nie zrealizowanych: kiedy np. splukało nas dwukrotnie z Małego Młynarza (to Wawrzyniec Żulawski zachęcał nas do wyprostowania drogi) i kiedy wściekli po nieprowadzeniu, na mokro zrobiliśmy na hakach ostatnią - według ówczesnych kryteriów - nietkniętą połać Żabiego Mnicha...

Inne wspomnienie: kiedy Janek z Ryszardem Matuszewskim, znanym krytykiem literackim i jego żoną utknęli po trzech gradobiciach wysoko w ścianie Granatów, a my, z Karolem Jakubowskim, nocowaliśmy u wylotu komina Stanisławskiego, by towarzyszyć im o świcie w zejściu (kto pamięta jeszcze balladę na ten temat?). A potem, już bez mnie, owa nieco groteskowa wyprawa z Janem Kottem i Jerzym Kreczmarem na Baszty, wspinaczka rozciągnięta w trzydniową odyseję. Sto innych anegdot, przegód, opowieści. Także i ten epizod tragiczny: wtedy, na Ostrym, gdy usłyszeliśmy krzyk ginącej na Dzikiej Turni słowackiej taterniczki, poznanej poprzedniego dnia...

Ale nie o wyliczanie dróg, przejść, partnerów Jana Strzeleckiego idzie. Ani o jego działalność instruktorską czy wiceprezesowanie w Klubie, Ani Spitsbergen, Mount Whitney czy Igły Chamonix... Niech o tym piszą bardziej kompetentni. Idzie o przypomnienie człowieka, który swym osobistym przykładem proponował szczególnie rodzaj wtajemniczenia w Góry. Bez miary aptekarskiej, ale i nie roztopiony w uczuciowości. Nie demonizujący sukcesu sportowego, ale też nie lekceważący górnych pięt skał trudności tatrzańskich.

I nigdy nie gardzący tymi, tam, w dole. Może to nawet ważniejsze?

By rozumieć Jana Strzeleckiego, uczonego i myśliciela, socjalistę i taternika, nie należy chyba także sięgać do broszurki Juliana Marchlewskiego „O Tatrach”, napisanej (zgodnie z powołaniem internacjonalisty) dla niemieckich robotników. Ten późniejszy uczestnik rewolucji z 1917 roku, zachęcał przyszłych jej uczestników do pójścia w Tatry. Także dla ich piękna, ale głównie po to, aby dojrzyli w nich laboratorium przyrody wciąż odtworzające zmienność świata - tę wieczną nadzieję rewolucjonisty. Również po to, by nabrali sił przed „ostatnim bojem”.

Jan Strzelecki nie szukał uzasadnień naiwnych (choć wzniosłych). Wiedział, że nie mieszczą się w nich moty-

wy, które jednostce każą wysilać się do ostatka; których nie tłumaczy żaden byt kolektywny, żaden interes klasowy czy internacjonalistyczny światopogląd. Nie patrzył też Jan Strzelecki na Tatry jak na sanktuarium oszalałych botaników czy raj geomorfologów. Ani jak na pochyłe boisko wyczynowców czy też „remontownię ciała i duszy” (tak to nazywał Stanisław Ossowski, Jankowy nauczyciel i przyjaciel).

Jan rozumiał góry jako obszar zaludniony przyjaciółmi, po to, by we wspinaczkę stawali się partnerami i by w tym partnerstwie szło o coś więcej, aniżeli pokonywanie skał. Namawiał do takich przyjaźni i takiego partnerstwa. Jednakowo nie widział sensu w kulcie przyrody bez sympatii dla człowieka, jak i w sportowej odmianie tego, co pewien amerykański socjolog nazwał „fraternity without brotherhood” - bractwa bez braterstwa.

Wspinał się mocno, rozważnie, sprawnie. Kładł ogromne dłonie na ogromnych kamieniach. Sprawdzał pewność jednych i drugich, także w imię bezpieczeństwa tych, których wiodł na linie. Nie miał żadnego poczucia wywyższenia ponad. W jednej z powieści Luisa Trenkera, pisanej między wojnami, ubogi przewodnik tyrolski swą satysfakcję, swój odwet nad „sytym burżujem” czy nad „motlochcem” upatruje w tym, że może patrzeć na nich z góry - i gardzić nimi. Jan był od tego najdalszy. Kiedy pod koniec wspinaczki siadał gdzieś wysoko na półce pod szczytem, patrzył jednakowo ciepło i życzliwie na góry pod wysokim niebem jak i na odległe doliny Spisza czy Podhala. Mówił wtedy po prostu: „Ładne to...”. A było w tym i uznanie dla uroków gór, i aprobata dla świata, który wyznaczył Mu tę rolę: przywilej wspinania się „naj-honorniejszą percią, tą, której nie ma wcale”. I była w tym także podzięką, a może i odrobina zażenowania, że Los obdarzył Go siłą, sprawnością, edukacją, niezłą sytuacją życiową. Szansą innym nie dostępną.

Nie ubierał tego w słowa. Liryczna dydaktyka była mu obca. Lina była liną, nie symbolem więzi. Uwalniał naszą wizję zdobywania gór z wątpliwej dialektyki ducha i ciała, tak nęcej intelektualistów z jednej a atletów z drugiej strony. Może dlatego, że nie tutaj szukał swego pola bitwy. Znajdował je wszędzie tam, gdzie ufną troska o ludzi i suwerenna myśl mogły sprząć się w jedno. Zginął tragicznie, z dala od gór, gdy owa ufnosć Go zawiodła.

Kiedys, na samym początku, na Durnym Szczycie znaleźliśmy jeszcze przedwojenną puszkę Klubu Czecho-słowackich Turystów, a w niej stare bilety wizytowe (wśród nich i mego ojca, z 1938 roku). Siedzieliśmy długo i odczytywaliśmy nazwiska i losy. Ale to ja napisałem o tym nowelę, nie Jan. Może tylko z Jego ówczesnego upartego, jakże znaczącego milczenia coś weszło do „Prób świadectwa” - tego wspaniałego dokumentu myśli i doświadczeń wojennych pokoleń.

Wierzę, że już wnet przeczytamy - obok pism filozoficznych i społecznych Janka - także Jego pisma górskie. Pozwolą lepiej zrozumieć, dlaczego siła i mądrość Jana Strzeleckiego wpisuje się trwałe - obok skarbcza humanistycznej polskiej - także w naszą tatrzańską epopeję.

## „Wartości dodatkowe”

Tak się ostatnio paskudnie składa, że mijające lata przywykliśmy określać mianem złych. Owszem bywały kiedyś i dobre, ale zdają się one ginąć w pomroce dziejów. Nie chodzi tutaj tylko o głośnie czy czasami nawet spektakularne sukcesy sportowe - bo to jest tylko jedna strona medalu, ale o ilość ofiar, które uprawianie wspinaczki corocznie pochłania.

Wszyscy wiemy, że sport górski do bezpiecznych nie należy. Mogliśmy się o tym nie raz przekonać żegnając na zawsze bliskich przyjaciół i dalszych znajomych. Odeszli od nas wielcy gwiazdorzy gór, zdumiewający swoimi dokonaniami na najwyższym poziomie. Ten rodzaj śmierci górskiej można jeszcze od biedy zrozumieć. Każdy wyczyn ze swej natury jest i będzie

do tego dojsć. Tylko starzy gidowie znają prawdziwą odpowiedź i powtarzają swoim wchodzącym do zawodu wnukom: strzeż się chłopcze rutyny. Tak, rutyna to podstępna dama, która potrafi przyćmić ostrość widzenia nawet prawdziwym tytanom...

Najbardziej posępną kategorię dramatów górskich stanowią wypadki z udziałem kursantów. Przyjeżdżają oni w góry na wakacje po słońce, radość i przygodę, a ich rodzice, co zrozumiale, z niepokojem oczekują na zakończenie turnusu. Tymczasem część instruktorów zdaje się zapominać, że otrzymali zapłatę nie tylko za swój cenny czas i kosztowny sprzęt, ale co najważniejsze, także za bezpieczeństwo podległego im zespołu. To prawda, że szkolenie wspinaczkowe bez cienia ryzyka jest zupełnie niemożliwe, ale po cóż je powiększać poprzez dość dziecinne ambicje i am-

# Komuś bije dzwon

niebezpieczny, a w alpinizmie, co by o tym nie mówić, jedną z miar wyczynu jest wielkość podejmowanego ryzyka. I to jest w zasadzie poza dyskusją. Wiedzą o tym dobrze wielcy mistrzowie, którzy z pewnością są świadomi wszystkich możliwych konsekwencji ryzykownej gry, włącznie z tą ostatnią i ostateczną zarazem.

O głośnych nazwiskach sportu pisze się najwięcej i jest to zrozumiałe, a nawet oczekiwany przejaw sławy. Żywi czy martwi przechodzą do legendy... Ale w górach giną też inni, mało znani, niemal bezimienni taternicy. Nierzadko w sytuacjach prostych, banalnych, najzwyklejszych. Ich śmierć przechodzi często niezauważona, choć jest równie bolesna, a z pewnością jest jeszcze bardziej niepotrzebna.

Powie ktoś, że pojęcie wyczynu jest sprawą relatywną. Dla jednego będzie to zdobycie nocą i bez tlenu dziewięcioletniej ściany K2, a dla drugiego niedzielna wspinaczka na Kościelecu. Tak, to prawda, są duże i małe zwycięstwa, ale wypada przypomnieć, że grających na małym boisku obowiązują te same zasady, co i na dużym. W końcu grawitacja jest pojęciem uniwersalnym.

Prawdą jest także, że przeciętni wspinacze (bez urazy) często podejmują swoje przeciętne wspinaczki bez odpowiedniej refleksji: często nie najlepiej przygotowani, często w nie najlepszym towarzystwie, a jeszcze częściej bez należytego respektu. A potem wystarcza już chwila nieuwagi czy odrobina najzwyklejszego pecha...

Życie pisze też i inne scenariusze, wzięte żywcem z porzekadła o wróblu, co dał się wzięć na plewy. Mistrzom zdarza się popełniać błędy godne kursantów w pierwszych dniach szkolenia, a potem wszyscy zachodzą w głowę, jak mogło

bicyki panów instruktorów. W końcu prawdziwy profesjonalizm musi być wolny od emocji tego rodzaju, a najwyższą wartością jest dobro klineta.

Stosunkowo bezpieczną do niedawna areną były skałki, bouldery oraz sztuczne ściany. Ale i tam wydarzają się ostatnio poważne wypadki, co każe wątpić w istnienie jakiegokolwiek całkowicie bezpiecznej formy uprawiania wspinaczki. Powodów jest wiele: poczynając od masowości po weekendową czy czasami wręcz nawet happeningową atmosferę. I to musi skłonić do refleksji, że ciężenie ziemskie nie jest naukową fikcją. W gruncie rzeczy wystarczy spaść zaledwie parę metrów, żeby stać się kaleką do końca życia. A tak na marginesie, cóż stoi na przeszkodzie, by udzielić kilku koleżeńskich rad mniej fraszobliwym przedstawicielom naszego gatunku.

Zdawać by się mogło, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest nie wychodzić z domu. A jeśli już wyjdziemy, to jak mawia mój przyjaciel, czeka nas zgroza na filarze Croza. Pewnie to i racja, ale chyba nie mamy innego wyjścia, jak zrobić to, co lubimy. W przeciwnym wypadku zabije nas nuda, co jest zakończeniem dość pospolitym i niehonorowym między nami mówiąc. Pozostaje więc jeździć w nasze góry, odwiedzać nasze skałki i pocić się obficie na sztucznych ściankach. Rzecz w tym aby robić to, co się robi w sposób przemyślany i kompetentny, niezależnie od klasy urwiska, które się spiętrza przed nami. W końcu nie ma żadnego powodu aby na skutek jakiegoś fałszywego kroku oddać walkowerem następny sezon. Wszyscy przecież chcemy jeszcze raz przeżyć przygodę, której możemy nie przeżyć.

*Dziekan*

# Co nowego w Tatrach?

## Zawody Narciarskie PZA

Tegoroczne zawody narciarskie PZA po raz pierwszy były rozegrane w dwóch konkurencjach:

1.05.93 SKI-ALPINIZM na trasie: start schronisko Pięć Stawów Polskich - Dol. Pusta - Prz. Schodki - Zawrat - meta: Schronisko Pięć Stawów Polskich.

2.05.93 - ZJAZD TERENOWY - start: Gładka Prz. - meta: Wielki Staw.

Zawody odbywały się za zgodą TPN.

Pierwszego dnia wzięło udział 18 zawodniczek i zawodników. Drugiego dnia wystartowały 32 osoby. Pogoda cały czas była wspaniała, atmosfera zawodów koleżeńską. Wszyscy, którzy brali udział w zawodach chociaż 1 dzień otrzymywali upominki. Zwycięzcy w kombinacji 2-dniowej otrzymali puchary, ponadto szczególnie wyróżniono zawodników spoza Zakopanego.

Impreza została sfinansowana przez: Urząd Miasta Zakopanego kwotą 3 mln zł, PZA - 2 mln zł, KW Zakopane - 0.5 mln zł. Ponadto nagrody rzeczowe przekazali sponsorzy: Sklep „Alpin Sport” Zakopane, Sklep „Foto-Agfa” Jan Krzysztof Zakopane, „India Market” oraz Wojciech Wajda z Zakopanego.

Stroną organizacyjną zajęli się KW Zakopane. Podczas zawodów i przy ogłoszeniu wyników podkreślano, że współorganizatorem i współfinansującym jest Zarząd PZA. Nagrody dla „Old-Boya” od Z. Skoczylasa nie przyznano, bo nie było nikogo startującego w wieku powyżej 55 lat.

Były to 32 zawody narciarskie taterników rozgrywane w konkurencji zjazdu terenowego i 1 zawody w kombinacji dwudniowej. Organizacją całości zawodów zajmowali się: A. Osika i K. Suchocka.

*Maciej Pawlikowski*

## Wyniki

### Kobiety

1. Zofia Bachleda KW Zakopane
2. Bożena Wajda KW Zakopane
3. Joanna Pikul KW Wrocław
4. Małgorzata Gładkowska KW Warszawa
5. Krystyna Suchocka KW Zakopane
6. Kinga Ostrowska
7. Gaja Romaszkan
8. Elżbieta Pawlikowska KW Zakopane

### Mężczyźni

1. Jan Tybor TOPR
2. Maciej Cukier TOPR
3. Piotr Konopka KW Zakopane
4. Jacek Bilski KW Zakopane
5. Tomasz Czarski KW Warszawa
6. Witold Skrocki KW Zakopane

7. Aleksander Niżnikiewicz KW Opole
8. Józef Sarna
9. Kristian Ignas KW Rzeszów
10. Gunther Fuchs Francja

## Wyniki - II dzień

### Kobiety

1. Zofia Bachleda KW Zakopane
2. Gaja Romaszkan
3. Bożena Wajda KW Zakopane
4. Joanna Pikul KW Wrocław
5. Maria Krzeptowska
6. Krystyna Suchocka KW Zakopane
7. Małgorzata Gładkowska KW Warszawa

### Mężczyźni

1. Bogumił Paluszek TOPR
  2. Józef Krzeptowski TOPR
  3. Kazimierz Burzykowski KW Zakopane
  4. Jacek Berbeka KW Zakopane
  5. Jan Tybor TOPR
  6. Maciej Cukier TOPR
  7. Lesław Riemen KW Zakopane
  8. Piotr Konopka KW Zakopane
  9. Witold Skrocki KW Zakopane
  10. Jacek Bilski KW Zakopane
  11. Adam Wyspiański KW Kraków
  12. Krystian Ignas KW Rzeszów
  13. Tomasz Czarski KW Warszawa
  14. Emil Mikulski KW Wrocław
  15. Jacek Kluz KW Kraków
  16. Piotr Staniorowski KW Wrocław
- Sędzią głównym zawodów był nasz kolega, sędzia PZN - Kazimierz Trzebnia.

## Plakietki TOPR

W ostatnich latach umieszczono szereg nitów z plakietkami w typowo ratowniczych miejscach. Są to:

- wierzchołek Mnicha
- trawers z Bańdziocha przez „Maszynkę do mięsa” nad czolówką MSW
- trawers od szlaku do Bańdziocha nad „Ściankę problemową na drodze Lapińskiego-Paszuchy
- trawers z Wielkiego Czarnostawiańskiego Kotła do Kotła Kazalnicy i dalej nad drogę Czoka-Kielkowskiego
- stanowisko nad ostatnimi trudnościami filara Kazalnicy

Apelujemy! Dbajmy o te punkty asekuracyjne. Mają one służyć ratowaniu życia i zdrowia potrzebujących.

*Władysław Cywiński*  
TOPR Zakopane

## IAMES

W sanatorium „Helios” w Szczyrbskim Jeziorze odbyło się 23 stycznia 1993 r. walne zgromadzenie związku alpinistów słowackich, JAMES. Zebranie - podobnie jak nasze na Cyrhli - przebiegło w spokojnej i roboczej atmosferze, a tym, co je wyróżniało szczególnie, była niska frekwencja: ze 108 klubów zrzeszonych w Związku, delegatów przysłało zaledwie 68. Na szczęście dopisali goście, z Arnem Puskasem i Zoltanem Demianem na czele. Był też obecny naczelnik HS TANAP, Juraj Bobula. Temat wiodący stanowiły - jakżeby inaczej - pieniądze: skąd je wziąć i jak te skromne posiadane sumki rozdysponować. Domagano się zwiększenia środków na szkolenie, skalkulowano postuluwali budowę sztucznych ścian. Stwierdzano ogólny zanik aktywności organizacyjnej i sportowej - w r. 1992 Słowacja nie zdobyła się na ani jedną wyprawę. „Starsi zawodnicy wyginęli - komentuje Igor Koller - a spośród tych paru młodszych, zdolnych do gonięcia po górach, jakoś nikt dotąd nie dojrzał do przejęcia pałeczki. Nawiasem dodajmy, iż w Czechach sytuacja wcale nie jest lepsza...” Postanowiono włączyć się szerszej do prac UIAA, której pełnoprawnym członkiem IAMES stał się z dniem 1 stycznia. Prezesem pozostał Marian Sajnoha, w skład Zarządu weszli nadto: J. Gantner, I. Koller, V. Linek, M. Marek, R. Macho i F. Piacek. Organem Związku jest nadal kwartalnik „Iamesak”, którym kieruje Peter Hargas.

(jn)

## Walne zebranie TOPR

8 maja 1993r. obradowało w Zakopanem Walne Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Dzisiejszy TOPR powstał w końcu 1991r., nawiązując w swojej działalności do TOPR Mariusza Zaruskiego. Przejął całość działań ratowniczych na terenie Polskich Tatr Wysokich, w rejonie pasma Gubałowskiego i Bukowiny. Działa w miejsce dawnej Grupy Tatrzańskiej GOPR i jest Stowarzyszeniem w pełni niezależnym, finansowanym częściowo z budżetu państwa. Do TOPR zgłosili swój akces praktycznie wszyscy czynni ratownicy dawnej GT TOPR, zarówno ratownicy zawodowi jak i ochotnicy. Obecnie TOPR zrzesza ok. 220 ratowników. O tym, że pracy ma TOPR dużo, świadczy to, że w ostatnim półtoro roku interweniowało w ponad 2150 wypadkach, było 452 ciężkie wyprawy, zniszczone z gór 16 zabitych, taterników, turystów i narciarzy, a ciężkich wypadków dołączono się blisko 500.

Zebranie wybrało nowe władze TOPR na 2-letnią kadencję. Prezesem Zarządu został Wojciech Krok (ponownie), wiceprezesem Władysław Cywiński (ponownie), a w skład Zarządu weszli Rafał Mikiewicz, Mieczysław Kołodziejczyk, Maciej Pawlikowski, Piotr Konopka i Jan Krzysztof. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej jest Adam Krawczyk a jej członkami Władysław Wisz i Adam Marasek.

Zarząd powołał naczelnika TOPR na 2-letnią kadencję. Został nim lekarz TOPR, ratownik z ponad 30-letnim stażem, lekarz kilku wypraw himalajskich - Robert Janik. Jego zastępcą jest Jan Krzysztof.

TOPR ma, od niedawna, własny śmigłowiec typu „Sokol” i kończy tworzenie nowoczesnej sieci radiowej. Ale, podobnie jak inne tego typu organizacje, cierpi na katastrofalny brak pieniędzy. I te właśnie sprawy - jak zdobyć pieniądze na działalność ratowniczą? - zdominowały zakończone obrady.

Przy okazji: zmienił się numer telefonu alarmowego TOPR z 34-44 na 634-44.

Andrzej Skłodowski



Chałka na Włosienicy

Fot. A. Klos

## Obóz unifikacyjny w Dolinie Kieźmarskiej

W dniach od 7 do 21 marca odbył się w schronisku nad Zielonym Stawem Kieźmarskim obóz unifikacyjny PZA. Wzięli w nim udział Maciej Borowski, Janusz Hałas, Krzysztof Gnutek, Robert Furezyk (KW Bielsko-Biała), Jacek Czech (KW Gliwice), Sławomir Jabłoński (KW Szczecin), Emil Mikulski i Piotr Staniorowski (KW Wrocław). Kadre instruktorską tworzyli: Maciej Pawlikowski (kierownik), Andrzej Dutkiewicz i Mieczysław Ziach.

Do 15 marca wspinano się w bardzo dobrych warunkach śnieżnych i pogodowych. Od 16 marca do 20 marca cały czas padał śnieg i wiał wiatr. Praktycznie tylko najbliższe otoczenie schroniska było bezpieczne. Próby wyjść w tym okresie kończyły się kontuzjami i przygodami w lawinach.

W pierwszych siedmiu dniach trwania obozu jego uczestnicy przeszli szereg interesujących dróg wspinaczkowych. Ogółem przebyto ich 17, nie licząc 5 wyjść na lodospady. Najciekawsze przejsia to:

- K. Gnutek, J. Hałas, M. Borowski - 09-10.03 Złoty Kopiniak, superdiutissima, WHP 3399, VI, A2-A4, 20 godzin.

- J. Czech, M. Pawlikowski - 09.03. Kołowy Szczyt, dr Diesków, WHP 3560, VI, 3 godziny.

- J. Czech, S. Jabłoński - 13.03. Mały Kieźmarski Szczyt, pn. ścianą WHP 3397+WHP 3412 (Kominem Stanisławskiego + wyjście na szczyt drogi Szczępańskich), V+, 7 1/2 godziny.

- K. Gnutek, J. Hałas - 13.03. Kozia Turnia, przez Koziego Mnicha, diutissima, VI, A1, 3 godziny.

- M. Borowski, A. Dutkiewicz, M. Pawlikowski - 14.03. Durny Szczyt, prawym filarem wsch. ściany, WHP 3059, V, 6 godzin.

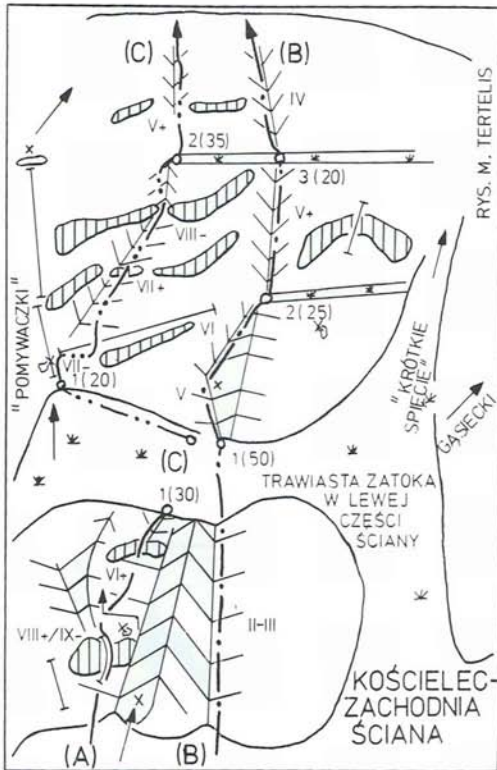
- J. Hałas, R. Furezyk - 15.03. Kołowy Szczyt wsch. ścianą, drogą Diesków, VI, 3 godziny.

- A. Dutkiewicz, M. Pawlikowski - 15.03. Złota Baza, „wielkimi zacięciami” WHP 3390, V+, A1, 9 godzin.

Zdaniem kierownika imprezy, obóz spełnił swoje zadania sportowe i integracyjne. Spośród jego uczestników można wyłonić grupę, która będzie mogła być promowana w dalszych imprezach związkowych.

AK

## Nowe drogi w Tatrach



### Kościelec

#### Lewym skrajem zachodniej ściany.

A. Nowa droga: Maciej Tertelis i Wojciech Wenta, 2 VIII 1992. Nazwa: „W poszukiwaniu straconego czasu”. Trudności VIII+/IX- (RK). Powtórzenie: Piotr Dawidowicz i Wojciech Słowakiewicz, sierpień 1992 (RP).

B. Nowa droga: Maciej Tertelis i Wojciech Wenta, sierpień 1991. Nazwa: „Tańczący z blokami”. Trudności VI. Kilka powtórzeń

Pierwsze przejście solo (z asekuracją): Wojciech Wenta, sierpień 1992.

C. Nowa droga: Maciej Tertelis i Wojciech Wenta, 19 VII 1992. Nazwa: „Czas odnaleziony”. Trudności: VII- (AF).

Brak czysto klasycznego przejścia.

Sprzęt (ABC): standard.

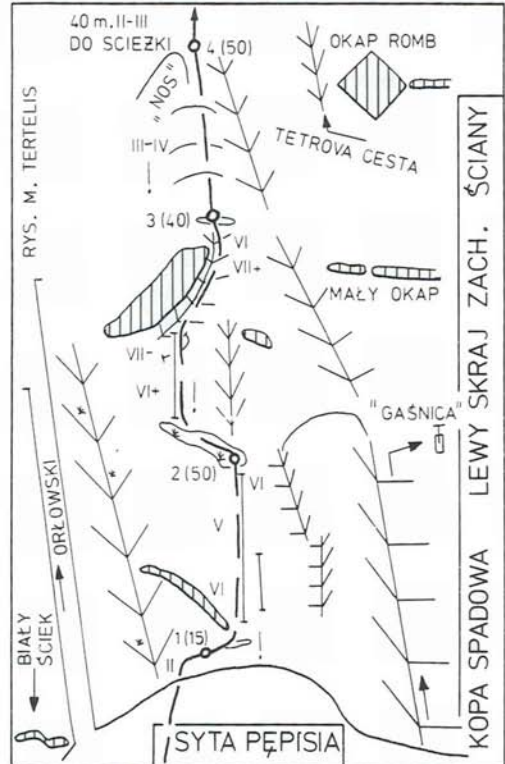
### Kopa Spadowa

Nowa droga lewym skrajem ściany czołowej zachodniego filara:

Robert Stepisiewicz i Maciej Tertelis, 13 VIII 1990.

Nazwa: „Syta Pępisia”. Trudności: VII+ (OS). Czas przejścia: 6 godz. Sprzęt: standard.

Droga wiedzie lewym filarem ograniczającym zacięcie Kunickiego. Miała tylko jedno powtórzenie (Aleksandra Tomkowicz i Monika Niedbalska) w 1991 roku, kiedy to wycofano się spod głównych trudności. Droga jest niebezpieczna z powodu kruszyny.



## AMC®

Przedsiębiorstwo Handlowo-Produkcyjne S.C.  
Andrzeja Ciszewskiego  
i Janusza Śmiałka

*jako wyłączny przedstawiciel  
renomowanych firm PETZL  
i CHARLET-MOSER  
oferuje sprzęt alpinistyczny  
i speleologiczny  
najwyższej jakości.*

31-422 Kraków, ul. Strzelców 7/11  
tel: 12 42 53 fax: 22 06 68

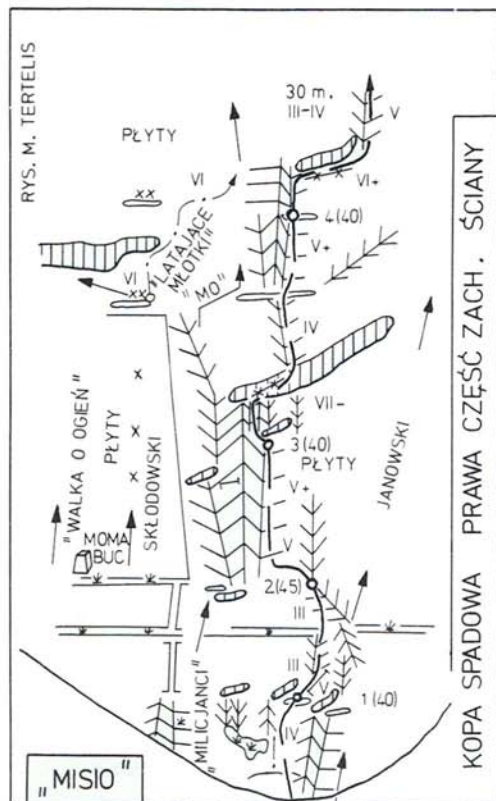
# Szkoła wspinaczkowa

Danuty i Zbigniewa Wachów

zaprasza na kursy  
wspinaczki skalnej

od kwietnia do końca października

Rzędkowice 164, 42-365 Włodowice



## Kopa Spadowa.

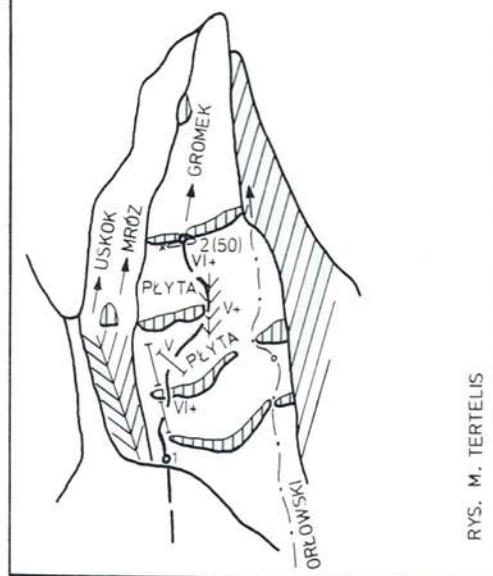
Prawą częścią ściany czołowej zachodniego filara:

Andrzej Piątkowski i Maciej Tertelis, 24 VIII 1989.  
Nazwa: „Misio”. Trudności: VII- (V+.A1). Czas pierwszego przejścia: 7 godz. Czas powtórzeń: 3-4 godz. Sprzęt: standard.

Stałe haki na dwóch kluczowych wyciągach. Droga biegnie pomiędzy prawą drogą Michnowskiego (Milicjanci), a drogą Jankowskiego. Pierwsze dwa wyciągi są stosunkowo kruche, natomiast powyżej teren jest lity.

Pierwsze przejście czysto klasycznie: Aleksandra Tomkowicz i Wojciech Dronka, sierpień 1989 (VII-).

ZADNI MNICH  
NOWY WARIANT PROSTUJĄCY  
DROGĘ GROMKA



## Zadni Mnich:

Płyty lewego skraju pn.-wsch. ściany. Nowy wariant prostujący u dołu drogę Gromka:

Dorota Kuty, Robert Stepisiewicz, Maciej Tertelis, 6 VII 1990. Trudności: VI+. Czas pierwszego przejścia oraz powtórzeń: 1 godz. Sprzęt: standard.



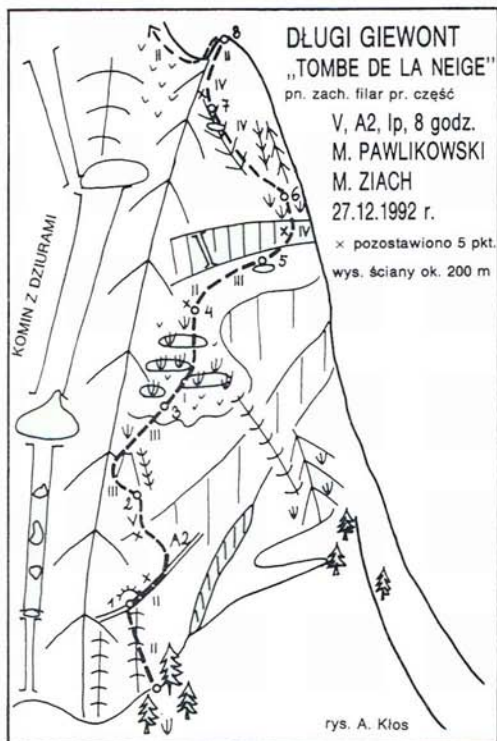
Duży wybór sprzętu górskiego  
dla turystów i wspinaczy poleca

**Alpin Sport**  
w Zakopanem

w swoich sklepach:

ul. Kościuszki 1A tel.: (165) 63 887

ul. Piłsudskiego 4 tel.: (165) 14 423



### Długi Giewont

pr. cz. ściany czołowej pn.-zach. filara „Tombe de la neige” V, A2; 8 godz.

Maciej Pawlikowski i Mieczysław Ziach; 27.12.92.

Droga rozpoczyna się kilkadziesiąt metrów poniżej na lewo od grzbietu Styżnika (grzbiet rozdzielający Małą Dolinkę od Wielkiej Równi), a kilkanaście metrów na prawo od Komina z Dziurami. Wysokość ściany do kulminacji (stan. 8) ok. 200m. Po kilkunastu metrach (stan. 11) droga łączy się z Wielkim Zacięciem i dalej wspólnie do kulminacji Długiego Giewontu z innymi drogami jeszcze około 200 m trudności I-II. Robiliśmy drogę (w padającym śniegu od godz.11.00) w dobrych warunkach, w ścianie zostawiając 5 do 6 haków śladowych. Czas I przejścia 8 godzin. Powrót w opadzie i głębokim śniegu późnym wieczorem.

Maciej Pawlikowski



### Skoruszowa Turnia

-wsch.śc. środ. cz. „W samo południe”, IV+, A2; 7 godz.

Andrzej Lejczak i Maciej Pawlikowski; 7.08.92.

Skoruszowa Turnia znajduje się między Małym Młynarzem a Aniołami. Posiada dwa wierzchołki i efektywną choć niewysoką ścianę opadającą (120 m) do Białej Wody. Jest to prawdopodobnie pierwsza droga na tej ścianie, dotąd niedostrzeganej w cieniu Małego Młynarza. W ścianie zostawiliśmy 6 pkt. asekuracyjnych (w większości jedyńki nie do wybicia). Odcinek hakowy A2 bardzo ryzykowny. Podczas wspinaczki dwukrotnie podejmowaliśmy próby wtrawersowania na prawo, jednak lita skała nie pozwoliła na to: kłopoty z asekuracją.

Maciej Pawlikowski

## Kuluar Kurtyki 52 razy

Ostatniej zimy w rejonie Morskiego Oka, które jest nadal naszym podstawowym boiskiem, pokonano około 200 dróg. W tym, aż 52 razy, celem był prowadzący na Mnichowy Taras Kuluar Kurtyki.

Intensywność działań wspinaczkowych jest w tym rejonie od kilku lat ilościowo ustabilizowana. Rośnie natomiast procentowy udział przejść tego najsłynniejszego w rejonie Morskiego Oka kuluaru. Droga jest piękna, a co najważniejsze - można ją pokonać nawet podczas najgorszego załamania pogody. Wtedy kiedy o Kazalnicy czy Mięgoszu można tylko pomarzyć.

Paradoksem jest, że nasz największy i najwszechstronniejszy alpinista, himalaista i skałkowiec, przechodzi do historii nie jako zdobywca Dhaulagiri, Changabang czy Świetlistej Ściany - tylko dzięki 100 metrowemu lodospadowi nad Morskim Okiem. Co dziwniejsze autorem pierwszego przejścia tego kuluaru jest Dżak Rusiecki a nie Wojciech Kurtyka. Siła tradycji! Ta sama siła nakazuje taternikom określanie jako celu wspinaczki przez ten kuluar Pleców Mnichowych, podczas gdy spada on naprawdę z Mnichowego Tarasu.

Czas przejść kuluaru tej zimy kształtował się od 10 minut (Arek Gąsienica Józkowy, Wojciech Mateja) do 12 godzin. Jeden z nielicznych w tym sezonie wypadków taternickich miał miejsce właśnie tutaj.

Władysław Cywiński

# Komunikaty Komisji Szkolenia

W związku z licznymi pytaniami zarówno ze strony instruktorów jak kursantów na temat programu i czasu trwania letniego kursu tatrzańskigo Komisja Szkolenia PZA wyjaśnia co następuje:

Zasadniczym celem kursu I stopnia zwanego potocznie letnim kursem tatrzańskim jest przygotowanie kursantów do samodzielnego i bezpiecznego poruszania się i wspinania w górach pozbawionych pokrywy śnieżnej. Oznacza to konieczność udoskonalenia umiejętności kursantów wyniesionych z kursu skałkowego w zakresie techniki wspinania, techniki asekuracji, techniki zjazdu na linie i prusikowania oraz nauczenie nowych umiejętności takich jak: autoratownictwo, taktyka, terenoznawstwo, topografia, pierwsza pomoc i podstawy techniki sztucznych ułatwień.

W programie praktycznej części kursu muszą znaleźć się następujące punkty:

- wspinaczki po drogach wiodącymi różnymi formacjami skalnymi o trudnościach od II do V stopnia,
- samodzielna pomoc i improwizowany transport rannego,
- autoratownictwo siłami własnymi zespołu,
- odwrót zjazdami z poznanej wcześniej drogi wspinaczkowej,
- wspinaczka z zastosowaniem tzw. techniki hakowej,
- wspinaczka w innej dolinie niż miejsce pobytu kursu.

Pełny program kursu musi zawierać także baterię wykładów na tematy techniczne, a także wykłady na temat pierwszej pomocy, taktyki, topografii, terenoznawstwa, biwakowania, etyki, ekologii, oraz podstaw wspinaczki zimowej.

Pełna realizacja programu nie może trwać krócej niż 14 dni, w których zawiera się co najmniej 10 dni spędzonych na zajęciach praktycznych w terenie oraz co najmniej 3 dni kondycyjne tj. 1 dzień kondycyjny po 3 kolejnych dniach zajęć terenowych. Zaleca się także, aby dzienna dawka wspinania nie przekraczała 5 godzin przewodnikowych.

Obowiązkiem instruktora lub firmy którą on reprezentuje jest wyposażenie kursantów w odpowiedni i sprawny pod względem technicznym sprzęt wspinaczkowy (liny, kaski, uprząże, karabinki, haki, kostki, pętle, młotki, przyrządy zjazdowe etc) oraz materiały topograficzne (przewodniki, mapy, graniówki etc).

Kursant musi posiadać ważną kartę zdrowia sportowca oraz ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków na czas trwania szkolenia (lub legitymację klubową z opłaconymi składkami) oraz jeśli nie ma ukończonych 18 lat, zezwolenie na udział w kursie podpisane przez rodziców lub prawnych opiekunów.

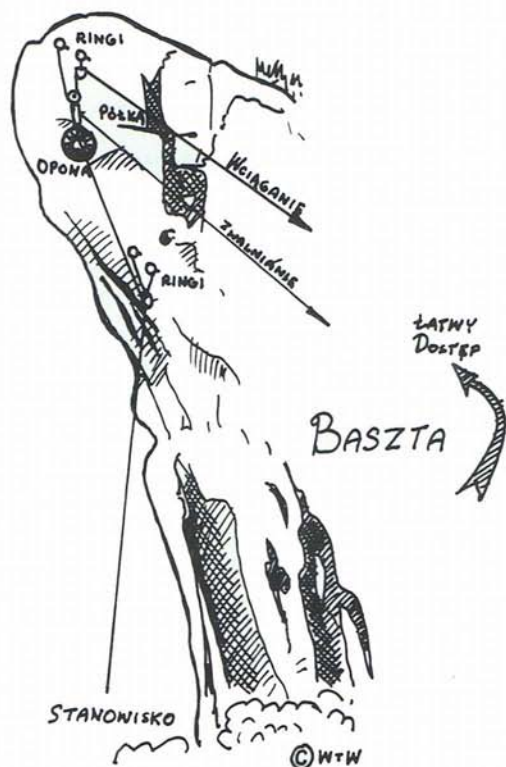
## Nauka asekuracji

Jak wiadomo, wyuczenie odpowiednich odruchów przy wylapywaniu odpadnięcia nie jest wcale prostą sprawą. Dlatego dla potrzeb kursów skałkowych, organizowanych w rejonie Podlesic i Rzędkowic Komisja Szkoleniowa PZA przygotowała specjalne stanowisko do ćwiczenia asekuracji. Na skałce Baszta w pobliżu Rzędkowic osadzono 4 ringi, z których 2 górze służą do wyciągania opony imitującej spadającego wspinacza, a dwa dolne połączone taśmą służą za punkt przelotowy. Z dotychczasowych doświadczeń na tym obiekcie wynika, że ćwiczenie jest pouczające i bezpieczne, a wyciąganie ciężaru do góry mało kłopotliwe.

Niezbędny sprzęt: lina asekuracyjna, lina do wyciągania, bloczek, zwalniak konstrukcji instruktora Janusza Baranka, kilka karabinków zakręcanych, opona lub inny ciężar ważący ok. 40-45 kg oraz kawałek sznurka do wygradzenia terenu.

**Uwaga:** Ćwiczący musi być w uprząży (autoasekuracja z oczka pod blokiem skalnym) oraz mieć na głowie kask. Najlepiej jak ćwiczą dwie grupy, jeden instruktor obsługuje zwalniak, a drugi komenderuje ekipą podciągającą ciężar.

*Komisja Szkoleniowa PZA*



## Wypadki taternicze zima 1992/1993

Z ratowniczego punktu widzenia zima była wyjątkowo spokojna. Zarówno wypadków turystycznych, narciarskich jak i taterniczych było dużo poniżej średniej wieloletniej. W Tatrach Polskich miały miejsce dwa wypadki taterników, przy czym tylko jeden z nich odbył się w terenie wspinaczkowym.

12-go grudnia 1992 po przejściu „Zetki” na Cubrynie dwuosobowy zespół schodził przez Galerie i Mnichowy Zleb. W górnej części Zlebu ruszyła lawina. Porwany przez nią Janusz Księski spadł ok. 300 m doznając poważnych kontuzji. Partner miał więcej szczęścia i zatrzymał się po kilkudziesięciu metrach nie doznając żadnych urazów.

16-go lutego 1993. W Kuluarze Rusieckiego wprowadzającym na Mnichowy Taras prowadzącym na drugim wyciągu Sławomir Lalak z Gliwic odpadł i po blisko 70-metrowym locie zatrzymał się na śniegu pod ścianą. Długi lot był wynikiem braku jakiegokolwiek punktu przelotowego na ponad 30-metrowym odcinku drugiego wyciągu. W akcji ratunkowej testowany był, z korzystnym rezultatem, śmigłowiec „Sokół”. Śl. Lalak doznał ciężkiej kontuzji głowy. Z dwóch skrajnych wersji: lina i zła asekuracja lub żywiec zdecydowanie opowiada się za tą drugą. Do tej pory nie są znane personalia drugiego taternika. Analogia do znanych wypadków Kupczyka i Szczuki - zupełna.

19-go marca ok. godz. 11-tej (!) wyruszyła ze Zbójnickiej Chaty w Dol. Staroleśnej 6-osobowa grupa turystyczno-taternicka z doświadczonymi wygami Zofią Klauznicer i Piotrem Misiurewiczem na czele. Olbrzymie ilości śniegu, gwałtowne ocieplenie i halny nie wróżyły najlepiej. Znany ratownik IHS Palo Rajtar odradzał podejście do jakiegokolwiek wycieczek. Los nie dał się długo kusić. Na stoku pod Skrajną Nowoleśną Turnią duża lawina zgąsła całą szóstkę. Na miejscu zginęli: Zofia Klauznicer, Jerzy Robiecki i Jerzy Murach. W ciężkim stanie do dziś znajduje się Piotr Misiurewicz. Pozostała dwójka miała więcej szczęścia. Wszyscy byli członkami Stołecznego Klubu Tatrzańskiego.

Władysław Cwiński

## Dramat na zachodniej ścianie Kościelca

W dniu 5 sierpnia 1993r. zginął tragicznie na Kościelcu Piotr Dawidowicz, młody, świetnie zapowiadający się wspinacz krakowskiej Korony, szerzej znany dzięki głośnym ukłasyfikacjom wariantu R i drogi Sadusia na wschodniej ścianie Mnicha.

Z protokołu Komisji Szkolenia i Bezpieczeństwa Górskiego:

.... zespół w składzie Piotr Dawidowicz i Krzysztof Zieliński wszedł około godziny 14-tej w drogę Wolfa (VI A1 lub AF VII+) wiodącą na prawo od drogi Kajki. Ostatni, czwarty wyciąg przeprowadził Piotr, a następnie po pokonaniu trudności technicznych drogi został opuszczony z ostatniego punktu przelotowego do stanowiska, aby po wyciągnięciu liny spróbować czystego przejścia klasycznego. Po około 15-tu minutach od poczynku Piotr ruszył do ponownego przejścia ostatniego

wyciągu. Pokonał ok. 12 metrów terenu przepinając się przez 4 lub 5 wcześniej osadzonych punktów przelotowych. Odpadnięcie nastąpiło na skutek wyważenia bloku skalnego o rozmiarach ok. 1.0x0.7x0.2m, który spadając przeciął linę w odległości kilku metrów od stanowiska.

Partner, Krzysztof Zieliński miał założone stanowisko ok. 3m na lewo od liny spadku bloku. Po wypadku oczekiwali na pomoc, ponieważ samodzielny odwrót ze ściany nie był możliwy z powodu uszkodzenia i skrócenia liny. Ewakuacji ze ściany dokonał ok. godz. 18-tej ratownik TOPR Jan Tybor z użyciem zestawu alpejskiego.

Do wspinaczki użyta była mało eksploatowana lina Edelweiss „Stratos”, której końcówka nosi znamiona przecięcia przez głaz skalny."

\*\*\*

Według opinii Komisji PZA wypadek miał charakter obiektywny, związany ze specyfiką wspinaczki w terenie górskim. Błędy zespołu polegające na braku kasków i zastosowaniu liny pojedynczej nie miały jak się wydaje w tym konkretnym przypadku wpływu na tragiczny przebieg wydarzeń.

W.Ś.

## Śmierć w szczelinie

Polscy alpinisci coraz to chętniej korzystają z dostępności Alp, zwłaszcza Wschodnich, niestety niestety po to, by z nich nie powrócić. I tak 15 marca 1993 r. dwaj dobrzy wspinacze z Bielska-Białej, Ryszard Kastelik i Maciej Trywałt (ten drugi bez doświadczenia alpejskiego), przeszli północną ścianą Königsspitze, po czym schodzili normalną drogą na stronę południową. Nie byli związani. Już niedaleko końca lodowca obaj wpadli do szczeliny - Trywałt dość szczęśliwie, gdyż zatrzymał się na głębokości 15 m na wewnętrznym mostku, Kastelik zaś tragicznie: do głębokości 70 m. Tylko dzięki temu, że ich zejście było obserwowane ze schroniska Cassati mogła niezwłocznie ruszyć akcja ratunkowa. Poturbowanego Trywałta wydobycie po paru godzinach, natomiast zwłoki Kastelika dopiero na drugi dzień. Błąd wspinaczy polegał na zaniechaniu asekuracji, ale także na tym, że nie zbrali wiadomości o drodze powrotnej, którą przecinają dwie wybitne szczeliny (znane mi osobiście z kilku pobytów w tym rejonie), niestety, zimą często zamaskowane śniegiem. Podobne wypadki zdarzają się tam stosunkowo często.

## Pioruny w górach

Wypadki śmiertelne w wyniku wyładowań atmosferycznych nie należą w górach do rzadkości - z Tatr notujemy je niemal co roku, a kilka miało przebieg prawdziwie tragiczny (Giewont, Świnica). W zeszłym roku pod Manaslu zginął rażony piorunem wybitny alpinista tyrolski, Friedl Mutschlechner. Bardzo groźne są burze z wyładowaniami w Alpach, ostatnio nowe zagrożenia wywołują się w związku z rozwojem pilotażu górskiego (motolotnie, spadołoty). Ponieważ tematyka ta była dotąd traktowana raczej marginalnie, Club Alpin Français i francuskie Stowarzyszenie Elektryków i Elektroników postanowiły zwołać na dni 6 - 8 czerwca 1994r. światowy kongres „Foudre et Montane 94”. Impreza, która odbędzie się w Chamonix, jest ostatnio szeroko propagowana.

(jn)

W dniu 11 września 1993 r. w wypadku samochodowym w Warszawie poniósł śmierć nasz kolega klubowy i serdeczny przyjaciel

## KRZYSZTOF CIELECKI

Miał 58 lat i był alpinistą z dużym dorobkiem w wielu górach świata. Uczestniczył w licznych wyprawach, m. in. wypr. na Kunyang Chhish w r. 1971 i w zimowej wyprawie na Everest. W r. 1969 uczestniczył w pierwszym wejściu na najwyższy szczyt Pamiro-Altaju. Pík Skalisty (5621m). Od r. 1969 pełnił różne funkcje w zarządach Klubu Wysokogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu. Jego książka o podwójnej wyprawie na Everest w l. 1979-80 nie doczekała się wydania. Był człowiekiem niezwykłej wrażliwości i prawości, a w górach partnerem, na którym zawsze można było polegać.

Z Żoną i Synami łączymy się w ich bólu i żalu

Polski Związek Alpinizmu  
Klub Wysokogórski



Fot. A. Klos

## MANUEL ALBRIZIO FONTANA

Zmarł 6 marca 1993 roku w Limie wielki przyjaciel Polski i Polaków Manuel Albrizio Fontana. Od roku 1972 jego gościnny dom przy ul. Tupac Amaru w dzielnicy Lince był bazą polskich wypraw andyjskich. Manuel Albrizio Fontana otaczał opieką i udzielał pomocy zwłaszcza alpinistom, ale w jego domu przebywali również turyści i globtlotery. Wszyscy byli gościnnie witani. Manuel Albrizio Fontana posiadał liczne polskie medale i odznaczenia dotyczące sportu a w szczególności alpinizmu.

## Pierre Beghin 1951-1992

Jeszcze jeden z najlepszych alpinistów świata pozostał na zawsze w górach. Wycofując się z południowej ściany Annapurny poniósł śmierć Pierre Beghin (41), aktualny No.1 alpinizmu francuskiego.

Najpierw zdobył rozgłos w Alpach, realizując śmiało solówki na Dru, Filarze Walkera, Filarze Freney, a także pierwsze przejścia zimowe, np. drogi Bonattiego na Grandes Jorasses (25-29 grudnia 1976). W Karakorum (Uli Biaho w r. 1974) i w Himalajach (7600 m

na Manaslu 1977) nie wiodło mu się zrazu, chociaż w r. 1980 zdołał pokonać całość trudności na południowo-zachodnim filarze Dhaulagiri. W r. 1978 był epizod andyjski i przejście stylem alpejskim drogi Paragota (z r. 1966) na Huascarán Norte - częściowo ze złamanym obojczykiem. W r. 1981 poprowadził drogę trudną zachodnią ścianą Manaslu, a w 1983 w śmiałym ataku wszedł jako pierwszy samotnik i pierwszy Francuz na Kangchendzongę (ścianą południowo-zachodnią). Następnym rokiem przyniósł mu nowy sukces: było nim powtórzenie stylem alpejskim (częściowo przynajmniej) drogi japońskiej na Dhaulagiri. W latach 1986 i 1987 próbował wejść na Everest Kuluarem Hornbeina, osiągając pokąźną wysokość 8300 i 8500 m. W 1987 powtórzył północną ścianę Kumbhakamy (Jannu). W r. 1989 szerokim echem odbiło się jego w 3/4 solowe trawersowanie Makalu: południową ścianą (z nowym dużym wariantem) i zejściem wśród lawin przez Makalu La. Na szczycie był 6 października. Wszystkich wejść dokonywał bez maski tlenowej i z absolutnym minimum środków technicznych. Latem 1991 r. wpisał się na trwałe do historii K2, dokonując wraz z Christophem Proffitem wejścia przez granicę północno-zachodnią i przez północne ściany - kombinację dróg polskiej i japońskiej z 1982 roku. Szczyt osiągnęli o zmroku 15 sierpnia, a był to 5 ośmiotysięcznik Beghina. Piąty i ostatni ... O tej przygodzie szeroko opowiadał Profit na Festiwalu w Katowicach w r. 1992. Nowa droga na południowej ścianie Annapurny stylem alpejskim i „on sight” była wyzwaniem na skalę jeszcze poważniejszą. Zginął 11 października 1992 r. wskutek niezrozumiałego u praktyka tej miary błędu technicznego - użycia do zjazdu w kruchym terenie małego i wątpliwego frienda.

Pierre był inżynierem, pracował w Division Nivologie instytutu CEMAGREF w Grenoble, zajmując się naukowo mechaniką śniegu. Jako uzdolniony publicysta, poprzez tuziny artykułów wywierał wpływ na kształtowanie się ideologii alpinizmu. Przez kilka lat prowadził stałą kolumnę „Alpinisme” w „Montagnes Magazine”. Napisał kilka dobrych książek. Ostatnią była wydana w r. 1992 „Hautes altitudes: Voyage dans l'oxygene rare”. Był członkiem Groupe de Haute Montagne. Miał serdecznych przyjaciół wśród alpinistów polskich, których osiągnięcia himalajskie wysoko cenił. (jn)

## Kuno Rainer

Pamiętamy tę sympatyczną postać z wielu kart książki Hermanna Buhla „8000 druber und drunter”. Tworzyli znakomity duet alpejski z tak niezwykłymi sukcesami, jak pierwsze zimowe przejścia południowo-wschodniego zacięcia Fleischbank czy południowej ściany Marmolaty (1950). „Kuno - wspomina Buhl - był dla mnie idealnym partnerem. Wielki miłeczek i wzór rozsądku, łączył w sobie wszystkie cnoty, które cechują pierwszorzędnego alpinistę: odwagę, absolutną niezawodność i skończone mistrzostwo w skale i lodzie”. Miał też innych, wcale nie gorszych partnerów. Z legendarnym Hiasem Rebitschem przeszedł nową

drogą północną ścianę Lalidererspitze (1946), z Peterem Aschenbrennerem - południową ścianę Schlüsselkarspitze wprost (1939). W r. 1953 znalazł się w składzie wyprawy na Nanga Parbat, ukoronowanej samotnym wejściem Hermanna Buhla - z dużym wkładem Rainera, który nie bacząc na kaprysy pogody z uporem budował i utrzymywał linię obozów. W rok później prowadził zespół szturmowy wyprawy Herrligkoffera na Falchun Kangri (do 7000 m). W książce „Sesto grado” Messner, Rudatis i Varale zaliczają go do głównych pionierów alpinizmu ekstremalnego. Zmarł 18 stycznia 1993 r. w Kitzbuhel, gdzie mieszkał i pracował jako przewodnik alpejski a także długoletni szef szkoły wspinaczkowej. (jn)

## Himalaje, Andy

### Wszystko drożeje...

Nepalskie władze turystyczne zdecydowały, że od 1 września 1993 roku opłata za zezwolenie atakowania Mount Everestu wzrosła do 50 tysięcy dolarów amerykańskich. Jest to opłata za jedną drogę dla ekspedycji składającej się co najwyżej z 5-ciu wspinaczy. Przepisy przewidują możliwość zwiększenia liczby uczestników wyprawy do 7-miu osób, ale za dodatkową opłatą 10 tysięcy dolarów od osoby. Wyprawa powyżej 7 osób będzie traktowana jako 2 wyprawy za 100 tysięcy dolarów.

Ruch wspinaczkowy zostanie ograniczony do jednej wyprawy na jednej drodze i do czterech wypraw w sezonie na nepalskiej stronie Everestu. Zostaną udostępnione 4 drogi:

- przez Przełęcz Południową i grań południowo-wschodnią,
- przez filar południowy,
- przez ścianę południowo-zachodnią,
- przez grani zachodnią.

Podobne ograniczenia zostaną wprowadzone na innych górach w rejonie Everestu, ale dopuszczać się będzie działanie kilku wypraw na jednej drodze.

Nowe przepisy nakładają obowiązek wywożenia śmieci do kraju, z którego przybywa wyprawa.

Wykonanie przepisu ma zapewniana depozyt gotówkowy, który zostanie zwrócony dopiero po przedstawieniu dokumentów potwierdzających wywóz śmieci z Nepalu. Ministerstwo Turystyki będzie także udzielać zezwoleń na wspinaczkę w sezonie letnim. Do tej pory można było wspinąć się wiosną, jesienią i latem.

W.Ś

### Na nartach z Everestu

Akrobatów nart ożywia od lat jedno marzenie: zjechać na deskach z czubka świata. Najpierw była Przełęcz Południowa (7900 m), z której jako pierwszy zjechał narciarz japoński - z użyciem spadochronu hamującego. Jesienią 1978 r. bez pomocy spadochronu zjazd zrealizowali Francuzi Jean Afanassieff i dr Nicolas Jaeger. W późniejszych latach zjazdów dokonywano z coraz to wyższych punktów grani. Wiosną 1992 r. Niemiec Reinhard Patscheider zjechał z wysokości 8400 m. Jesienią jego rekord poprawił Francuz Pierre Tardivel, znany ze swych akrobatycznych wyczynów w Alpach (m.in. Filar Narożny!). W dniu

27 września wszedł on z obozu IV na Przełęcz Południową w ciągu 7 godzin na południowy wierzchołek (według nowych map 8751 m). Posługiwał się tlenem: „Nie jestem żadnym kamikadze - mówi. - Nie mam doświadczenia himalajskiego a nadto narty na plecach. Tlen jest w tej sytuacji koniecznością, a w każdym razie podstawowym warunkiem bezpieczeństwa.” Dzień był bezwietrzny i wspaniały, na wierzchołku południowym mógł więc spędzić całą godzinę: „Un moment tres fort. On est tout seul avec le ciel...” Zastanawiał się, czy nie podejść pod sam Uskok Hillarego, ale nie miał już siły, nie był to też fragment ciekawy narciarsko.

Pierwszy odcinek zjazdu był najtrudniejszy technicznie, a odstawienie tleny spowodowało wrazenie duszenia się. Od ok. 8600 m było już łatwiej. Stoki o nachyleniu do 45 stopni pozwalały miejscami wręcz cieszyć się jazdą. Na Przełęcz Południowej Pierre nie zatrzymał się - dalszą trasę stanowiła depresja na prawo od Zebra Genewczyków. Dobry śnieg o spadku 35-40 stopni, słońce - sama radość. Po noclegu w obozie II, 28 września kontynuował zjazd, udało mu się nawet - jako pierwszemu - ominąć od prawej Ice Fall, nie zdejmując desek. W bazie świętował sukces z Christophem Profitem i Rosjanami z wyprawy Turkiewicza. „Koniec fascynującej przygody - powiedział. - W bajkowym krajobrazie tych gór tak niedługo wysokiach.”

(jn)

### Ślady polskiej stopy

Z jednej strony jesteśmy przeciwni wnoszeniu przez wyprawy akcentów patriotycznych do nazewnictwa obcych gór (w czym tak zawsze celowali i do dziś celują Włosi), z drugiej strony jednak miło nam, kiedy taki polski akcent staje się trwałym składnikiem krajobrazu kulturowego Pamiru, Andów czy Himalajów. Jeśli chodzi o propagandę naszego kraju, bez wątpienia najbardziej nośną nazwą jest Ruta de los Polacos, wiodąca przez Glaciar de los Polacos na Aconcagua. Jest to druga co do frekwencji droga na najwyższy szczyt całej Ameryki, obecnie odwiedzana co roku przez stu lub więcej alpinistów, i to tych lepszych" w porównaniu z szaraczkami z drogi normalnej. W minionym sezonie Francuzi Patrick Berhault i Francois Pallandre weszli na Aconcagua drogą Jugosłowian a zeszli drogą Polaków, dla całości kombinacji wprowadzając nazwę „Aconjuggol”. Spore walory propagandowe ma też polska droga na Everest (filarem południowym), powtarzana niemal co roku, choć przeważnie z ucieczką do drogi normalnej. Nie miały natomiast do tej pory potwierżeń trudne polskie drogi na Cho Oyu (zimowa), K2 (Kukucz-

ki), Makalu (śląska). Pomimo kilku prób, nie doczekał się dotąd drugiego wejścia Gasherbrum III (7952 m). Na Kunyang Chhishu po Polakach w r. 1971 była tylko 1 udana wyprawa - Anglicy w r. 1988, łatwiejszą drogą.

A tu inne świeże wysokogórskie polonica. Włoska wyprawa naukowa prowadziła prace w rejonie Ojos del Salado. W jej raporcie z dużym uznaniem wypowiadano się o polskim wkładzie w eksplorację tego wybitnego węzła andyjskiego. Centro Polare Italiano zorganizowało zeszłej jesieni wyprawę „Artico 92” na Spitsbergen, gdzie badany był wzrost radioaktywności spowodowany tragedią w Czernobylu. Realizując sportową część programu dokonano wejścia na Dronningfjella (1263 m). T. Valeruz zastał na szczycie butelkę z zapiskami dwóch Norwegów z r. 1929 oraz późniejszą - dwójki Polaków. Z okazji 40-lecia zdobycia Everestu w ostatnim „High” ukazało się niezłe opracowane zestawienie 60 najwyższych szczytów świata - z wysokościami, datami, nazwiskami zdobywców. Lista ogranicza się do szczytów głównych, dorobek polski reprezentują więc pozycje 15 (Gasherbrum III), 19 (Kangbachan), 24 (Kunyang Chhish) oraz 45 (Shispare). Nowe pismo „Mountain Review” zamieściło z tej samej okazji artykuł o pierwszych wejściach na Everest. Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki wymienieni są dwukrotnie: jako zespół nr 100 na szczycie i jako pierwsi w zimie. Oba imiona i nazwiska bezbłędnie, chociaż inne poprzekręcane są bez miłosierdzia. (jn)

## O kulach na wysokie szczyty

Wśród niepełnosprawnych alpinistów wysokościami najbardziej znany jest Anglik Norman Croucher, który mimo iż nie ma obydwu nóg dokonuje zdumiewających wejść w Alpach, Andach, górach Azji Centralnej. Na Mustangh Ata (7546 m) w Kun Lunie ustanowił rekord wysokości alpinistów kalekich, wiosną 1993 miał zaplanowany Everest. Nie jest jednak w swej górskiej pasji jedyny. Baba Manindra Pal urodził się w Bangladeszu i mieszka w Indiach. Mając 19 lat stracił nogę w wypadku kolejowym. Przez szereg lat zgłębiał tajniki ascetyczno-mistycznych praktyk jogi, nauczył się panować nad głodem, zimnem, niewygoda. Obecnie ma 48 lat i znaczny dorobek alpinistyczny. Dotarł do wysokości 6250 m na Kamecie, jako jeden z pierwszych beznogi alpinistów wszedł na Kun (7087 m). Pomaga sobie aluminiowymi kulami, ale nie stosuje udogodnień wymyślonych dla niepełnosprawnych wspinaczy. Marzy mu się Everest. Na sierpień 1993 r. zaplanował wejścia na Kamet (7756 m) i na Abi Gamin (7355 m) w tej samej grupie, jednakże Indian Mountaineering Foundation odmówiła mu akceptacji udziału w wyprawie. Baba odpowiedział na ten akt dyskryminacji przeprowadzoną w Delhi... głodówką o obostrzonym reżimie (fast unto death). „Źródłem mojej siły jest mój umysł - mówi. - Nie jest niemożliwe, jeśli ktoś ma motywację a do tego silną wolę.” (jn)

## Sport wspinaczkowy za granicą - skałki

### Frankfurt w lutym

I tak pierwsze z kilkunastu zaplanowanych na ten rok spotkań wspinaczkowego Pucharu Świata 1993 mamy już za sobą. W gościnnym i, jak zawsze, świetnie zorganizowanym Frankfurcie do walki o pierwsze pucharowe punkty stanęło 66 zawodników i 51 zawodniczek z 20 krajów. W większości startowali w kategorii „trudność” - tylko 16 osób wybrało kategorię „szybkość”. Ta druga pozostaje marginesem spotkań a jej wyniki w ogóle nie trafiły na łamy niemieckich gazet. W kategorii głównej do finału weszło 8 panów i 6 pań. A oto jak ułożyły się szóstki zwycięzców:

- |                                   |                               |
|-----------------------------------|-------------------------------|
| 1. Susi Good (Szwajcaria)         | 1. Yuji Hirayama (Japonia)    |
| 2. Robyn Erbesfield (USA)         | 2. Francois Legrand (Francja) |
| 3. Isabelle Patissier (Francja)   | 3. Christoph Finkel (Niemcy)  |
| 4. Jelena Owczynnikowa (Rosja)    | 4. Severino Cassa (Włochy)    |
| 5. Karin Bless-Reith (Szwajcaria) | 5. Francois Petit (Francja)   |
| 6. Nanette Raybaud (Francja)      | 6. Arnaud Petit (Francja)     |

Frankfurt okazał się szczęśliwy dla Susi Good - już wcześniej stanęła ona tu na najwyższym podium. Uwagę zwraca - co prawda tylko ułamkowo - zwycięstwo stale rozwijającego się Hirayama, który wysunął się przed zdobywcę zeszłorocznego Pucharu UIAA, Legranda. Ze zdecydowaną przewagą zwyciężyły 3 pierwsze kobiety (23,34:16,49 m) oraz dwaj pierwsi panowie (obaj

35,41:29,68 m). Jest wśród czołowych zawodników parę nowych postaci, ale są i weterani: na pozycjach 8 i 9 sklasyfikowani zostali Ben Moon i Stefan Glowacz (ten drugi ex aequo z Lucą Zardinim). W pierwszej dziesiątce pań znalazły się 3 Francuzki, 3 Rosjanki i 2 Szwajcarki, w pierwszej dziesiątce panów - 3 Francuzi, 2 Włosi i 2 Niemcy. Jeśli chodzi o polski udział, szczególnie cieszy 11 miejsce Iwony Granokiewicz-Marciszowej. W kolumnie męskiej „Pol” pojawia się przy „okrągłych” pozycjach 40. (Jacek Jurkowski) i 50. (Mateusz Kilarski).

### Wspinaczkowe MW 1993

Kolejne Mistrzostwa Świata we Wspinaniu Sportowym rozegrano w dniach 30 kwietnia - 2 maja 1993 w stolicy Alp Austriackich, Innsbrucku. Przeszło 3000 widzów oklaskiwały zmagania najlepszych wspinaczy świata. Mistrzostwa przeprowadzono w oparciu o nowy regulamin, wypróbowany już w Arco: finał rozgrywany jest na dwóch drogach: on sight 8a i after work 8b. Obie osiągnięte wysokości zliczone razem dają ostateczny rezultat. Faworytem był dotychczasowy mistrz świata, Francois Legrand, poważnie zagrożony przez Stefana Glowacza. Na drodze on sight obaj osiągnęli identyczny wynik: 19,41 m, rozstrzygnięcie padło więc na niezwykle finezyjnej drodze after work. Nikt nie pokonał jej do końca, a Glowacz odpadł 4 m niżej od Legranda. Trzeci był Yuji Hirayama, na drodze after work lepszy o przeszło metr od Glowacza! Podobnie emocjonujący okazał się turniej pań - i on miał dwie faworytki: Robyn Erbesfield i Susi Good. Obie miały identyczne wyniki, tak że sędziowie zmuszeni byli zarządzić

superfinał, i to na męskiej drodze after work. Obie finaliści mogły na niej obejrzeć próby swoich kolegów. Robyn zgubił niski wzrost (1,60 m), droga pomyślna była przecież dla mężczyzn, mimo to pokazała dużą klasę, ustępując rywalce o zaledwie 3 m (19,62, 16,66 m). Gdyby Susi startowała razem z panami, byłaby 5 na liście! Ostateczna klasyfikacja w pierwszych szóstkach przedstawia się następująco:

1. Francois Legrand (FRA)	1. Susi Good (SUI)
2. Stefan Glowacz (GER)	2. Robyn Erbesfield (USA)
3. Yuji Hirayama (JAP)	3. Isabelle Patissier (FRA)
4. Francois Petit (FRA)	4. Nanette Raybaud (FRA)
5. Nicola Sartori (ITA)	5. Julia Inozimcowa (RUS)
6. Patxi Arocena (ESP)	6. Jelena Owczynnikowa (RUS)

Spotkanie było kolejnym popisem umiejętności organizacyjnych Austriaków, skupionych wokół prezesa CICE, Roberta Renzlera. „Z zasłużonymi starymi i nowymi mistrzami, z rewelacyjnymi wynikami, z efektywnymi drogami, z wypełnioną po brzegi widownią - impreza stała się najlepszą reklamą sportu wspinaczkowego”, napisała jedna z austriackich gazet.

### Susi Good

Susi Good, najlepsza ze wspinających się Szwajcerek i aktualna mistrzyni Europy (Frankfurt 1992) kojarzy się nam ze sztucznymi ścianami i światłem reflektorów, wspinanie się też jednak nieźle w plenerze. W r. 1992 zrobiła osiem dróg w stopniu 8b. W skałkach Siez przeszła drogę „Jugendsnde” liczącą 20 m wysokości przy 6 m wywieszzenia. W planie ma powtórzenie drogi, nad którą pracuje jej mąż, Edwin, a której trudności szacowane są na 8b+/8c-. „Jeśli uda się jej pokonać tę drogę w stylu rotpunkt, Susi stanie się drugą kobietą wspinającą się na poziomie 8b+ - po Lynn Hill, która w r. 1990 przeszła w Cimai drogę Masse Critique” - czytamy w „Rotpunkt”. Współ z mężem Susi doprowadziła do realizacji największej hali wspinaczkowej w Szwajcarii, w Saragans, którą oboje administrują i nadzorują sportowo. Główna ściana ma 8,5 m wysokości i 300 m kw. powierzchnię, jest też ścianka do wspinaczek typu bouldering o powierzchni 130 m kw.

Robyn Erbesfield zrobiła niedawno we Francji on sight drogę „Rampoau” 8a (5.13b). Podobnym on sight może się poszczycić też tylko Lynn Hill, która zaliczyła drogę „Simon” we Frankenjura (5.13b).

### Głos skalnego juniora

Mamy kluby seniorów i biuletyn „Głos Seniora” a tu życie domaga się zrzeszenia wspinaczy-juniorów. No, na razie nie u nas. We wspinanie zawodnicze za granicą coraz to szerzej angażowane są dzieci. W takich krajach, jak Niemcy, Szwajcaria czy Słowenia prowadzi się już ich systematyczne szkolenie, organizowane są mistrzostwa juniorów, nota bene w dawniejszym Związku Radzieckim praktykowane już ćwierć wieku temu. Zdumiewają też wyniki osiągane przez młodych ludzi na drogach skałkowych. I tak 14-letni Amerykanin Alex Russel przeszedł jesienią 1992 r. drogi 5.12c, 5.13a i 5.13b - ta ostatnia to głośne jeszcze niedawno „Rude Boys”. W Red Rock w Nevadzie w listopadzie z drogą The Gift (5.12d) uporał się 8-letni Chris Lindner. Jego słoweński rówieśnik, 9-letni Blaz Rant, przeszedł ostatnio - po dłuższej, bo 3-tygodniowej „obróbce” - 10-metrową drogę „Małżni” z oceną IX-. W tym roku zrobił już 3 drogi w stopniu VIII- (Ketchup, Kanglplate i CB) oraz jedną VII+. Wśród dzieci słoweń-

skich wspinanie jest bardzo popularne. Do tegorocznych eliminacji w Radovljici - lokalnych przecież - stanęło 83 dziewcząt i chłopców w wieku od 7 do 12 lat. Francuzi natomiast dbają o narybek wyprawowy i wożą nastolatków w Himalaje, gdzie zaliczają oni sześciotysięczniki.

### I miejsce Renaty Piszczek

Renata Piszczek odniosła sukces w pierwszej w tym roku edycji Pucharu Świata we wspinacze na sztucznych ścianach. Podczas zawodów we Frankfurcie 23 letnia zawodniczka krakowskiej Korony zajęła pierwsze miejsce w konkurencji na czas (rozgrywana jest też konkurencja we wspinaniu na trudność).

Inny wspinacz z Krakowa Andrzej Marcisz zakończył zawody na piątej pozycji.

### Skalne pająki

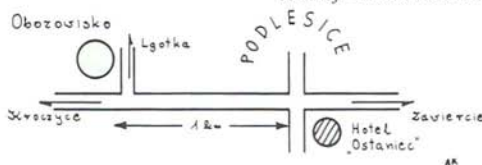
Sensację wywołało w Ameryce Wspinaczkowe tournée Szwajcara Elie Chevieux (19), który odwiedził kilka głośnych poligonów skalnych, dokonując serii dużej klasy przejść. Mało brakowało a byłby powtórzył on sight drogę „Rude Boys” (5.13b - przeszedł ją w drugiej próbie), pokonał też w tym stylu kilka dróg 5.13a/b, m.in. „Time's up”, „Kings of Rasp”, „Churing in the Wake”. Drogę „When Legends Die” w Hueco Tanks (5.13b=IX+ UIAA) przeszedł on sight, przypuszczalnie jako pierwszy. „Wspina się jak rozkielzany koń wyścigowy” - napisano o nim, a magazyn „Climbing” poświęcił mu całą stronę (6-7/93 s.52), dając artykułowi tytuł „Nastoletni mutant”. Elie ma świetny dorobek skałkowy w Europie, zajmował też wysokie lokaty na mistrzostwach międzynarodowych. Wspinaczki zaczął z ojcem, kiedy miał 10 lat - przez 5 sezonów chodzili razem po Alpach.

I jeszcze jedna para ojców - syn. W Ameryce wspinął się wiosną Francuz Marc Le Menestrel. W górnych partiach Cocaine Gully dokonał on pierwszego przejścia drogi nazwanej „Runt” (5.13d), nad którą miejscowi wspinacze pracowali już od dłuższego czasu. Przy pierwszej próbie o mało nie dokończył jej on sight - uporał się z nią innego dnia za ogółem trzecim przystawieniem. W. Smith Rock bawił ojciec Marca, Jacques LeMenestrel liczący lat...55. Zrobił on on sight drogę „Latest Rage” (5.12b) i rotpunkt „Watt's Tots” o tych samych trudnościach. Marc powiedział nie bez dumy, że w Europie jego „stary” robi redpoint drogi 8a (5.13b).

### Taborisko w skałkach

Zaostając się od lat sytuacja pomiędzy Strażnikami Ochrony Przyrody a wspinaczami biwakującymi na terenie skałek podlesickich doczekała się wreszcie, jak sądzimy rozsądnego rozwiązania. W dniu 5 kwietnia 1993 r. PZA podpisał z Zarządzeniem Gminy Kroczycze umowę dzierżawną na okres 10 lat w sprawie użytkowania pola biwakowego o powierzchni 0,6 ha. Teren jest ogrodzony i wyposażony w wodę, światło, sanitariaty, śmietniki etc. Zapraszamy do korzystania z obozowiska PZA w Podlesicach. Ceny przystępne.

Komisja Skałkowa PZA



## Rachel Farmer nie żyje

Wspinaczka sportowa jest tylko z pozoru bezpieczna. W rzeczywistości zdarzają się wypadki, niezadko bardzo poważne. Ostatnio ciężką stratę poniosł brytyjski sport wspinaczkowy. W dniu 16 marca 1993 w wyniku upadku w ścianie w rejonie La Plage w Buoux poniósł śmierć 23-letnia Rachel Farmer, jedna z czołowych skalożerek angielskich. Jako pierwsza Brytyjka przeszła ona drogę 8a („Raindogs” w Yorkshire) a ostatnio powtórzyła „Samizdat” w Cimai (8a). Ogólnie podziwiana i lubiana Rachel skupiła wokół siebie grono młodych entuzjastek przewieszanej skały, w czym widziano już zaczątek nowej angielskiej szkoły. Niestety...

## Słoweńcy w Yosemite

Dwaj wspinacze słoweńscy, Janez Jeglic i Miha Praprotnik przeszli w maju głośną drogę Yolly Roger na ścianie El Capitan (1100 m, 5.10 A5 = VIII- A5). Siedem wyciągów zaporęczyli w ciągu 2 dni, pozostałych 16 przeszli w 6 dni w jednym ciągłym ataku. 13 maja byli na szczycie. Było to 4 powtórzenie tej drogi, jak dotąd najszybsze i najlepsze pod względem stylu.

## Listy

W związku z licznymi publikacjami autorstwa Aleksandra Lwowa, w których to publikacjach A. Lwow poświęcił wyjątkowo dużo miejsca mojej osobie, proszę o zamieszczenie mojego sprostowania.

Tylko jeden raz w życiu w 1972 roku wybrałem się na wspinaczkę w towarzystwie A. Lwowa. Ponieważ obaj a nie tylko ja (jak twierdzi Lwow), czuliśmy się nie najlepiej, nie weszliśmy w ścianę i powróciliśmy na taborisko. Przyczyn były prozaiczne. Byliśmy nie wyspani po biwaku pod ścianą, był upał, zwyczajnie obu nam się nie chciało. Wydarzenie takie kwituję się zwykle wpisem do książki „nie weszli” lub „zawrócili” więc pisanie o tym przez ponad dwadzieścia lat artykułów (nawet w wysoko nakładowej prasie jak katowicki „Sport”), rozdziałów w książkach oraz opowiadanie wstępi i wobec przy każdej okazji niezwykle rozbudowanej legendy wydaje mi się przestarzałym nad treścią i każe zastanowić się, czy aby z autorem tych opowieści jest wszystko w porządku. Nie chodzi tylko o to, że Lwow mija się z prawdą. Niejaki Krawczyk na łamach „Bularza” mijał się z prawdą znacznie bardziej. Wyobraźmy sobie, że pan X w młodzieńcze wdepnął w ekstremit. Jeżeli inny pan przez dwadzieścia lat publikuje o tym artykuły, to w końcu pan X zaczyna być bardziej znany z wdepnięcia w ekstremit niż z dokonania całego życia. Otwarcie mówiąc brak pozu sądowego z mojej strony zawdzięcza Lwow tylko temu, że mam obecnie ważniejsze zajęcia.

Chciałbym jeszcze sprostować inne zawarte w publikacjach Lwowa informacje.

1. Nigdy nie byłem, ani też nie wybierałem się, z A. Lwowem na drogę Wachowicza na Mnichu. Wszystkie wydarzenia opisane przez Lwowa na tej drodze zostały przez niego całkowicie zmyślone.

2. Lwow pisze, że w czasach gdy mnie poznał przedstawiałem się jako wybitny solista i autor nowych dróg, wybitny karateka, wybitny konstruktor sprzętu i systematycznie represjonowany opozycjonista a wszystkim tym byłem jak pisze Lwow tylko poniekąd.

A więc po kolei. W 1972 roku nie tylko ja ale nikt inny w Polsce nie wspiął się solo i nikomu nie przychodziło to do głowy. Moda na wspinanie solowe pojawiła się dwa lata później w 1974 roku. Faktem jest, że to ja zacząłem pierwszy systematycznie wspiąć się solo po bardzo długim okresie nieobecności solistów w polskim alpinizmie. Faktem jest też, że jak na razie mam na koncie największą

liczbę przejść solowych (w górach - skałek nie liczę) ze wszystkich żyjących i nie żyjących już Polaków. Są to fakty niezależnie od tego czy się one komuś poniekąd podobają czy też nie. Ocenę co jest wybitne a co „poniekąd” proponuję pozostawić historykom.

Jeśli chodzi o nowe drogi, to poprowadziłem ich w Tatrach kilkadziesiąt. Większość z nich to drogi o bardzo dużym nagromadzeniu trudności. Niektóre z nich poprowadziłem solo (np. „Szare Zacięcie” na Czołowej MSW). W 1972 roku miałem już na koncie takie drobniaki jak „Czarne Zacięcie” (MSW) i „Śmigło” na Mnischku

Konstruowaniem sprzętu faktycznie zajmowałem się przez pewien czas, ale o kilkanaście lat później. Skończyło się to na przekazaniu prototypów niejakemu K.K. z Austrii, który po tym przestał odpowiadać na listy, natomiast moje konstrukcje zaczęły pojawiać się na rynku w wykonaniu różnych firm zachodnich (oczywiście jako ich oryginalne produkty). Z całą pewnością moją konstrukcją jest przyczół samoklinujący z rodziny „friendów”, „Blitz” (patrz Tat. Biuletyn 2/1990 str. 23) oraz „giełgaczka” produkowana na zachodzie pod dziwaczną nazwą „kontri fift”. Być może Lwow myśli o tym, że w latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych wszyscy taternicy używali różnych „samorobów”, bo sprzętu nie można było kupić w sklepie jak dzisiaj.

Nigdy nie trenowałem karate. Całe prawie dorosłe życie (28 lat) trenowałem Kung Fu i przez 10 lat judo. Przez szereg lat Kung Fu było moim zawodem. Pracowałem jako trener. Mylenie Kung Fu z karate jest nagminne, ale w środowisku Kung Fu nazywanie kogoś „karateką” oznacza, że ma się nie najlepsze zdanie o jego umiejętnościach. W kategoriach faktów - mam w Kung Fu wysoki, jak na Europę, stopień mistrzowski, a moi uczniowie są obecnie trenerami reprezentacji Polski i zdobywają razem ze swoimi uczniami medale (nawet złote) na międzynarodowych zawodach z mistrzostwami świata włącznie. W Kung Fu jest trochę inaczej niż w alpinizmie. Aby zostać instruktorem (a tym bardziej mistrzem) nie wystarczy skończyć kurs. Trzeba wyjść na ring i wygrać walki. Nie się tu nie da zakombinować.

Co do bycia „poniekąd opozycjonistą”: W 1968 roku zbierałem podpisy pod pewnym listem do sejmu i robiłem jeszcze parę innych rzeczy, za co zostałem usunięty ze studiów i powołano represyjnie do wojska, z pewną odsiadką w międzyczasie. W czasach KOR-u udzielałem się sporadycznie aż do 1980 roku gdy znowu zaangażowałem się mocno. Pełniłem szereg funkcji w „Solidarności”, a w stanie wojennym byłem jednym z organizatorów podziemia. Dość szybko zostałem aresztowany i zaliczyłem dłuższą odsiadkę w więzieniu (a nie w ciepłarnianym internacie). Czerwoni docenili mnie bardziej niż Lwow (na półtora roku bez zawieszania). Obecnie nie zajmuję się polityką.

Tu chciałbym zrobić małą dygresję. Gdy słyszę o świetlanej roli jaką odegrało środowisko taternicze w opozycji wobec PRL-u, to chciałbym przypomnieć, że prócz ludzi niewątpliwie zasłużonych, byli i tacy, którzy szkolili jednostki specjalne majora M. Postępowanie środowiska wobec ludzi związanych z opozycją było różne. Gdy w stanie wojennym SB zaczęła od klubów skreslenia ludzi więzionych, zarząd klubu zrobił zrzutkę i zapłacił za mnie składki, ale gdy w 1975 roku czerwoni chcieli pierwszy raz dać mi paszport to klub skreślił mnie z wyjazdu bo właśnie postanowił ukarać mnie za solówki (wówczas zakazane).

Na koniec chciałbym jeszcze sprostować że nie jestem „agentem Wydawnictwa Text” jak podaje Lwow lecz jego właścicielem.

Krzysztof Łoziński

P.S. Płynię z tego nauka dla młodzieży. Nie wspinajcie się z ludźmi, którzy obsmarowują partnerów.

## Spotkanie instruktorów

W dniach 8-9-10 października obradował trzeci z kolei „synod instruktorski” w ramach tzw. konferencji zachodniej. Tym razem miejscem spotkania były Śnieżna Kotły, a gościny w Chatec Wielkanocej udzieliłi koledzy z Poznania. W spotkaniu uczestniczyli: K. Bałuciniński, Sz. Głogowski, W. Jeżak, A. Klos, R. Kardaś, M. Pawlikowski, P. Panufnik, B. Slama, W. Święciecki, Z. Trzmiel, W. Wajda i R. Wollek.

Głównym tematem obrad było ustalenie zasad zbliżającej się weryfikacji stopni instruktorskich. Warto tutaj przypomnieć, że prace nad zmianą systemu szkolenia instruktorów, a co za tym idzie i zmianą samych stopni instruktorskich trwały od ponad dwóch lat. Konieczność zmian wynikała zarówno z wyodrębnienia i usamodzielniania się nurtu wspinaczki skałkowej jak również z konieczności udoskonalenia systemu kształcenia instruktorów innych specjalności górskich.

Zebrani instruktorzy zaproponowali następujące nowe stopnie instruktorskie:

- \* instruktor wspinaczki skalnej
- \* instruktor wspinaczki sportowej
- \* instruktor taternictwa
- \* instruktor alpinizmu
- \* instruktor senior.

Zupełną nowością jest stopień instruktora seniora, który w zamysłu ma nie tylko usatysfakcjonować instruktorów z wieloletnim stażem szkoleniowym, ale i umożliwić legalne szkolenie w miarę sił i umiejętności.

Kolejnym tematem było omówienie wypadków górskich oraz incydentów z udziałem instruktorów. Wśród różnych ważnych spraw największe poruszenie wywołał przypadek Andrzeja Marcisza, który zachował się nieetycznie wobec poleconych jego opiece zawodników startujących w zawodach wspinaczkowych i co w konsekwencji spowodowało pozbawienie go funkcji przewodniczącego Komisji Wspinaczki Sportowej w Zarządzie PZA oraz odebranie stopnia instruktorskiego.

W dniu 15 października odbyło się w Krakowie zebranie kilkunastu wspinaczy, głównie z KS Korona, na którym wybrano nowego szefa Komisji Wspinaczki Sportowej. Został nim kolega Robert Wollek, pracujący na co dzień w Zakładzie Alpinizmu w krakowskiej AWF.

W dzień później obradujący w „Betlejemce” Zarząd PZA zaakceptował ten wybór, a ponadto powierzył koleżance Renacie Piszczek obowiązki kapitana reprezentacji. Do Zarządu PZA dokooptowany został także kolega Jacek Fluder jako szef Komisji Sportowej. Na koniec zatwierdzono zasady weryfikacji kadry instruktorskiej i wyznaczono termin operacji na 11 i 12 grudnia 1993 r.

W.Ś.



Na zdjęciu: M. Pawlikowski, B. Slama, W. Wajda, A. Klos, W. Jeżak, Z. Trzmiel, P. Panufnik, Sz. Głogowski, R. Kardaś.

Fot. W. Święciecki

## Zjazdy z Zamarłej Turni

W sierpniu 1993 roku instruktorzy z COS „Betlejemka” w ramach ubezpieczania dróg szkoleniowych, założyli stanowiska zjazdowe ze spitów na południowej ścianie Zamarłej Turni, mniej więcej tam, gdzie przebiega droga zwana „lewym Heinrichem”. Można teraz bezpiecznie i szybko zjechać trzema zjazdami do podstawy ściany. Pozwala to zespołom, które chcą robić na Zamarłej Turni kilka dróg jednego dnia, omijając zatłoczoną i niebezpieczną ścieżkę z Koziej Przełęczy. Zjazdy ścianą mają też oczywiste walory szkoleniowe. Pierwsze stanowisko znajduje się nieco poniżej trawesu (WHP 163), kilkanaście metrów od Zmarłej Przełęczy. Dojście do stanowiska nie wymaga asekuracji.

A.K.

## Polacy na 8 tysięcy w 1993 roku

Maciej Berbecka	- Mount Everest
Aleksander Lwow	- Gasherbrum II
Ryszard Pawlowski	- Nanga Parbat
Piotr Pustelnik	- Cho-Oyu
	- Shisha Pangma
Krzysztof Wielicki	- Cho-Oyu
	- Shisha Pangma

GRATULUJEMY !

## O bezpieczeństwie - w Brukseli

W dniach 20-22 maja 1993 r. w centrum sportowym w Soignes w Brukseli obradowała Komisja Bezpieczeństwa UIAA. Obecni byli przedstawiciele 10 krajów (w tym Czech i Rosji) oraz producenci sprzętu z 7 firm. Po raz pierwszy z członkami Komisji spotkała się delegacja CEN (Commission Européenne de Normalisation). W toku dyskusji przyjęto zrewidowane i uzgodnione z wytycznymi CEN (tzw.euronormami) normy UIAA na karabinki, czekany, taśmy, haki, kostki i friendly, które zaczną obowiązywać od wiosny 1995 roku. Krytycznie omówiono problematykę na liny, raki, ośenki i młotki lodowe - w świetle najnowszych badań laboratoryjnych i prób w terenie, m.in. elektronicznych pomiarów rozciągania się lin. Uczestnicy wzięli udział w kilku eksperymentach, przy, jednym do symulacji odpadnięcia użyto nie kukły, lecz żywego człowieka. Koszty zebrania pokryła częściowo firma „Solvay”, główny w świecie producent tlenu magnezu (tzw. magnezji), stosowanego w sporcie, w tym także w sporcie wspinaczkowym. (jn)

## Ratunek na koszt własny?

W związku ze wzrostem kosztów akcji ratowniczych (helikoptery) i problemami budżetowymi gmin alpejskich, we Francji toczą się dyskusje na temat tego, czy za akcje ratownicze w górach po-

szkodowani nie powinni płacić sami. Problem ten ma uregulowania prawne: „Code de communes” zawiera zapis stwierdzający, że w razie zagrożenia ratunek jest bezpłatny dla każdego. Pewien wyłom stanowią wszakże przepisy szczegółowe, które w ściśle określonych przypadkach uprawiają komuny do rewindykacji poniesionych wydatków, co jest później wyrównywane przez ubezpieczenie. „Żaden inny organ publiczny ani prywatny nie może się domagać waszego udziału finansowego w operacjach ratowniczych”, czytamy w organie CAF, „Montagnes Infos” 6/1993 s.20.

Pytania o ew. odpłatności ze strony obcokrajowców za udzielanie ratunku w Tatrach są kierowane nieraz do PZA. Ostatnio zwróciła się z nim British Mountaineering Council. Odpowiedź uzyskana przez Hannę Wiktorowską od szefa TOPR, dra Roberta Janika, brzmiała „nie”. Ratownictwo w Tatrach Polskich jest jak na razie bezpłatne, natomiast cudzoziemiec musi się liczyć ze znacznymi kosztami ew. leczenia w szpitalu. Również na Słowacji HS działa nieodpłatnie, aczkolwiek sprawa zasadności takich założeń jest tam żywo dyskutowana.

## CONTENTS

* Editorial (A. Klos).....	1
* Maniuta in Winter (J. Gołąb).....	2
* Winter climbing in the Alps (J. Fluder, J. Nyka, A. Gąsiennica-Józkowy, A. Skłodowski) .....	4
* Climbs in the Tatras, Winter 1992-93 (A. Machnik).....	10
* Himalaya, Winter 1992-93 (J. Nyka).....	11
* Looking for... short story (M. Tertelis) .....	13
* Pictures from the mountains (J. P. Pelech).....	18
* Rock climbs in USA (W. Janowski).....	23
* Demon Hilti - how place a bolt (W. Świącicki).....	26
* Chest harness, a compare with a sit harness (W. Świącicki).....	30
* Competitions in Poland - Szczecin and Warsaw (W. Świącicki, M. Tomasiak, J. Wolf).....	32
* Caving news from Russia (W. Kisielow, A. Klimczuk).....	35
* Climbing ropes (M. Pokszan).....	37
* Jan Strzelecki obituary (A. Ziemiński).....	41
* What's New in the Tatra Mountains?.....	43
* New Routes in the Tatras.....	45
* Accidents.....	49
* Obituary.....	50
* Competition climbing.....	51
* Letters.....	54
* Stop - press.....	55

# TATERNIK

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU  
ALPINIZMU POŚWIĘCONY SPRAWOM  
TATERNICTWA, ALPINIZMU  
I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,  
ul. Erazma Ciolka 17, p. 208; 01-445 Warszawa,  
tel. 36 36 90.

Redaktor: Andrzej Klos,  
ul. Murzynowskiego 7/14, 10-684 Olsztyn,  
tel. domowy 42 85 92

Realizacja wydawnicza (skład, lamowanie, przygotowanie do druku, druk łącznie z ich finansowaniem):  
Wydawnictwo TEXT, ul. Herbsta 1,  
02-784 Warszawa, tel. 641 53 28

Rozpowszechnianie: Antykwariat FILAR,  
skr. poczt. 398, 25-001 Kielce I, tel. (041) 66 37 63  
Skład komputerowy programem Xeroks Ventura  
Publisher 3.1 K. Łoziński (TEXT).

W przygotowaniu numeru uczestniczyli: Józef Nyka, Andrzej Klos, Wojciech Świącicki, Wojciech Leder.

ISSN 0137-3155

# Centralny Ośrodek Szkolenia Polskiego Związku Alpinizmu na Hali Gąsienicowej "Betlejemka"

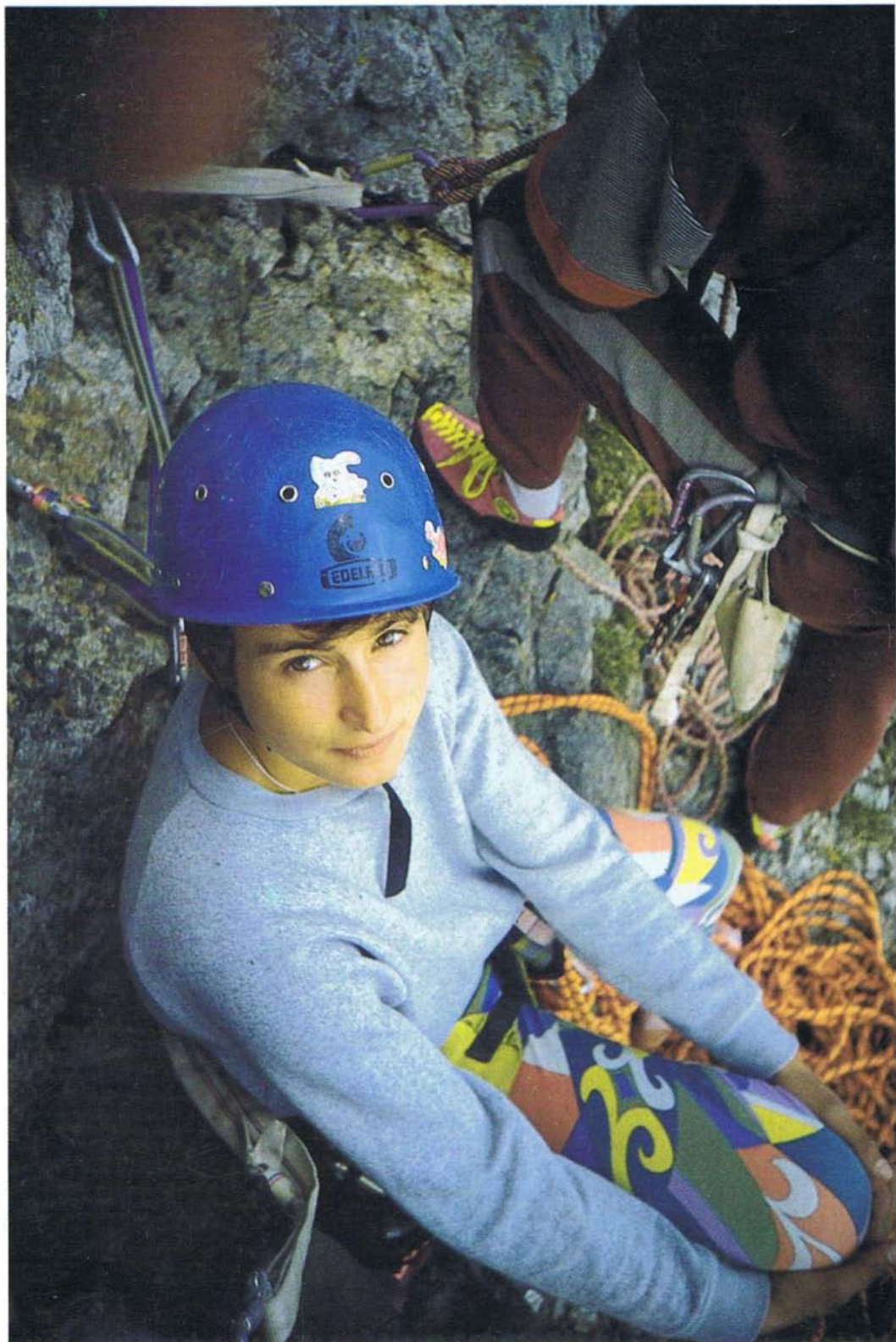


oferuje gruntowne przeszkolenie taternicze latem i zimą:

- licencjonowani instruktorzy PZA,
- najlepszy sprzęt renomowanych firm zachodnich, Edelweiss, Beal, Salewa, Charlet, Camp, Petzl,
- wykłady i prelekcje ilustrowane przezręczami,
- bogaty księgozbiór,
- własny samochód terenowy,
- wspinaczki w rejonie Morskiego Oka i na Słowacji,
- bezpieczny system łączności radiowej,
- noclegi, koce, gaz do gotowania.

Zgłoszenia za pośrednictwem klubów lub indywidualnie:

COS PZA, skr. poczt. 399  
34-500 Zakopane  
tel: (165) 124-01



Renata Piszczek, sukcesy 1993 roku: Mistrzostwo Polski we wspinaczce na czas; I miejsce w zawodach o Puchar Świata we Frankfurcie; III miejsce w Mistrzostwach Świata w konkurencji na czas w Insbrucku.

<http://pza.org.pl>